KANAŁ POGARDY
Jak telewizja zarabia na upokarzaniu

LEKCJE WARTOŚCI
Młodzi, brunatni, wykształceni

MĘCZENIE OWIEC
Arcybiskup Dzięga do dymisji

ZBITKI BITÓW
O krakusie, co sieć przyspieszył

JĘZYK EUROPY
Po angielsku bez Anglików

Kraków 7 marca 2021 nr 10 (3739) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

MARIUSZ WILCZYŃSKI
nasz typ do Oscara

Gdybyś kochał, hej!

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
10
9 770041 480109

REKLAMA

25 Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena

Warszawa

20 marca > 2 kwietnia 2021

Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena

Filharmonia Narodowa

dwójka POLSKIE RADIO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

instytut muzyki i tańca

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca

pap

PARTNER GŁÓWNY

LOTTO

MECENAS

ORLEN

EUROPEJSKIE CENTRUM MUZYKI KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

SINFONIETTA CRACOVIA

PWM EDITION

TVP KULTURA

INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA

CULTURE.PL ADAM MICKIEWICZ INSTITUTE

HEXELINE

STRÖER

RZECZPOSPOLITA

VOGUE

BEETHOVEN MAGAZINE

KS. ADAM

Boniecki: *Do wielkopostnego rachunku sumienia*

No i proszę, kolejny – po „Damach i wieśniaczkach” , „Dżentelmenach i wieśniakach” – *reality show*, w którym biedni i bogaci zamieniają się miejscami, „Bogaty dom – biedny dom” stał się impulsem refleksji prawdziwie wielkopostnej. Mam na myśli artykuł Anny Golus i jej wywiad z medioznawcą Michałem Rydlewskim w Temacie Tygodnika.

Programy zbudowane na zasadzie podglądania ludzi przeflancowanych bez przygotowania do obcego im środowiska pozwalają obserwować zachowania np. osoby z miasta wstawionej do wiejskiego gospodarstwa lub kobiety ze wsi, która konfrontuje się z gadżetami i obyczajami wielkomiejskiego życia, ukazywanego jako nowoczesne i kulturalne – czyli takie, jakiego powinien pragnąć człowiek XXI wieku. Skoro tego rodzaju programy wciąż się w telewizji zjawiają, można wnosić, że – choć nie są to flagowe pozycje ramówki – cieszą się niezłą oglądalnością.

Okazuje się, że w wielu z nas – kto wie, czy nie we wszystkich – drzemie instynkt współzawodnictwa, a jego wyrazem jest (paskudna) satysfakcja z każdej wpadki lub niepowodzenia konkurenta do... właściwie do czego? Do niekoniecznie określonego „bycia lepszym”.

Jeśli widz się utożsamia z „wieśniaczką”, to z satysfakcją będzie patrzył, jak „dama” boi się krowy (on potrafi spokojnie krowę wydoić), jak brzydzi się nawozu (on od dziecka jest oswojony z jego zapachem), jak nie radzi sobie ze sprzątaniem, ośmiesza się w kuchni albo jest rugana przez pracodawcę. „Dama” zaś będzie karmiła poczucie swej wyższości patrząc na „wieśniaczkę” bezradną wobec wyposażenia nowoczesnego domu, na jej niezborne zachowanie u kosmetyczki, krawcowej, w eleganckiej restauracji itd. Żałosna to satysfakcja. Nie tylko dlatego, że czerpana z czyjegoś onieśmielenia, wystawienia go na śmieszność, upokorzenia dla rozrywki, z biedy. Także dlatego, że – jak wynika z tekstu Anny Golus – nie da się z tego tłumaczyć, że przecież ów dobrowolnie się na udział w programie zgodził: otóż okazuje się, że uczestnicy często są manipulowani, oszukiwani.

My sami nierzadko, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, czujemy się lepsi, mądrzejsi, więcej warci od innych. Posiadający dach nad głową czuje się kimś lepszym od bezdomnego, umyty od niedomytego, wykształcony od niewykształconego, ktoś z długim inteligenckim rodowodem od inteligentów z pierwszego pokolenia, posiadacz niewielkiego konta w banku od tego bez pieniędzy, pracujący od bezrobotnego, trzeźwy od pijanego, jadący samochodem od pieszego, mieszkaniec metropolii od mieszkańca wsi lub małego miasteczka, rodowity warszawiak od świeżo osiedlonego. Pełniąc nawet mało prestiżowe funkcje, dajemy interesantom odczuć, kto tu rządzi. A że to poczucie ważności jest dość kruche, każde upokorzenie bliźniego jest przez nas dobrze widziane.

Nawet pomaganie ludziom może być okazją do manifestowania swojej wyższości i upokarzania bliźnich.

Wspomniane na wstępie programy są materiałem do wielkopostnej refleksji, bo nam uświadamiają, że siedząc przed telewizorem i bawiąc się czyimś poniżeniem, daleko jesteśmy od wartości chrześcijańskich. Przed laty toczyliśmy gorące spory o respektowanie tych wartości w mediach. Dziś podnosi się larum z powodu pokazania Matki Boskiej z tęczą, nie mówiąc o wystawieniu „Klątwy” Olivera Frljicia. Nikomu jednak nie przychodzi do głowy uznanie za pogwałcenie wartości chrześcijańskich programów, które polegają na poniżaniu określonych kategorii ludzi. Zwłaszcza – o czym mówi w wywiadzie Michał Rydlewski – że nie chodzi tu tylko o „Bogaty dom – biedny dom”. Mechanizmy manipulacji, podkręcania emocji, obnażania człowieka na potrzeby spektaklu działają też w *talent shows*, a nawet w kanałach kulinarnych.

Więc moje pytanie do wielkopostnego rachunku sumienia: czy nie należałoby uznać za udział w „grzechu cudzym” podnoszenia krzywej oglądalności takich programów? Zanim, drogi Czytelniku odpowiesz, proszę, przeczytaj Temat Tygodnika. ©℗

POŻEGNANIE

26 lutego 2021 r., przeżywszy lat 83, odeszła do Pana

Ś.† P.

Krystyna Maria Fredro-Boniecka

Nasza kochana siostra, ciocia, szwagierka.
Człowiek wielkiej wiary, dobroci i skromności.
Wieczną radość racz jej dać Panie.

Msza św. pogrzebowa będzie odprawiona
8 marca o godz. 10.00 w kościele św. Karola Boromeusza
w Warszawie na Powązkach.
Po Mszy św. nastąpi odprowadzenie do grobu.

Najbliższa Rodzina

Adamie, jesteśmy z Tobą

Przyjaciele z „Tygodnika”

28 Skóra, w której żyję
MARIUSZ SEPIOŁO
Najgorzej, gdy nie ma sprawcy twojego oparzenia – bo wtedy jesteś jednocześnie sprawcą i ofiarą.

33 Czas minął
STANISŁAW ZASADA
Zarzutów, które uzasadniałyby natychmiastową dymisję arcybiskupa Andrzeja Dzięgi, jest aż nadto.

44 Miasto lepkich bomb
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU
Eksplozje ładunków przyczepianych magnesem do samochodów stały się plagą stolicy Afganistanu.

62 Chyba śnisz
KATARZYNA DZIADOWICZ
Naukowcom udało się skontaktować z osobami pozostającymi w głębokim śnie.

64 Gdybyś kochał, hej!
MARIUSZ WILCZYŃSKI W ROZMOWIE Z KATARZYNĄ KUBISIOWSKĄ:
Peszy mnie, że mój film wyświetlany jest w tylu kinach. To nie jest nawet jak uczucie porównywalne do nagości. Tu jest intymniej, całkowicie bezbronnie.

78 Dym z komina
MAREK BIEŃCZYK
Frankofonia ma przypominać, że w Europie pierwsze było słowo.

MIROSŁAW GAWROŃSKI / FUNDACJA POPARZENI // BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS // MASSIMO BREGA / LAS / EAST NEWS // ALEXANDER DEMIANCHUK / GETTY IMAGES // ARCHIWUM PRYWATNE MARIUSZA WILCZYŃSKIEGO // PAWEŁ PIENIĄŻEK

6 Oślepieni blaskiem władzy
MAREK RABIJ

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Szkoła i antywartości
ROZMOWA Z SOCJOLOGIEM KULTURY RAFAŁEM PANKOWSKIM *o nowym pokoleniu faszystów*

26 Jak chcą, niech walczą
ULA IDZIKOWSKA *o problemach Nepalczyków przyjeżdżających do pracy do Polski*

28 Skóra, w której żyję
MARIUSZ SEPIOŁO

■ ■ WIARA

33 Czas minął
STANISŁAW ZASADA

36 Usilnie prosimy: odejdź
PIOTR SIKORA: *Świeccy mają prawo domagać się dymisji biskupa – zwłaszcza gdy stracili do niego zaufanie*

38 Anarchiści i zakonnica
JACEK TARAN: *Różne życiorysy i światopoglądy, ale wspólny cel – czynienie dobra*

41 Pokój nad Eufratem
ANNA I KAROL WILCZYŃSCY: *W przededniu najtrudniejszej pielgrzymki pontyfikatu Franciszka*

■ ■ ŚWIAT

44 Miasto lepkich bomb
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU

TP-ONLINE // ADOBE STOCK

TEMAT TYGODNIKA

12 Nieprawda ekranu
ANNA GOLUS
Twórcy reality show, w którym osoby niezamożne i te uchodzące za bogate zamieniają się miejscami, oszukują i widzów, i uczestników.

16 Spektakle pogardy
ROZMOWA Z MICHAŁEM RYDLEWSKIM
Telewizja przyznaje sobie prawo, by okłamywać innych i nimi manipulować, a do tego wmawiać im, że sami tego chcieli.

■ FELIETONY ■

31 JACEK PODSIADŁO **43** WOJCIECH BONOWICZ
58 HANNA KRALL **76** JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: Mariusz Wilczyński, luty 2021 r.
FOTOGRAFIA: Renata Dąbrowska dla „TP"
Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

48 Superbohater z Peterborough
PATRYCJA BUKALSKA: *Młody Rom z Czech pokazał pobratymcom, jak przełamywać uprzedzenia rasowe*

51 Na włosku
MARTA ZDZIEBORSKA: *Długi, niepewność jutra i uzależnienie od pomocy rządowej – to codzienność milionów Amerykanów*

■ ■ HISTORIA

54 Intelligenzaktion w Ciechanowie
ROZMOWA Z HISTORYKIEM MARCINEM PRZEGIĘTKĄ

■ ■ NAUKA

60 Kodowanie po krakosku
KAMIL KOPIJ *o wynalazku polskiego matematyka, z którego korzystają dziś giganci Doliny Krzemowej*

62 Chyba śnisz
KATARZYNA DZIADOWICZ

■ ■ KULTURA

64 Gdybyś kochał, hej!
ROZMOWA Z MARIUSZEM WILCZYŃSKIM

71 Poruszenie
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Istotą przedstawienia scenicznego jest dziś ciało w ruchu*

74 Musimy sobie pomagać
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Słudzy" Ivana Ostrochovskiego*

76 Przyjaźń i spór
LEKTOR *o „Listach 1946-1991" Jerzego Giedroycia i Stefana Kisielewskiego*

■ ■ ZMYSŁY

78 Dym z komina
MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

DOM [Podkast Powszechny]
Nadzieja nie polega na codziennym drżeniu z pytaniem, czy krzywa zachorowań się wypłaszczy i kiedy dojadą szczepionki. Nadzieja to nie dać się zredukować do słowa „pandemia" – mówi psychoterapeuta **BOGDAN DE BARBARO** w cyklu rozmów **KRZYSZTOFA STOREGO** **powszech.net/podkast**

Strona świata
W Londynie umarł Ahmed Zaki Jamani. Wraz z nim skończyła się epoka, w której ropa naftowa uchodziła za symbol łatwego bogactwa i potęgi – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

OŚLEPIENI BLASKIEM WŁADZY

Niechęć rządzących do kontroli przez wyborców nie ma barw partyjnych. Każda próba podważenia prawa dostępu do informacji publicznej jest równie niebezpieczna.

MAREK RABIJ

Filtry ideologicznych sympatii ułatwiają codzienną obserwację politycznych zapasów, ale często wiodą też widzów na światopoglądowe manowce. Podobnie rzecz ma się z najnowszą inicjatywą Małgorzaty Manowskiej, kojarzonej z obozem władzy pierwszej prezes Sądu Najwyższego, która wystąpiła o zbadanie konstytucyjności przepisów ustawy o dostępie do informacji publicznej. Wnioskiem zajmie się teraz Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej, ciało o proweniencji budzącej poważne zastrzeżenia natury prawnej, a do tego obsadzone aktualnie przez sędziów, których nie można posądzić o nadmierny krytycyzm wobec poczynań partii rządzącej.

Wszystko to każe wielu obserwatorom uznać los ustawy o dostępie do informacji publicznej za przesądzony. A jednocześnie może skłaniać do podejrzeń, że działaniami sędzi Manowskiej sterowały makiaweliczne umysły polityków PiS, którym najbardziej opłaca się zesłać uciążli-

Małgorzata Manowska, pierwsza prezes Sądu Najwyższego po inauguracyjnej konferencji prasowej. Warszawa, 26 maja 2020 r.

we przepisy do trybunalskiego czyśćca. W komentarzach, które pojawiły się po ujawnieniu wniosku, słychać już głosy niepokoju, że wielu instytucjom sama wątpliwość co do rzekomej niekonstytucyjności przepisów wystarczy teraz za podstawę do nieudzielania odpowiedzi na pytania obywateli. Trybunał zaś nie musi się spieszyć z sentencją i w ten sposób stworzy *de facto* nowy stan prawny bez ingerencji w treść i ducha samej ustawy.

Odłóżmy na chwilę oficjalne powody, dla których Manowska wystąpiła ze swoim wnioskiem. Argumenty o niedodefiniowaniu takich pojęć, jak „władza publiczna", „osoby pełniące funkcje publiczne" czy „związek z pełnieniem funkcji publicznej", brzmią nieprawniczemu uchu na tyle abstrakcyjnie, by – w zależności od politycznych preferencji – dopatrywać się w nich sensu lub przeciwnie: znamion sztafażu kryjącego rzeczywiste intencje. Argumentem na rzecz pierwszej interpretacji może wydawać się fakt, że z podobnym wnioskiem wystąpiła (choć w mniejszym zakresie) także poprzedniczka Manowskiej. Warto jednak pamiętać, że również Małgorzata Gersdorf próby nieuzasadnionej ingerencji w prywatność dopatrzyła się wtedy w pytaniach o własne wydatki służbowe.

„Rząd się sam wyżywi" – rzucił swego czasu na konferencji prasowej jego ówczesny rzecznik Jerzy Urban. I choć żyjemy dziś w zupełnie innym państwie, polityczny cynizm zawarty w tamtej wypowiedzi nie stracił na aktualności. Forum Obywatelskiego Rozwoju, przejrzawszy dokumenty rządowe wysyłane do Brukseli, oszacowało niedawno, że poza kontrolą parlamentarną znajduje się obecnie już 6,6 proc. polskiego PKB – czyli ok. 150 mld zł w skali roku. To pieniądze, które rząd może wydawać zgodnie z własnym widzimisię – i to właśnie one (plus majątek spółek Skarbu Państwa) stanowią kapitał, z którego środowisko polityczne PiS-u może korzystać praktycznie bez ograniczeń do budowania poparcia czy nawet dyskredytowania oponentów.

Ustawa o dostępie do informacji publicznej oczywiście w tym nie przeszkodzi. Dopóki jednak obowiązuje, dopóty politycy żadnej opcji nie mogą zakładać, że obywatele oślepną od samego blasku ich władzy. ©℗

Parasol nad głową Daniela Obajtka

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Jest po prostu nadzieją Polski. Historycy będą wymieniali jego nazwisko jako jedno z najważniejszych" – o żadnym szefie spółki Skarbu Państwa Jarosław Kaczyński nie mówił tak jak o Danielu Obajtku, a talię z paru dziesiątek prezesów już potasował.

Obajtek zrobił za PiS oszałamiającą karierę: z wójta Pcimia, przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa oraz Energę, trafił na fotel prezesa Orlenu, największej spółki państwowej.

Od początku było wiadomo, że ma w życiorysie ciemne plamy. Kręcił się w podejrzanym towarzystwie, majątek badała mu prokuratura, był zatrzymany przez policję. Ale PiS przekonywał, że to układ. Po przejęciu władzy nad prokuraturą Zbigniew Ziobro wycofał z sądu sprawę Obajtka, który był oskarżony o ustawienie przetargu za łapówkę.

Drugim elementem tego procesu miało być okradanie przez Obajtka firmy jego wujów, w której pracował jako młody chłopak. Ujawnione przez „Gazetę Wyborczą" taśmy pochodzą z 2009 r., kiedy był już z wujami pokłócony i próbował ich wykończyć. Był wtedy wójtem Pcimia, więc jako samorządowiec nie mógł prowadzić działalności gospodarczej. Nagrania wskazują jednak, że kierował firmą konkurencyjną wobec swoich wujów i dążył do ich wyeliminowania z rynku brudnymi metodami. To wygląda na złamanie prawa. Jest jeszcze jeden problem: przed sądem Obajtek zaprzeczył, że potajemnie zarządzał firmą. Składanie fałszywych zeznań to też złamanie prawa.

Prokuratura Ziobry ma te nagrania od jesieni 2016 r. I odmówiła wszczęcia śledztwa. Czy teraz coś się Obajtkowi stanie? Na pewno nie zostanie premierem. Tyle że jego kandydatura, wbrew stugębnym plotkom, nie była nigdy poważnie rozpatrywana. Na fotelu głównego nafciarza natomiast może Obajtek spać spokojnie. Dopóki będzie realizować plany Kaczyńskiego za pieniądze Orlenu, włos mu z głowy nie spadnie. A do tej pory tak robił. Przejmował inne spółki Skarbu Państwa (Energa, PGNiG), by zbudować niemal monopolistyczny koncern energetyczny; sponsorował propisowskie gazety i ich partyjne imprezy; kupował dla PiS media niezależne (np. Polska Press, największego wydawcę regionalnego).

Ci, którzy znają Kaczyńskiego, mówią, że chętnie sięga po ludzi z osobowościowymi defektami lub niezbyt chwalebnymi epizodami w przeszłości. To daje gwarancję, że zawsze będą oddani. Obajtek idealnie wpisuje się w ten model. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Recepty na kryzys

KOŃCÓWKA TYGODNIA upłynęła pod znakiem obietnic zmian w gospodarce i jej otoczeniu prawnym. Premier Morawiecki przedstawił do konsultacji ramowe założenia, wedle których Polska chciałaby wydać środki z unijnego tzw. Funduszu Odbudowy (ok. 57 mld euro). Dokument wylicza generalnie słuszne kierunki inwestowania, zgodne z panującym w Brukseli konsensusem co do tego, jakie działania i w jakich obszarach powinny nas lepiej przygotować do kolejnych wstrząsów – np. cyfryzacja, mobilność, a przede wszystkim znaczne inwestycje w zieloną gospodarkę i transformację energetyczną. Cokolwiek bowiem uchwali Sejm w Warszawie – a opozycja deklarowała w tym względzie swoje poparcie na wypadek gdyby w Zjednoczonej Prawicy znów pojawiły się pęknięcia – to jeszcze i tak wszystkie plany muszą przejść przez sito urzędników Komisji.

W piątek z kolei Platforma Obywatelska przedstawiła swoją „Receptę na kryzys". Tymczasowa obniżka VAT dla branż „wyłączonych" przez restrykcje, wyższa kwota dochodu wolna od podatku, zniesienie zakazu handlu w niedzielę i odszkodowania dla wszystkich firm, którym rząd zablokował możliwość działania, bez względu na formalne kryteria stosowane przy różnych obecnych „tarczach". Z uwagi na to, że państwo dostanie wkrótce znaczną ilość pieniędzy, część z tych propozycji ma rację bytu. Szkoda, że sposób ich prezentacji pozwala podejrzewać, że są raczej szyte na złość obecnej władzy – nieudolnej i chaotycznej, ale działającej w stanie wyższej konieczności – a nie na rzecz równiejszego rozłożenia ciężarów, jakie ponosimy w nierówny sposób od równo roku . ©℗ PB

DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA GAZETA

Spis niepowszechny

ANNA GOC

Liczymy się dla Polski! – mówi mężczyzna w spocie zapowiadającym Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021, który zacznie się 1 kwietnia i potrwa do 30 września. Główną formą jest samospis internetowy, czyli interaktywna aplikacja dostępna na stronie GUS. Dla tych, którzy nie będą mogli z niej skorzystać (nie mając dostępu do internetu), przewidziano wywiad bezpośredni lub telefoniczny, przeprowadzony przez rachmistrza.

Mimo że spis jest obowiązkowy, głusi Polacy nie będą mogli wziąć w nim udziału: nie porozumieją się z rachmistrzem, nie odbiorą telefonu, a znaczna część z nich nie przeczyta ze zrozumieniem pytań kwestionariusza. Osoby głuche posługują się polskim językiem migowym (PJM), który nie jest miganą odmianą polszczyzny i znacząco różni się od języka polskiego pod względem gramatycznym i słownikowym. „Nie planujemy tłumaczenia kwestionariusza na język migowy" – odpowiedział „Tygodnikowi" pracownik GUS zapytany o dostępność spisu dla osób głuchych. I dodał, że być może tłumaczone będą spoty informacyjno-reklamowe. Najwyraźniej zapominając, że Ustawa o dostępności ma likwidować także bariery informacyjno-komunikacyjne. Osoby głuche mogą więc zrobić to, co zawsze: umówić się na wypełnianie ankiety z tłumaczem PJM, na własny koszt.

Jak duża grupa została wykluczona? Tego nie wiadomo, bo danych, ilu jest użytkowników polskiego języka migowego, nie ma. A i w najbliższym spisie nie zaplanowano szczegółowych pytań o tę grupę. ©℗

LICZBA TYGODNIA

93 mld zł

– tyle pieniędzy wycofaliśmy z coraz gorzej oprocentowanych lokat bankowych w 2020 r. Osoby fizyczne mają dziś w bankach 202 mld zł. NBP nie wyklucza wprowadzenia ujemnych stóp procentowych.

KRAJ W SKRÓCIE

MOC PREZYDENTA
34-letni Piotr Żyła został mistrzem świata w skokach narciarskich, a ten sukces skłonił prezydenta RP do wznowienia aktywności. „Piotr Żyła Mistrzem Świata! Brawo! Brawo! Brawo! Gratulujemy i dziękujemy! Jest moc! ;-)" – napisał na Twitterze Andrzej Duda.

MATTHIAS SCHRADER / AP / EAST NEWS

WŁAM SENATORA
Z Twittera najlepiej się wypisać. Senator Włodzimierz Bernacki jest piątym w ostatnich miesiącach politykiem Zjednoczonej Prawicy, na którego profilu ukazały się kontrowersyjne obyczajowo treści, i który tłumaczy, że padł ofiarą ataku hakerów.

OŚ DYREKTORA
„Zanim ujawnione zostały obecnie nowe fakty, uważałem, że z jednej strony mamy takie fotografie, jak pokazywały media, a z drugiej konkretnego człowieka z jego przemianą. Dyskusja w tej sytuacji jest niemożliwa, te siły są w stanie zmielić każdego, przestawić oś czasową, uniemożliwić obronę" – wytłumaczył prezes IPN „Sieciom" odwołanie Tomasza Greniucha z funkcji dyrektora wrocławskiego oddziału tej instytucji.

KLĄTWA PREZESA
„Przekleństwa wypowiadane przez osoby niedotknięte koprolalią są objawem braku kultury osobistej, a nie zespołu Tourette'a" – oświadcza Polskie Stowarzyszenie Syndromu Tourette'a, odnosząc się do enuncjacji, jakoby na tę przypadłość cierpiał Daniel Obajtek.

Zdalna szkoła, realna skolioza

TRZYNASTOLATKA z trwałym skrzywieniem kręgosłupa; ośmiolatek jak 65-letni urzędnik, z brzuchem i „wdowim garbem" – takie m.in. obrazy zapamiętał z ostatnich miesięcy fizjoterapeuta Adam Markiewicz z Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi.

– Po marcu 2020 r. zobaczyliśmy przyrost liczby pacjentów – relacjonuje. – Z bólami pleców, barków, miednicy, kończyn, głowy. To wzrosty rzędu kilkudziesięciu procent względem okresu sprzed pandemii.

Między grudniem a lutym medycy CZMP i łódzkiego Uniwersytetu Medycznego przebadali setkę dzieci w wieku 7-15 lat. Nawet do 30 proc. cierpi na skoliozę; kąt nachylenia kości krzyżowej, obciążonej siedzeniem, był nieprawidłowy u 90 proc.; wady w piersiowym odcinku kręgosłupa miało niemal 100 proc; nadwagę lub otyłość – ponad połowa.

– Nie wiemy, w jakim stopniu za problemy odpowiada zdalna szkoła, bo nie mamy materiału porównawczego sprzed pandemii – mówi Markiewicz. – Ale możemy alarmować: z dziećmi jest źle, wręcz tragicznie. Warto zdać sobie z tego sprawę dziś, by wybuch tej bomby nie zaskoczył nas po otwarciu szkół.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Gdzie majaczy szczyt

PNIE SIĘ OSTRO wykres nowych przypadków zakażeń SARS-CoV-2, zapełniają się na nowo oddziały covidowe, w użyciu jest coraz więcej respiratorów. Wszystko to najprawdopodobniej efekt dominowania w Polsce nowych wariantów koronawirusa, przede wszystkim mutacji brytyjskiej, o zwiększonej zakaźności (najprawdopodobniej, bo nadal nie prowadzimy sekwencjonowania próbek na taką skalę, by dysponować miarodajnymi danymi).

Już dzień po prognozach ministra Adama Niedzielskiego, że szczyt zachorowań nastąpi na przełomie marca i kwietnia, sięgając 12-15 tys. nowych zakażeń dziennie – liczba nowych przypadków przekroczyła 12 tys. Minister żalił się później w RMF, że „plany, które przedstawialiśmy, niestety się nie sprawdzają". Dr Paweł Grzesiowski spodziewa się niebawem 25 tys. zakażeń dziennie, doradca premiera prof. Andrzej Horban, rysując czarny scenariusz, mówi o fali wyższej o 50-60 proc. od jesiennej. Trwa akcja szczepień (5,5 proc. Polaków dostało przynajmniej jedną dawkę), ale eksperci wskazują, że działania państwa nie mogą się do niej ograniczać – konieczne jest choćby precyzyjne namierzanie i tłumienie ognisk infekcji.

Inicjatywę w tej walce ma wciąż koronawirus, nam doszedł tylko jeden atut: udało się zaszczepić prawie wszystkich członków personelu medycznego szpitali, co zmniejsza ryzyko, że zawieszana będzie praca całych oddziałów. ©℗ MACIEJ MÜLLER

JIM LO SCALZO / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

PONAD PÓŁ MILIONA Amerykanów zmarło już na skutek zakażenia wirusem SARS-CoV-2: to mniej więcej tyle, ilu żołnierzy USA poległo łącznie podczas I i II wojny światowej. W minionym tygodniu Joe Biden ogłosił pięciodniową żałobę narodową. W uroczystości, która odbyła się przed Białym Domem 23 lutego, wzięli udział (na zdjęciu od lewej) prezydent, jego żona Jill, wiceprezydentka Kamala Harris i jej mąż Douglas Emhoff. Biden apelował do Amerykanów, by nie stracili wrażliwości w obliczu „niewyobrażalnej" liczby ofiar. „Musimy bronić się przed zobojętnieniem na cierpienie. Musimy bronić się przed postrzeganiem każdego życia jako statystyki" – mówił. Każdy z tych zmarłych miał rodzinę, przyjaciół i „wyjątkowe życie", które zbyt wcześnie zostało zakończone. ©℗ WP

Katar: ludzka cena mundialu

PONAD 6500 OBYWATELI Indii, Pakistanu, Nepalu, Bangladeszu i Sri Lanki zmarło w Katarze od chwili, gdy temu krajowi przyznano prawo organizacji mistrzostw świata w piłce nożnej. Mundial, planowany na rok 2022, to wielki projekt inwestycyjny: już od dekady powstają stadiony, autostrady, linie tramwajowe. Buduje się też nowe, zaprojektowane na 300 tys. mieszkańców miasto Lusajl, w którym ma się odbyć finał turnieju.

W minionym tygodniu brytyjski dziennik „The Guardian" podał, że w Katarze codziennie umiera średnio 12 imigrantów z Azji Południowej. Dane pochodzą z rządowych statystyk i nie uwzględniają przybyszów z Kenii czy Filipin, faktyczny bilans zgonów jest więc niemal na pewno wyższy.

W niespełna trzymilionowym Katarze – który wraz z innymi krajami Zatoki Perskiej stał się ostatnio celem migracji zarobkowej z Azji i Afryki – pracuje ok. 2 mln cudzoziemców. Oficjalnie na budowach stadionów zginęło tylko kilkadziesiąt osób – jako przyczynę innych zgonów podaje się „śmierć naturalną", np. niewydolność układu oddechowego i krążenia. Jednak porównanie tych danych z raportami Międzynarodowej Organizacji Pracy (2017 r.) i Human Rights Watch (2020 r.) – oraz z doniesieniami z 2019 r., gdy panujące upały przez cztery miesiące czyniły pracę na zewnątrz wyjątkowo niebezpieczną – nie pozostawia wątpliwości: pracownicy z zagranicy umierają na skutek udaru cieplnego, odwodnienia, a nawet fatalnych warunków zakwaterowania. Już kilka lat temu rządowi prawnicy rekomendowali politykom monitorowanie okoliczności śmierci migrantów; bez efektu. W kraju wciąż funkcjonuje tzw. system *kafala*, w którym wizy pracownicze (a w praktyce także osobista wolność) są w gestii pracodawców, niemal poza kontrolą państwa.

Światowa federacja piłkarska FIFA, poproszona przez „The Guardian" o komentarz, utrzymuje, bez podawania dowodów, że śmiertelność na budowach stadionów „jest niska w porównaniu z innymi projektami budowlanymi na świecie".

Mundial w Katarze, pierwszy w krajach islamskich, będzie też pierwszym rozegranym jesienią – w listopadzie i grudniu.

©℗ MARCIN ŻYŁA

Sektor IT ucieka z Białorusi

WOJCIECH KONOŃCZUK

Wyniki badań opublikowanych właśnie przez portal białoruskiego sektora IT mogą szokować: od sierpnia 2020 r., czyli od wybuchu protestów, z kraju wyjechało 15 proc. tamtejszych informatyków, kilkanaście tysięcy osób. Przyczyna jest polityczna: wielu z nich uczestniczyło w antyreżimowych działaniach.

Sektor IT to największy sukces gospodarki białoruskiej: powstał od zera w ciągu kilkunastu lat, aby w 2020 r. wygenerować 7,3 proc. PKB i niemal 2,5 mld dolarów eksportu. Z punktu widzenia Łukaszenki informatycy popełnili jednak niewybaczalny błąd, wspierając protesty swoimi talentami i tworząc m.in. niezależny system liczenia głosów w wyborach. Ze wspomnianych badań wynika, że to nie koniec wyjazdów – przynajmniej czasową emigrację rozważa 40 proc. pracowników IT.

Gdy tylko zaczęły się pierwsze wyjazdy, sąsiednie państwa postanowiły zabiegać o przyciągnięcie uciekających, tworząc dla nich preferencyjne warunki. We wrześniu 2020 r. także Polska uruchomiła Poland Business Harbour – specjalny program dla białoruskich specjalistów IT i przedsiębiorców. Po niemal pół roku widać, że jest on sukcesem. Wśród informatyków, którzy wyjechali, 42 proc. wybrało Polskę, 15 proc. Litwę, 10 proc. Ukrainę i 7 proc. Niemcy.

Emigrujący informatycy to fragment szerszego problemu: na Białorusi trwają masowe represje wobec zbuntowanego społeczeństwa, a ich efektem jest również emigracja. Całościową jej skalę trudno oszacować – tylko na Litwie wniosek o pozwolenie na pobyt złożyło od sierpnia 2020 r. niemal 10 tys. Białorusinów.

Ilu emigrantów wróci, to sprawa otwarta. Wiadomo za to, że pozbywając się aktywnych obywateli, reżim nie będzie po nich płakał. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

MĘCZENNICZKI EPIDEMII
Papież uznał heroiczność cnót trzech włoskich misjonarek z Demokratycznej Republiki Konga. Gdy w 1995 r. w tym afrykańskim kraju wybuchała epidemia eboli, siostry Floralba Rondi, Clarangela Ghilardi i Dinarosa Belleri, należące do Instytutu Sióstr Ubogich, odmówiły opuszczenia chorych, w wyniku czego zaraziły się wirusem i zmarły. Uznanie heroiczności cnót otwiera drogę do beatyfikacji.

DOBRA DECYZJA
„Nie ma dwóch papieży – jest tylko jeden, zasiadający dziś na Stolicy Piotrowej" – powiedział Benedykt XVI w rozmowie z włoskim dziennikiem „Corriere della Sera" w ósmą rocznicę swojej abdykacji. Papież senior wciąż uważa, że to była dobra decyzja, choć – jak zaznaczył – „niektórzy z moich nieco »fanatycznych« przyjaciół są nadal rozgniewani".

GOTOWY DO ROZMOWY
„Organizatorzy są otwarci na współpracę z Episkopatem. Z tego się cieszę. Jeśli odbędzie się marcowe posiedzenie Konferencji Episkopatu Polski, być może poruszymy tam także kwestię Kongresu" – obiecał przewodniczący Rady KEP ds. Apostolstwa Świeckich bp Adrian Galbas, komentując działalność Kongresu Katoliczek i Katolików, który jest powstałym z inicjatywy katolików świeckich forum dyskusji o kryzysie Kościoła.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
DZIENNIKARZE i AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Zapraszamy do słuchania!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Księża: eksperci z bożej łaski

MACIEJ MÜLLER

Donosiciel, czyli kapuś, szpicel, to jak człowiek trędowaty, donosicielstwo jest grzechem śmiertelnym" – napisali w ogłoszeniach duszpasterskich księża z parafii w małopolskich Kątach, komentując czyn człowieka, który zawiadomił policję, że w kościele podczas mszy przebywało 160 osób (mogło jedynie 30). Do podobnego zgłoszenia doszło w Czudcu na Podkarpaciu. Tam kapłani wezwali: „W dalszym ciągu są zgłoszenia, dlatego módlmy się o nawrócenie i uzdrowienie tych, którzy utrudniają nam dostęp do świątyni".

Zasady sanitarne są w kościołach łamane nagminnie. Nie tylko przez przekraczanie limitów osobowych, także przez niezasłanianie twarzy i nieutrzymywanie dystansu 1,5 metra od sąsiadów. Kościoły to pomieszczenia słabo wietrzone, w których łatwo o infekcję. Na msze przychodzą przede wszystkim osoby starsze, najbardziej zagrożone ciężkim przebiegiem COVID-19 i śmiercią. Dlatego powiadomienie służb o obchodzeniu przepisów jest nie tylko odpowiedzialnością obywatelską, ale też wyrazem troski o bliźnich. A na pewno nie „grzechem śmiertelnym".

Niestety wypowiedzi części duchownych mogą negatywnie wpłynąć na zachowania profilaktyczne. Biblista, ks. Wojciech Węgrzyniak, przywołując przypadkowe wykresy i stare wpisy na Twitterze resortu zdrowia, budzi wątpliwości co do obowiązku noszenia maseczek. Teolog moralista ks. Piotr Kieniewicz stwierdza: „Jeśli ktoś ma przeciwciała na koronawirusa po przechorowaniu, nie widzę powodu, by dodatkowo wymagać od niego szczepienia". Zamiast ekspertów z bożej łaski warto słuchać epidemiologów, tym pierwszym zaś trzeba przypomnieć słowa Benedykta XVI z 2006 r.: „Wierni oczekują od kapłanów tylko jednego, aby byli specjalistami od spotkania człowieka z Bogiem". ©℗

Kobieta sekretarzem episkopatu w Niemczech

BISTUM LIMBURG / MATERIAŁY PRASOWE DBK

PO RAZ PIERWSZY w historii Kościoła katolickiego w Niemczech biskupi wybrali na stanowisko sekretarza Konferencji Episkopatu kobietę. Od lipca funkcję tę pełnić będzie 50-letnia Beate Gilles, teolożka i germanistka. Jednocześnie przejmie kierownictwo Stowarzyszenia Diecezji Niemiec z rocznym budżetem ok. 120 mln euro.

To nie pierwszy przypadek kobiety na tym stanowisku w Kościele. Pierwsza taka sytuacja zdarzyła się w latach 80. w RPA. Gdy sekretarz episkopatu został uwięziony przez reżim apartheidu, funkcję przejęła jego zastępczyni – s. Brigid Flanagan. Od 2014 r. sekretariatem Konferencji Episkopatu Holandii kieruje Susan Daalmans. Z kolei od 2009 r. sekretarzem Konferencji Episkopatu Nordyckiego jest s. Anna Mirijam Kaschner, która – komentując wybór Gilles – wezwała, by nie oceniać pracy na tym stanowisku przez pryzmat płci, tylko kompetencji.

W Polsce podobna sytuacja wciąż nie jest możliwa – statut Konferencji Episkopatu Polski stanowi, że sekretarz wybierany jest wyłącznie spośród członków episkopatu. ©℗ ASK

Kolekcjoner

O ZAPOMNIANYM SKARBIE, schowanym na poddaszu bazyliki św. Piotra, pisze dziennik „Il Messaggero", dedykując tę informację kard. Mauro Gambettiemu, który kilka dni temu przejął opiekę nad najważniejszą watykańską świątynią. Jak mówi „Tygodnikowi" autorka artykułu, Franca Giansoldati, w 50 skrzyniach pod samą kopułą przechowywana jest kolekcja (obrazy, fragmenty fresków, rzeźby, ceramika artystyczna i obiekty archeologiczne) ks. Michelego Bassa, emerytowanego kanonika bazyliki.

Gdy w 2001 r. włoska prokuratura prowadziła dochodzenie w sprawie oszustw i nielegalnego handlu sztuką, zainteresowała się też mieszkaniem księdza-kolekcjonera, podejrzewając, że dzieła tam zgromadzone (wycenione na 50 mln euro) pochodzą z wyłudzeń i kradzieży. Śledztwo umorzono, gdy kanonik przekazał zbiory do Watykanu, a tam o kłopotliwym prezencie szybko zapomniano.

Sędziwy ksiądz nie chce dziś mówić o zawartości kolekcji i obrusza się na pytanie o jej pochodzenie: „To tak, jakby mnie pytać o buty w szafie – jedne kupiłem, inne mi podarowano". ©℗ EA

FB / DAFT PUNK

WSKRZESICIELE ROBOTÓW. „Syntezator na płycie? Po moim trupie!" – zdanie przypisywane wokaliście grupy rockowej The Smiths oddaje uczucia wielu słuchaczy, uznających electro za muzykę bez duszy. Gdy pod koniec lat 90. wróciła moda na zimne brzmienie (electroclash), to francuski duet Daft Punk tchnął weń życie, miksując automaty z energią rocka. Przez kolejne dwie dekady Guy-Manuel de Homem-Christo i Thomas Bangalter wskrzeszali roboty wykorzystując vocoder, narzędzie użyczające ich postaciom (występowali w charakterystycznych kaskach) anielskiego pogłosu. W minionym tygodniu, żegnając się ze słuchaczami po 28 latach, Daft Punk symbolicznie zniszczyli swoje awatary. ©℗ MOC

Młodość i konkurencja

W ZAPISIE KOPALNYM drapieżnych dinozaurów pojawia się tajemnicza dziura. Znamy gatunki o niewielkich rozmiarach, u których dorosłe osobniki ważyły mniej niż 100 kg, a także względnie dużo gatunków gigantów (tzw. megateropodów), o wadze przekraczającej tonę. Mało jest za to średniaków, osiągających wagę od 100 do 1000 kg. To dziwne, ponieważ roślinożerne gatunki dinozaurów występowały w rozmaitych rozmiarach – nie powinno więc brakować żywności dla średniej wielkości mięsożerców. Dlaczego zatem nie znajdujemy ich skamieniałości? Prawdopodobne rozwiązanie tej zagadki opublikował w „Science" zespół Katlin Schroeder.

Młode dinozaury, nawet tych największych gatunków, takich jak ikoniczny *Tyrannosaurus rex*, zaraz po wykluciu ważyły zaledwie kilkanaście kilogramów. To oznacza, że zanim osiągnęły dorosłość (i wagę od kilku do kilkunastu ton), musiały przejść przez wiele etapów rozwoju, na których polowały na bardzo różne ofiary. I to właśnie dorastające młode megateropodów, jak wynika z analiz przeprowadzonych przez amerykańskie badaczki, musiały zagarnąć dla siebie tę samą niszę ekologiczną, o którą konkurowały także gatunki mięsożerców średnich rozmiarów. ©℗ ŁK

KULTURA W SKRÓCIE

WŁOSKI RYDWAN
Doskonale zachowany czterokołowy rydwan z cyny i brązu odnaleziono w willi Civita Giuliana na obrzeżach Pompei. Pomalowany na czerwono, pokryty erotycznymi zdobieniami rydwan mógł być wykorzystywany podczas uroczystości ku czci Ceres i Wenus albo w czasie ceremonii ślubnych.

IRAŃSKIE ANIMACJE
Postaci kobiece w kreskówkach lub filmach animowanych prezentowanych w irańskiej telewizji powinny nosić hidżaby. Taką fatwę (orzeczenie uczonego muzułmańskiego mające wyjaśniać zawiłości teologiczne) wydał Najwyższy Przywódca Islamskiej Republiki Iranu, Ali Chamenei.

ANGIELSKIE TŁUMACZENIE
Doceniona przez Akademię Szwedzką, a w Polsce nagrodzona „Nike" powieść „Księgi Jakubowe" Olgi Tokarczuk jeszcze w tym roku zostanie wydana w języku angielskim. Przekładu dokonała Jennifer Croft.

POLSKI FILM
Reżyserka filmu „Hura, wciąż żyjemy!" Agnieszka Polska (na zdj.) otrzymała nagrodę AGBO Fellowship na festiwalu Slamdance (USA) – wyróżnienie dla utalentowanych, debiutujących twórców. Film Polskiej odwołuje się do legendy niemieckiego reżysera Rainera Wernera Fassbindera poprzez zaczerpnięty z jego filmów sposób prowadzenia kamery, montaż i celową sztuczność gry aktorskiej.

NH / MATERIAŁY PRASOWE

Ostatnia podróż Olka

BARTEK DOBROCH

Aleksander Doba, jeden z najbardziej znanych polskich podróżników, nie wrócił ze swojej ostatniej wyprawy. Zmarł po wejściu na szczyt Uhuru, kulminację masywu Kilimandżaro (5895 m n.p.m.).

Był człowiekiem promieniującym niespożytą energią i radością życia. Zaczynał jako szybownik. W wieku 34 lat pierwszy raz wsiadł do kajaka. Jako pierwszy przepłynął całą Wisłę i Polskę rzekami po jej przekątnej. Opłynął Bałtyk i Bajkał. W 2010 r., już po sześćdziesiątce, jako pierwszy człowiek przepłynął kajakiem Atlantyk z kontynentu na kontynent – jedynie dzięki sile własnych mięśni w trakcie wyprawy dopłynął z Senegalu do Brazylii. Później powtórzył ten wyczyn jeszcze dwukrotnie, dopływając z Portugalii na Florydę oraz z Nowego Jorku do Francji.

„Zmarł śmiercią podróżnika" – napisała w komunikacie rodzina 74-letniego Doby. Rzeczywiście, trudno nie odczytywać tego końca podróży w duchu romantycznym, niczym odejścia indiańskiego wodza albo Mojżesza na górze Nebo. Choć trudno też nie mieć szeregu pytań do Klubu Soliści, formalnie nie biura turystycznego, ale organizatora wypraw partnerskich, który zaprosił Olka – tak się do niego zwracano – na ostatnią wyprawę. Najpoważniejsze dotyczą zbyt krótkiego czasu aklimatyzacji do wejścia na ten prawie sześciotysięcznik, bez poprawki na wiek Doby i na to, że wcześniej najwyżej był na Gerlachu, ponad trzy tysiące metrów niżej. A także tego, czy mimo obecności tanzańskich przewodników presja skuteczności i sukcesu nie przyćmiła dbałości o bezpieczeństwo i zdrowie niemłodego już uczestnika. ©

Czytaj także portret Aleksandra Doby na stronie „TP": **powszech.net/doba**

TEMAT TYGODNIKA

NIEPRAWDA EKRANU

Twórcy reality show, w którym osoby niezamożne i te uchodzące za bogate zamieniają się miejscami, oszukują nie tylko widzów, ale i uczestników.

ANNA GOLUS

MONTAŻ TP-ONLINE // ADOBE STOCK / DOMENA PUBLICZNA

Jak będziemy bogaci, to będziemy takie mieć" – mówi chłopiec do swojego brata, a lektor komentuje to słowami: „Tylko się uczcie, bo nauka to potęgi klucz, nie ma nic za darmo". Chłopcy są uczniami szkoły specjalnej i rozmawiają o jacuzzi, z którego korzystają pierwszy raz w życiu na planie programu „Bogaty dom – biedny dom".

Program jest emitowany od 2019 r. na antenie Polsat Cafe i polega na tym, że dwie rodziny na kilka dni zamieniają się domami i budżetami. W ten sposób mają się według twórców programu przekonać, jak wygląda życie „na przeciwległym krańcu drabiny społecznej".

„Te rodziny, które wystąpiły, są bardzo zadowolone" – zapewniał w „Gazecie Pomorskiej" Mariusz Wojtczak z Net Media HD, firmy produkującej program. Z „Tygodnikiem" nikt z tej firmy nie chciał rozmawiać, podobnie jak dyrektor Polsat Cafe Jolanta Borowiec i reżyser Sławomir Batyra. Rozmawialiśmy natomiast z kilkanaściorgiem uczestników.

Musimy grać jak aktorzy

– Zgłaszając się myśleliśmy, że to będzie naprawdę, a to wszystko jest pod reżyserkę. Cały ten program to kłamstwo! – mówi pani Monika. – Gdy się zorientowaliśmy, chcieliśmy zrezygnować, ale pan z ekipy powiedział, że za to jest kara pieniężna.

Wynosi 10 tys. zł, a rodzina pani Moniki zorientowała się, że nie jest tak, jak się spodziewała, już po podpisaniu umowy. – Kazali nam spakować się na trzy dni. Nagrali, jak się pakujemy, i dali do podpisania umowę. Później zawieźli nas do bogatego domu, gdzie się dowiedzieliśmy, że nie będziemy tam spać. Powiedziano nam, że mieszkamy blisko, więc na noc będziemy wracać do domu. I że musimy grać jak aktorzy, np. udawać, że śpimy w bogatym domu, i robić wszystko to, co jest w scenariuszu.

W każdym odcinku „zamiana domów i budżetów" jest reżyserowana – samo zestawienie kontrastujących środowisk i obserwowanie, jak „biedni" i „bogaci" radzą sobie w nowych okolicznościach, jest najwyraźniej za mało atrakcyjne. Niezamożne rodziny otrzymują więc „atrakcje", a te zamożniejsze – „zadania do wykonania". „Bogaci" muszą np., często z dziećmi, wykonywać rozmaite prace gospodarskie, sprzątać klatki schodowe i podwórka, roznosić ulotki, zbierać truskawki, czyścić toi toie. Wśród atrakcji dla „biednych" najczęściej pojawiają się zakupy w sklepach z zabawkami i odzieżą, wizyty w salonach kosmetycznych i fryzjerskich, kolacje w restauracjach i najrozmaitsze lekcje: języków obcych, tańca, rysunku, aktorstwa, jazdy konnej itd. Oczywiście mowa nie o całych kursach, lecz o pojedynczych lekcjach.

– Podczas pierwszych nagrań ekipa pytała moje dzieci, jakie mają marzenia. Syn marzył o smartfonie, a córka o kursie językowym – mówi pani Aneta, która nie widzi niesprawiedliwości w tym, że syn dostał od producentów wymarzony gadżet, a córka – jedną lekcję języka obcego. Pani Aneta jest zadowolona z udziału w programie, bo oprócz wynagrodzenia 1500 zł brutto otrzymała też pomoc od internautów i osób poznanych na planie.

Nie okazali wdzięczności

Nie jest to stały punkt, ale bywa, że „bogaci" ofiarowują „biednym" pomoc przed kamerami (np. kupują coś do domu) albo obiecują wsparcie po zakończeniu programu (np. sfinansowanie dzieciom zajęć dodatkowych). Jedną z motywacji do zgłoszenia się do programu bywa ↦

↦ zatem chęć uzyskania pomocy. – Jest mi przykro, że bogata rodzina nie przejęła się naszą historią – narzeka pani Weronika. – Zgłosiłam się, bo szukałam pomocy.

– Nikogo o nic nie prosiłam – mówi z kolei pani Hanna, o której widzowie mogą myśleć, że otrzymała pomoc przed kamerami. – Bardzo żałuję, że zgodziłam się wystąpić. Zgłosiła mnie znajoma, ale gdybym wiedziała, jak to się skończy, nie zdecydowałabym się na to za żadne pieniądze.

Pani Hanna opowiada o fatalnych skutkach swojego udziału w programie, ale obawia się konsekwencji upublicznienia tej historii choćby anonimowo – boi się producentów, telewizji, ponownego wykorzystania przez media.

– Bogaci obiecali pomoc, ale to była gra – mówią państwo Barbara i Piotr. – Przed kamerami, bo tak było w scenariuszu. Po programie nikt się z nami nie skontaktował. A my naprawdę szukaliśmy pomocy i dlatego zgłosiliśmy się do tego programu.

Telewizyjna „pomoc" bywa negatywnie oceniana również przez „pomagających". – Pomogłem tej rodzinie, a oni w ogóle się nie ucieszyli i nie okazali wdzięczności! – złości się pan Grzegorz, jeden z „bogatych" uczestników. – Czy prosili o pomoc? Nie, ale przecież sama pani widziała, że jej potrzebują, a ja chciałem im pomóc.

Nie wiadomo, czy twórcy programu również chcą pomagać „biednym" uczestnikom, gdy organizują dla nich – w ramach przymusowych „atrakcji" – wsparcie prawne, psychologiczne albo medyczne.

Żeby wzmocnić stereotyp

Najczęściej „atrakcje" dla niezamożnych uczestników mają na celu pokazanie, że nie potrafią oni funkcjonować w środowisku „bogatych". Widać to już na początku każdego odcinka, gdy „biedna" rodzina wchodzi do „bogatego" domu i zachwyca się jego wyposażeniem (a czasem obecnością łazienki czy toalety, których w ich domach nie ma). Niektórzy uczestnicy płaczą, inni zastanawiają się, do czego służą bidet albo nowoczesne sprzęty AGD. Scenariusz wielu odcinków zakłada, że „biedni" zamawiają jedzenie, jakiego nigdy wcześniej nie próbowali, np. owoce morza. Zamówione posiłki z reguły im nie smakują, podobnie jak „bogatym" zwykle nie smakuje to, co znajduje się w lodówkach w „biednych" domach.

– Żeby taki program działał, trzeba zbudować dramaturgiczny kontrast – wyjaśnia prof. Małgorzata Lisowska-Magdziarz z Instytutu Dziennikarstwa, Mediów i Komunikacji Społecznej UJ. – Nie można pokazać, że „biedni" i „bogaci" są właściwie podobni do siebie, muszą być radykalne różnice, dwa różne światy. Z jednej strony świat tzw. ludzi sukcesu, gdzie atrybuty bogactwa zostają wyolbrzymione i zagęszczone; powstaje obraz bogactwa, który często nie ma nic wspólnego z rzeczywistością i jest właściwie bajką stworzoną dla „naiwnego biedaka". Z drugiej – świat „biednych", gdzie ubóstwa nawet nie trzeba za bardzo wyolbrzymiać, bo je widać. Instytucja medialna powinna brać odpowiedzialność za człowieka – za jego godność, dobrostan psychiczny, dobra osobiste, za to, żeby on mimo wszystko możliwie dobrze wypadł – ale tego nie robi. Przeciwnie: jak w jego domu wiaderko stoi, to trzeba je przewrócić, żeby bieda była „bardziej przekonująca" i żeby wzmocnić stereotyp.

UCZESTNICZKA PROGRAMU:

Nie miałam żadnych dylematów moralnych, bo widzowie powinni być świadomi, że telewizja kłamie, a biedna rodzina powinna wiedzieć, że to tylko gra.

Panią Dorotę poproszono, by nie robiła zbyt dużych porządków, pani Marcie kazano nie sprzątać podwórka, a pani Monika miała opróżnić lodówkę. – Nikt nie wyjaśnił, dlaczego, ale nie pytałam, bo i tak przez trzy dni miało nie być nas w domu – mówi pani Monika. – Wkurzyłam się, gdy wieczorem pierwszego dnia wróciliśmy i nie było nic do jedzenia. Po całym dniu nagrań byliśmy zmęczeni, ale musieliśmy lecieć jeszcze do sklepu. Nikt nas o tym nie uprzedził.

Trudno się nie przejmować

W każdym odcinku obie rodziny opowiadają o sobie – przy czym „bogaci" mówią zwykle wyłącznie o tym, czym zajmują się zawodowo i ile zarabiają, a „biedni" wypowiadają się również na tematy osobiste. Nie ma odcinka, w którym nie byłoby mowy o ich trudnych doświadczeniach: o przemocy, alkoholizmie, narkomanii, traumatycznym dzieciństwie, chorobach, niepełnosprawności itd. Niekiedy widać starania twórców, by potraktować te historie jako „usprawiedliwienie" ubóstwa i postawić uczestników w nieco lepszym świetle.

Starania te bywają jednak doprowadzane do absurdu, np. gdy rodzice, którym odebrano władzę rodzicielską nad kilkorgiem dzieci, są ukazywani jako ofiary bezdusznego systemu, kochający opiekunowie, którzy zrobią wszystko, by odzyskać starsze dzieci i nie stracić młodszych. Również takie historie są bowiem wprzęgane w tryby tego programu rozrywkowego i urozmaicane takimi punktami w scenariuszu jak zakup zabawek dla odebranych dzieci czy wizyta u prawnika wyjaśniającego, co należy zrobić, by je odzyskać. A w międzyczasie są kosmetyczka, fryzjer, przejażdżka limuzyną i romantyczna kolacja we dwoje. „Tak było w scenariuszu, musieliśmy to grać – pisze na Facebooku, próbując bronić się przed krytyką internautów, jedna z uczestniczek. – To nie ode mnie zależało, na co wydajemy te pieniądze. Proszę się odwalić od mojej rodziny. Za zniesławienie mnie publiczne jest paragraf".

Na Facebooku nie brakuje krytyki czy wręcz hejtu pod adresem uczestników. Niektórzy wdają się w dyskusje i są zaskoczeni negatywnymi ocenami. – Jedna pani z ekipy mówiła, żebyśmy się nie przejmowali, ale trudno się nie przejmować – mówi pani Weronika. – Niektóre komentarze internautów na Facebooku i tych bogatych ludzi w naszym domu były bardzo przykre.

Byłoby prawdziwiej

„Bogaci" również spotykają się z przykrymi komentarzami, ale zazwyczaj się ich spodziewają. Z reguły, zgłaszając się do programu, wiedzą, że to tylko gra. Niekiedy występowali już w podobnych produkcjach (sami albo z dziećmi) i nie ukrywają, że dążą do kariery w show-biznesie. To aktorzy amatorzy, którzy chwalą się udziałem w tym programie i zamieszczają w mediach społecznościowych zdjęcia z planu – z „biednego" albo „bogatego" domu. O ile bowiem „biedni" uczestnicy

naprawdę mieszkają w swoich domach, o tyle „bogaci" tylko udają, że są właścicielami domów przedstawianych jako ich własność. Udają przed widzami, ale też przed „biednymi" uczestnikami, którzy najczęściej dopiero od nas dowiadywali się, że zostali okłamani.

– Poproszono mnie, bym nie mówiła tamtej rodzinie, że nie mieszkam w bogatym domu, ale nie miałam poczucia, że ich okłamuję. Myślałam, że oni wiedzą, że to wszystko fikcja, i że też tylko odgrywają role – zapewnia pani Jolanta, która zgłosiła się do programu dla zarobku, bo jej branża ucierpiała w wyniku pandemii.

Oprócz aktorów amatorów w role „bogatych" wcielają się bowiem rozmaici ludzie, a powody ich decyzji bywają różne. Niekiedy część ich opowiedzianej w programie historii, np. zawód, jest prawdziwa, a czasem ich opowieść nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Niektórzy z nich wierzą, że w programie chodzi o zamianę domów, i są zdziwieni, gdy dowiadują się, że muszą grać w domach wynajętych na potrzeby programu (czego powodem jest wygoda producenta).

– Wolałabym wystąpić we własnym domu, byłoby prawdziwiej – mówi pani Bożena, której przeszkadzało, że odgrywa rolę właścicielki domu urządzonego nie w jej guście, a okłamywanie widzów i „biednej" rodziny nie stanowiło problemu. – Nie miałam żadnych dylematów moralnych, bo przecież widzowie powinni być świadomi, że telewizja kłamie, a biedna rodzina powinna wiedzieć, że to tylko gra – stwierdza.

Rozmawialiśmy z panią Krystyną z tej „biednej" rodziny – nie wiedziała. Gdy się dowiedziała, nie zmieniła pozytywnej opinii o programie. – Było super, ekipa super, the best, pozytywnie! – zachwyca się. – Polecam wszystkim i chętnie bym to powtórzyła. A hejt? No tak, było sporo hejtu, ale wie pani, zazdrość nie zna granic. Nie przejmuję się tym, moje dzieci też nie.

Przynajmniej dwoje dzieci pani Krystyny chyba się jednak przejmowało, skoro próbowały bronić matki w dyskusji na Facebooku, pisząc m.in.: „Jak czytam niektóre komentarze, to aż płakać się chce. Czemu się wtrącacie w czyjeś życie? Ciekawe, czy fajne byłoby dla was, jakby ktoś w wasze życie pchał się z butami... Ile w ludziach jest jadu... Wy byłyście, drogie panie, idealnymi mamusiami, że będziecie mówić, jaka ta mama jest? Ona wie, co jest najlepsze dla jej dzieci".

– Podczas nagrań moje dzieci miały ciężko, były na tej wsi wytykane palcami. Ale uprzedziłam je, że może być hejt w internecie, i nie przejmujemy się tym – zapewnia „bogata" pani Ilona, która wzięła udział w programie, bo występowanie w takich produkcjach to jej hobby, i „dla rozpieszczonych dzieci, by zobaczyły, że nie wszyscy mają tyle szczęścia co one".

UCZESTNICZKA PROGRAMU:

To jest rzeźnia, co się dzieje w mediach, telewizja żeruje na biedzie, na nieszczęściu... To obrzydliwe, ale ja nie jestem wojownikiem, nie zmienię tego.

Do dziś przypomina im, gdy źle się zachowują, o tamtych „biednych dzieciach", ale nie wpływa to na ich zachowanie.

Wiedziała, że „biedna" rodzina jest wprowadzana w błąd, ale nie miała z tym problemu, bo „jest w show-biznesie od tak dawna, że nic jej już nie zaskoczy". Z udziału w programie jest zadowolona, podobnie jak „bogata" pani Bożena (choć zgłosiła się dla przygody, a otrzymała „ciężką trzydniową pracę na planie – czy deszcz, czy zimno, czy głód, trzeba nagrywać") i „bogata" pani Ewa (dla której to była „super przygoda", i która chętnie by to powtórzyła, choć jej wypowiedziane przed kamerami przykre słowa do dziś bolą członków „biednej" rodziny). „Bogata" pani Jolanta jest natomiast „w miarę zadowolona" – cieszy ją zarobek, ale program zniesmacza.

– Nie oglądam telewizji, nie mam telewizora. To jest rzeźnia, co się dzieje w mediach, telewizja żeruje na biedzie, nieszczęściu, upośledzeniu. To obrzydliwe, ale ja nie jestem wojownikiem, nie zmienię tego – mówi „Tygodnikowi".

Inna „bogata" uczestniczka, której kilkuletnie dziecko parę razy płakało przed kamerami, najpierw mnie unikała udając, że jest kimś innym, a następnie odmówiła wypowiedzi. Wypowiedzi odmówiło też czterech „biednych" uczestników.

Teraz patrzą z szacunkiem

Rozmawialiśmy z trzynastoma osobami z „biednych" rodzin.

Część jest zadowolona z udziału. Pani Aneta – bo otrzymała pomoc. Pani Krystyna – bo było super. Pani Janina i pan Tomasz – bo miło spędzili czas. Pani Dorota i Kornelia – bo zobaczyły, że można żyć lepiej. Zachwyt dwóch ostatnich uczestniczek nieco słabnie, gdy dowiadują się, że „bogata" rodzina nie mieszka w tym domu, zwłaszcza że rozważały odwiedzenie jej i sądziły, że nie ma żadnej klauzuli poufności. Początkowo zachwycone ekipą, przypominają sobie, że zostawiła w ich domu straszny bałagan, mnóstwo naczyń do mycia, opakowania i resztki zamówionych posiłków, osiem worków śmieci. Wciąż jednak uważają, że program przyniósł im same korzyści.

– Wcześniej ludzie patrzyli na mnie spod byka, jak na patologię, a teraz patrzą z szacunkiem – mówi pani Dorota. – Wiele osób mi gratuluje, że byłam taka odważna, że się nie wstydziłam. Niektórzy uważają mnie nawet za celebrytkę, ale ja się za celebrytkę nie uważam. To była dla mnie i dla moich dzieci przygoda życia i nigdy tego nie zapomnimy. Poza tym ludzie, których tu poznałam, pomogli mi w różnych sprawach, dali dużo wsparcia psychicznego i takiego pozytywnego kopa.

Jej pełnoletnia córka Kornelia – podobnie jak wszyscy inni dorośli członkowie rodzin głównych bohaterów – nie podpisała żadnej umowy i nie otrzymała wynagrodzenia. Wynagrodzenie (1500 zł) otrzymują tu bowiem maksymalnie dwie osoby, zazwyczaj najstarsi członkowie rodzin. Bez względu na liczbę dorosłych i dzieci występujących w programie zarówno „biedne", jak i „bogate" rodziny mogą zarobić maksymalnie 3000 zł. Pani Kornelia jest jednak zadowolona. – To była moja życiowa szansa na pokazanie dzieciom, jak żyją rodziny bogate – zapewnia. – Chciałabym swoje życie zmienić na lepsze, bo w tym programie doświadczyłam, że można dążyć do celu, żyć lepiej i być szczęśliwym.

Pani Weronika, która zgłosiła się, bo szukała pomocy, jest częściowo zadowolona, ponieważ tę pomoc otrzymała (nie od „bogatych" jednak, lecz od internautów) i to była przygoda dla całej rodziny. Z drugiej strony było jej przykro, gdy czytała nieprzyjemne komentarze na Facebooku i słuchała niemiłych słów, jakie ↦

↦ „bogaci” wypowiadali w jej domu. Było jej też przykro, gdy dowiedziała się od nas, że została okłamana. Próbowała usprawiedliwić członków ekipy, mówiąc, że pewnie ukrywali prawdę, żeby nie zrazić jej rodziny i nie psuć jej zabawy. Jej mąż natomiast jest bardzo zadowolony, choć wśród negatywnych skutków udziału wymienia jeszcze anonimowe donosy do ośrodka pomocy społecznej.

Są też zdecydowanie niezadowoleni: pani Monika, pani Hanna, państwo Barbara i Piotr oraz pani Marta, która wprawdzie cieszy się, że dzieci przeżyły coś nowego, i jako jedna z nielicznych dowiedziała się przed pakowaniem, że nie będzie spać w „bogatym” domu, ale nie chciałaby powtarzać tego doświadczenia.

– Myślałam, że program pokaże prawdę i nie będzie tak okłamywał widzów – mówi. – Poza tym byliśmy zaskoczeni hejtem i tym, że nas też wprowadzono w błąd. „Bogata” rodzina wygadała się, że nie mieszka w tym domu, i mieliśmy żal, bo skoro my pokazaliśmy, jak mieszkamy, to oni też powinni.

Dziwny twór

O tym, jak w zderzeniu z deklaracjami twórców programu wygląda gotowy już materiał telewizyjny, opowiada też „Tygodnikowi” psycholog Paweł Augustyniak, który wystąpił w jednym odcinku. – Nie wiedziałem, że pan, z którym rozmawiałem, nie może odmówić spotkania ze mną, nie wiedziałem niczego o tym programie – mówi Augustyniak. – Zadzwonił do mnie ktoś z ekipy i zapytał, czy chcę pomóc uczestnikowi, a ja zgodziłem się bez zastanowienia. Mój kontakt z pacjentem i jego rodziną oceniam pozytywnie, właściwa praca odbyła się bez kamer i była zgodna z moim kodeksem zawodowym. Dobrze wspominam też kontakt z członkami ekipy. Swojej decyzji jednak żałuję, bo jestem świadomy, że występując w tym programie jako osoba wykonująca zawód zaufania publicznego, uwiarygadniam to, co się tam dzieje. Sam zresztą nie mogłem tego oglądać, byłem tak zażenowany i zdziwiony, że z normalnej ludzkiej relacji powstał dziwny telewizyjny twór, którego nie poznaję i pod którym się nie podpisuję. ©

ANNA GOLUS

Imiona uczestników zostały zmienione.

MONTAŻ TP·ONLINE // ADOBE STOCK

Spektakle pogardy

MICHAŁ RYDLEWSKI, MEDIOZNAWCA:

Telewizja przyznaje sobie prawo do tego, żeby okłamywać innych, manipulować nimi i w dodatku wmawiać im, że sami tego chcieli.

MICHAŁ RYDLEWSKI: To dobrze, że porozmawiała pani z tymi ludźmi. Żaden medioznawca tego dotychczas nie zrobił.

ANNA GOLUS: Dlaczego?

Bo większość z nich siedzi na kanapie i nie ma potrzeby rozmawiania z uczestnikami programów. Zakładają, że ci uczestnicy mają taką wiedzę jak oni – np. że to wszystko fikcja. I w ogóle nie interesuje ich perspektywa uczestników. Nie interesuje ich prawda, rzeczywistość, kulisy. Nie współczują zwykle ludziom wykorzystywanym przez telewizję i w gruncie rzeczy swoim autorytetem służą koncernom medialnym.

Pan wstał z kanapy.

Ja czuję się bardziej antropologiem niż medioznawcą, bo antropolog musi być w terenie. I nie wstałem sam. Stworzyłem zespół badający losy uczestników programów telewizyjnych i prowadzę badania wraz z moimi studentkami – Julią Ledwoch i Zuzanną Sroką, niezwykle wrażliwymi i odważnymi osobami, które nie boją się zaglądać w miejsca, od których inni odwracają wzrok, bo to niewygodne. Zaczęliśmy od rozmów z uczestnikami talent show, ale wielu z nich nie chciało rozmawiać, a inni rozmawiali niechętnie, bo po prostu wstydzili się tego, że zostali wykorzystani.

To pokazuje, że te programy to nie jest bezproblemowe dobro, bo jak coś jest bezproblemowym dobrem, to ludzie bardzo chętnie o tym opowiadają.

Oczywiście o tym samym świadczą te wszystkie klauzule poufności, nieodłączny element kontroli producentów nad uczestnikami. Potwierdza to też fakt, że twórcy programu „Bogaty dom – biedny dom" nie chcieli z panią rozmawiać.

Co Pan sądzi o tym programie?

To po prostu świństwo! Wyobraźmy sobie, co muszą czuć te dzieci, które przez trzy dni przebywały w zupełnie innym świecie, w świecie luksusu, spełniania marzeń, nauki tańca, po prostu szczęścia, kiedy wracają do swojej rzeczywistości i wiedzą, że tamta rzeczywistość nie jest dla nich. To jest czynienie ludzi nieszczęśliwymi.

Co ciekawe, w zapowiedzi tego programu stawia się pytanie, czy pieniądze dają szczęście, ale odpowiedź jest pełna sprzeczności. Deklaruje się, że pieniądze nie są najważniejsze, bo liczy się rodzina i miłość, ale pokazuje się co innego: że pieniądze dają szczęście. A jeśli nie masz pieniędzy, jeśli jesteś biedny, to jest to twoja wina, jesteś gorszy. Ten program to nic innego jak wykład wartości neoliberalnych i czysto konsumpcyjnych. Perfidny, bo widzowie są oszukiwani, a uczestnicy o innym (nie niższym!) kapitale kulturowym – okłamywani, manipulowani i wykorzystywani. I upokarzani, bo takie uświadomienie sobie, że byłem w lepszym świecie i teraz zostały mi po nim tylko wspomnienia, jest upokarzające. Sposób, w jaki biedni są ukazywani w tym programie, również jest upokarzający, podobnie jak komentarze lektora i „bogatych".

To się wpisuje w scenariusz „pan – cham", jeden z wyróżnianych przez Pana scenariuszy kultury upokarzania.

Ten scenariusz – realizowany zresztą nie tylko w mediach, ale też np. w relacji „warszawiaków" i „słoików" – zbudowany jest na wspomnianej przez panią opozycji, której korzenie sięgają w naszym kraju czasów pańszczyzny. Opozycja ta przekłada się na szereg pomniejszych: bogaty – biedny, wykształcony – niewykształcony, zaradny – niezaradny, czysty – brudny, lepszy – gorszy. W programie, który pani opisała, widzimy właśnie takie dwa różne światy: świat życia w luksusie, świat estetyczny, piękny, szczęśliwy, w którym nie ma żadnych problemów, i świat ludzi niezamożnych, który jest pełen problemów finansowych, zdrowotnych, mieszkaniowych, rodzinnych, pełen cierpienia i wstydu.

Te dwa światy nie są równe, jednego i drugiego nie pokazuje się w takiej samej perspektywie. Doceniany jest oczywiście styl życia ludzi bogatych, „panów" – to wzór, do którego ma dążyć biedny „cham". W innych, podobnych programach „wieśniaczka" musi przemienić się w „damę", a „wieśniak" w „dżentelmena", tutaj natomiast biedna rodzina ma zobaczyć, jak wygląda prawdziwe życie bogatych, co powinno ją zmotywować, aby ten styl życia osiągnąć.

Choć przecież wiemy, że to „prawdziwe życie bogatych" jest kłamstwem. Domy są wynajęte, „bogaci" grają i oszukują „biednych", ustawiają w nie swoim domu zdjęcia swojej rodziny.

Biedni uczestnicy są okłamywani i manipulowani, bo producenci potrzebują nie tylko ich smutnych historii i zaniedbanych domów, ale przede wszystkim – prawdziwych emocji. Jak powiesz komuś, kto nie jest aktorem, że ma się entuzjastycznie spakować, ale nigdzie nie jedzie, to jego entuzjazm nie będzie autentyczny. A jeśli powiesz rodzinie, że jedzie na trzy dni do bogatego domu, ona będzie się naprawdę cieszyć i pakować z entuzjazmem. I twórcy takich programów wybierają kłamstwo, podobnie jak twórcy talent show. Niestety polski kanapowy badacz zadowala się stwierdzeniem, że to wszystko spektakl, nie zastanawia się nad tym, czy uczestnicy mają świadomość, że biorą udział w spektaklu. I myśli: wszyscy wiedzą, że „telewizja kłamie".

Nie cierpię tego sformułowania.

I słusznie, bo telewizja to nie jest jakiś ponadludzki byt, który istnieje w sferze abstrakcji, tylko rzeczywistość tworzona przez ludzi. Ludzi, którzy wyznają pewne wartości, świadomie podejmują decyzje i doskonale wiedzą, co robią. Z naszych rozmów z uczestnikami programów talent show wynika, że absolutnie wszyscy, którzy współtworzą takie programy – od makijażystek, przez kamerzystów, po psychologów, którzy niestety pełnią rolę funkcjonariuszy tego systemu i mają na celu rozpoznać słabości uczestników, by móc je wykorzystać – doskonale wiedzą, że tworzą spektakl, pewnego rodzaju kreację. Nie byłoby w tym niczego złego, gdyby wszyscy ludzie, którzy biorą w tym udział i którzy to oglądają, o tym wiedzieli. Uczestnicy jednak nie wiedzą, dowiadują się dopiero w trakcie nagrań, a później nie mogą o tym rozmawiać, bo podpisali klauzulę poufności. A widzowie nie wiedzą, bo i skąd? Skąd mają wiedzieć, że to producent decyduje, kto wygra dany program, skoro w programie mówi się o tym, że to jurorzy wybierają?

Nie wybierają?

Ci ludzie nie mają najmniejszego wpływu na to, kto wygra, nie znają uczestników, robią i mówią to, co producent każe im zrobić i powiedzieć. Oni są tam pionkami, takim samym towarem jak uczestnicy, oni też podpisują klauzulę. No i teraz pytanie: czy ci ludzie kłamią? Tak, kłamią. Biorą udział w spektaklu i wiedzą, że oszukują ludzi. Kilku uczestników talent show, z którymi rozmawialiśmy, opowiadało nam, że niektórzy jurorzy za kulisami podchodzili do nich i przepraszali za to, co robią. Czyli mają świadomość, że sprzedali się telewizji. Nie można jednak mówić, że „telewizja kłamie", bo nikt nie potrafi powiedzieć, kto to jest telewizja. Trzeba powiedzieć wprost, kto kłamie. A kłamią oczywiście producenci i nadawcy, ale też ci „bogaci", o których pani pisze, czy jurorzy w talent show. Czasami jakiemuś jurorowi zdarzy się powiedzieć prawdę, np. Robert Leszczyński, pierwszy juror „Idola", powiedział kiedyś, że w tych programach wygrywa ten, kto najbardziej spodoba się producentowi, to producent decyduje i jest to uzależnione od tego, na kim telewizja zarobi najwięcej, a ludziom się wydaje, że wybierają. Ta wiedza o kulisach odsłaniana niekiedy przez dziennikarzy prasowych nie dociera jednak do wszystkich widzów. Gdybyśmy wyszli na ulicę i popytali zwykłych ludzi, to pewnie większość powiedziałaby, że to jurorzy wybierają.

Ja też bym tak powiedziała.

No właśnie, a o ile większa jest pani świadomość od świadomości przeciętnego widza. Ja rozumiem, że można coś zrobić dla pieniędzy, ale to trzeba powiedzieć wprost, a nie udawać i kłamać, że ma się na cokolwiek wpływ i że tutaj chodzi o wybór talentów. W talent show nie chodzi o talent, tylko o show, zarabianie kasy. A uczestnicy, którzy mają talenty, ↦

↦ marzenia, pasje, są towarem, mięsem armatnim dla producentów i koncernów medialnych. I to nie jest tak, że oni „sami chcieli", sami prosili się o upokorzenie, okłamanie i wykorzystanie, bo zgłosili się do telewizji. Nie, uczestnicy talent show – podobnie jak ci ludzie, z którymi pani rozmawiała – wcale nie wiedzą, na co się piszą. I to jest kluczowa rzecz.

Tak samo jest z dziećmi. Od lat piszę o łamaniu praw dzieci w telewizji, a takich programów jest coraz więcej, dawno przestałam je liczyć.

Rozumiem to poczucie osamotnienia, ale nie możemy odpuszczać, to jest nasza rola. Przede wszystkim jest to jednak odpowiedzialność państwa i według mnie powinno ono mieć lepsze niż obecnie narzędzia do kontrolowania nadawców i producentów. Państwo powinno to kontrolować, bo niedługo telewizja zacznie emitować patostreaming [transmisje patologicznych zachowań, np. przemocy albo libacji, na razie pokazywane wyłącznie w internecie – red.] albo dziecięce wersje programów w stylu „Warsaw Shore", gdzie dzieci będą uprawiać seks przed kamerami.

Akurat tego nie będzie, bo jedyne wizerunki dzieci, jakich w naszym kraju absolutnie nie można tworzyć ani rozpowszechniać, to wizerunki pornograficzne. Poza tym wszystko można.

Może więc warto byłoby dopisać do systemu prawnego, że nie można ukazywać dzieci – i zresztą w ogóle ludzi – w sposób poniżający, odbierający im godność. Gdy rzucam taki pomysł, zaczynają się zwykle filozoficzne dysputy o tym, że to niemożliwe, bo niby kto miałby wyznaczać, czy komuś odebrano godność. Według mnie jednak jak najbardziej da się to ocenić i zaprojektować przepisy prawa tak, by może nie wyeliminować, ale przynajmniej ograniczyć upokarzanie ludzi w telewizji.

Znacznie większym problemem jest to, że ludzie, badacze stracili kompas i poznawczy, i moralny. A telewizja wmawia nam wszystkim, że „ludzie tego chcą". To najbardziej populistyczna odpowiedź, jaka istnieje, i nikt tego nigdy nie sprawdził.

Nikt nie badał, co ludzie chcą oglądać?

> Twórcy programów telewizyjnych usprawiedliwiają swoje wybory głupotą widzów. Ale ludzie wcale nie są głupi. To telewizja ich ogłupia, a potem mówi: „Ej, ale wy tacy jesteście".

KONSTANTY USZAKOW

MICHAŁ RYDLEWSKI jest adiunktem w Zakładzie Medioznawstwa Instytutu Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej na Uniwersytecie Wrocławskim. Etnolog, filozof, literaturoznawca. Autor książek „Żeby widzieć, trzeba wiedzieć. Kulturowy wymiar percepcji wzrokowej" (Bydgoszcz 2016) i „Scenariusze kultury upokarzania. Studium z antropologii mediów" (Wrocław 2019).

Nie, zresztą nawet gdyby ktoś zapytał widzów, co chcieliby oglądać w telewizji, to wiele zależałoby od tego, jak sformułowałby pytanie. Bo inaczej odpowiemy na pytanie: „Czy chciałaby pani oglądać program ukazujący utalentowanych ludzi i dający im szansę na sukces?", a inaczej na pytanie: „Czy chciałaby pani oglądać program, w którym ludzie są okłamywani i upokarzani dla zysku producentów i telewizji?". Rozmawiałem o tym kiedyś z prof. Małgorzatą Lisowską-Magdziarz. Według niej twórcy programów telewizyjnych usprawiedliwiają swoje wybory głupotą widzów: mówią, że robią głupie programy, bo ludzie są głupi. Ale ludzie wcale nie są głupi. To telewizja ich ogłupia, a potem mówi: „Ej, ale wy tacy jesteście".

A były badania, w których zadano pytanie, dlaczego ludzie to oglądają? Dlaczego lubią „Kuchenne rewolucje" albo inne programy, w których upokarza się ludzi?

Nie znam takich badań. Na pewno motywacje są różne, różne są też próby ich wyjaśniania. Np. prof. Andrzej Szahaj sformułował tezę, że w Polsce panuje kultura upokarzania, która jest tak wszechobecna, że w ogóle jej nie zauważamy. Według niego „upokarzani chcą oglądać innych upokarzanych, aby lepiej znieść swe własne upokorzenie". Teza Szahaja jest trudna do zweryfikowania, w gruncie rzeczy to jego intuicja kulturoznawcza.

Jakie są Pana intuicje?

Myślę, że Szahaj ma rację: ludzie doświadczający upokorzenia w rzeczywistości – np. przez szefa w pracy – mogą oglądać takie programy, żeby odreagować. Ale mam też taką intuicję, że ludzie to oglądają, bo przez 30 lat treningu po prostu nauczyli się to oglądać.

Wszystkie te spektakle upokarzania to ideologiczna kampania wmawiania nam wartości neoliberalnych. Ludzie uwierzyli, że każdy jest kowalem własnego losu, wygrywają najlepsi, a droga do sukcesu wiedzie przez poniżenie.

Z drugiej strony mam też intuicję, że gdyby widzom zaproponować coś innego, to oni też by to oglądali. Istnieją przecież programy, w których nie ma żadnego upokarzania, a są chętnie oglądane – np. „Twoja twarz brzmi znajomo". To pokazuje, że inna telewizja jest możliwa, że widzowie wcale nie muszą być bombardowani rzucaniem talerzy i poniżaniem ludzi. Być może wcale tego nie chcą. Gdyby przeprowadzono takie badania, mogłoby się okazać, że ludzie nie chcą oglądać upokarzania innych.

Warto byłoby jeszcze zapytać widzów, czy chcą być okłamywani i doświadczać przemocy. Bo okłamywanie to też – jak upokarzanie – forma przemocy.

Tak, to jest właśnie ta foucaultowska wiedza-władza – „ja wiem, ale ci nie powiem, więc mam nad tobą władzę".

Telewizja przyznaje sobie prawo do tego, żeby okłamywać innych, manipulować nimi i w dodatku wmawiać im, że sami tego chcieli. Ale znów: kto to jest telewizja? ©

Rozmawiała ANNA GOLUS

weź, czytaj!
w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Mieszkanie Boga

Plagi egipskie, rozstąpienie się morza, teofania na górze Synaj – dotychczas działał Bóg. Nadszedł czas, by zawarte przymierze przypieczętowała ludzka ręka. Najwyższy nakazuje więc przez Mojżesza, by sporządzić przenośną Świątynię, która będzie towarzyszyć Izraelitom w ich pustynnej tułaczce. Gdy w Ziemi Izraela umocnią się zręby państwowości, stanie tam już trwała struktura. Na razie będzie Przybytek, po hebrajsku *Miszkan* (od rdzenia Sz-Ch-N), zbiegiem okoliczności przypominający polskie „mieszkanie".

Salomon zdaje sobie sprawę, że niebiosa nie są w stanie pomieścić Najwyższego, tym bardziej zbudowana przez króla Świątynia. Przez usta Izajasza Najwyższy powątpiewa w dom, który możemy dla Niego wznieść, skoro niebo jest Jego tronem, a ziemia służy Mu za podnóżek. Po co więc Bogu mieszkanie na ziemi?

Zdecydowanie nie jest ono potrzebne Stwórcy, tylko nam, w miarę jak oddalamy się od góry Synaj w przestrzeni i w czasie. Miszkan zajmuje centralne miejsce w obozie. To widomy znak nieustającej Bożej obecności wśród swego ludu. W Przybytku uwijają się kapłani, tam Mojżesz spotyka się z Najwyższym. Zwykłym śmiertelnikom wstęp wzbroniony, niemniej jednak dla pospolitego Izraelity stanowi On źródło otuchy: Bóg ma tu dom, zatem jest stale z nami.

Midrasz używa takiej paraboli: był sobie raz król, który miał jedyną córkę. Jeden z królów przyszedł i poślubił ją. Kiedy jej mąż chciał wrócić do swego kraju, jej ojciec rzekł do niego: „Moja córka, której rękę ci oddałem, jest moim jedynym dzieckiem; nie mogę się z nią rozstać. Nie mogę ci też powiedzieć: »Nie bierz jej«, bo jest twoją żoną. O tę jedną łaskę cię proszę: gdziekolwiek będziesz mieszkał, przygotuj mi izbę, abym mógł zamieszkać z tobą, gdyż nie mogę opuścić mojej córki". W ten sam sposób Bóg powiedział do Izraela: „Dałem ci Torę. Nie mogę się z nią rozstać, a także nie mogę ci powiedzieć, żebyś jej nie brał. Ale tego żądam od ciebie: gdziekolwiek pójdziesz, uczyń Mi dom, w którym będę mógł zamieszkać".

W Przybytku zamieszkuje *Szechina* (rdzeń Sz-Ch-N), immanencja Boga, zwana też Bożą Obecnością lub żeńskim aspektem Boga. Szechina ma najniższą pozycję wśród Bożych emanacji. Istnieje też inny Jej obraz: przebywa Ona wraz z Ludem Izraela na wygnaniu. „Uczynią Mi Świątynię i zamieszkam pośród nich" (Wj 25, 8), a nie „w Niej", co wydaje się naturalnym zakończeniem tego zdania. Czyżbyśmy mieli przygotować w swoim wnętrzu mieszkanie dla Najwyższego? Wprawdzie miejsca kultu działają na nas w sposób szczególny, ale nie zmienia to faktu, że Bóg jest wszędzie. Oby dane nam było ocknąć się jak Praojciec Jakub ze snu o drabinie i uświadomić sobie Bożą obecność w szczerym polu. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Święty gniew

„Zbliżało się żydowskie święto Paschy i Jezus udał się do Jerozolimy. Na dziedzińcu świątyni napotkał sprzedawców wołów, owiec i gołębi oraz tych, którzy prowadzili wymianę pieniędzy. Wówczas splótł bicz ze sznurów i przepędził wszystkich z terenu świątyni, również owce i woły. Rozrzucił pieniądze tych, którzy je wymieniali, a ich stoły powywracał. Sprzedawcom gołębi zaś nakazał: »Zabierzcie stąd to wszystko i nie róbcie targowiska z domu mego Ojca!«". Handel w cieniu świątyni przed świętami szedł w najlepsze, toć przecie dla sprzedawców ówczesnych dewocjonaliów czas żniw. I naraz przychodzi ktoś, jakiś niby rabin, bo „czy może być coś dobrego z Nazaretu?". Owszem, sławny, ale chyba przez niedopatrzenie, skoro dopuszcza się takiego bezbożnictwa. Dzisiaj, powiedzielibyśmy, obraża uczucia religijne, zwłaszcza ludzi poważanych i pobożnych bankierów, którzy zarabiali na wymianie obcej, nieczystej waluty na czystą, bo świątynną.

Poszkodowani żądają więc od Jezusa znaku, który by uwiarygodnił Jego uprawnienia do takiego obrazoburczego zachowania. Z czasem, już w erze Kościoła, wydarzenie to wykorzystywano do uzasadnienia czegoś takiego jak święty, a więc słuszny gniew. Ale nie o gniew tu chodzi.

W tzw. święty gniew wpadają najczęściej uzurpujący sobie prawo do wszechwiedzy. Wiedzą, że istnieje i ma prawo istnieć tylko to, co mieści się w ich głowach, i jeśli jakiś fakt w tych głowach się nie mieści, tym gorzej dla faktu. Dlatego lubią takie krótkie zdanko: „Nigdy tak nie było". Ono jest też argumentem rozstrzygającym wszelkie wątpliwości. Przykład? Papież Franciszek znowu grzeszy, dopuszczając kobiety do rozdawania komunii, na dodatek „na rękę", bo przecież nikt o czymś takim nie pamięta.

Jezus nie jest z tych, którzy nie pamiętają, wie, że „królestwo niebieskie doznaje gwałtu i gwałtownicy je zdobywają". Reaguje gwałtownie, gdyż „gorliwość o [Boży] dom pochłania" Go. Jezus „nie szuka siebie". Walczy o tych, którzy czyhają na Jego życie w przekonaniu, że w ten sposób dobrze przysługują się Bogu, ojczyźnie i honorowi, czyli swojemu dobremu samopoczuciu.

Gwałtowny sprzeciw Jezusa nie wypływa z powodu urażonej dumy czy czegoś podobnego, ma swoje źródło zupełnie gdzie indziej. „Walczyć i jednocześnie kochać nie jest ani niemożliwe, ani absurdalne. To, co niemożliwe i absurdalne, to miłość narzucana przymusem, jako prawem określona reguła. Innymi słowy, niemożliwa jest dyktatura miłości i dyktatura dobra" – mówi Leszek Kołakowski. To znaczy, że Jezus chce w ludziach obudzić sumienia, rozum, serce, chce zburzyć wydumany przez nich świat i przywrócić ich dziejącej się tu i teraz rzeczywistości. Ona jest świątynią Boga. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Sprawiedliwość większa

W doskonałości Pana odpoczywam.

ODY SALOMONA

Cztery pory roku przechodzą jedne w drugie, a to, co zostało już osiągnięte, zmienia się w to, co dopiero nadchodzi.

WANG BI

„Jeśli wasza sprawiedliwość nie będzie większa niż uczonych w Piśmie i faryzeuszów, nie wejdziecie do Królestwa niebieskiego” (Mt 5, 20). Potrzebujemy koniecznie usłyszeć to zdanie Jezusa – my, którzy ze sprawiedliwości uczyniliśmy najważniejszy punkt odniesienia. Sami najchętniej uważamy się za sprawiedliwych („ogólnie w porządku”); zdecydowanie też domagamy się sprawiedliwości (tzn. uznania wszystkich naszych praw i roszczeń); zasadniczo jesteśmy też przekonani nie tylko o swoim prawie, by osądzać innych, ale również o tym, że czynimy to sprawiedliwie – bo w ogóle wszystkim należy „wymierzyć sprawiedliwość”.

Pan mówi nam w przywołanym na wstępie zdaniu, że to, w jaki sposób egzekwujemy sprawiedliwość – tak wobec siebie, jak i wobec innych – może nam otworzyć lub zatrzasnąć przed nosem drzwi do Królestwa niebieskiego.

Jaka to sprawiedliwość? Raczej nieprzystająca do naszych wag i odważników. „Kto by rzekł bratu: Bezbożniku, podlega karze piekła ognistego” (Mt 5, 22). Piekło za jedno słowo? Już słyszę komentarze: „semicka przesada”, „taka hiperbola” albo (powszechniejsze) „straszenie piekłem”.

Tymczasem to nie jest „semicka przesada”, tylko inna miara: sprawiedliwość „większa”. O ile większa? O co większa? Odpowiedź brzmi: o całego Jezusa. Dla nas miarą sprawiedliwego postępowania jest Jezus, a nie tak czy inaczej zapisane prawo (nawet Prawo). Punktem odniesienia jest to, w jaki sposób Jezus je rozumie i w jaki sposób je „wypełnia” („Nie przyszedłem znieść Prawa, ale je wypełnić”). Pięknie to kiedyś wyraził Benedykt XVI: „Torą Mesjasza jest sam Mesjasz”.

Nasza sprawiedliwość musi być większa o całego Jezusa od sprawiedliwości tych, którzy odwołują się do takiego czy innego kodeksu. Przykład?

Pada zaraz w następnych czterech wersetach: „Jeśli niesiesz dar swój przed ołtarz i tam sobie przypomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar twój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim. Potem przyjdź i dar swój ofiaruj. Pogódź się ze swoim przeciwnikiem szybko, dopóki jesteś z nim w drodze, by cię przeciwnik nie wydał sędziemu, a sędzia dozorcy, i aby nie wtrącono cię do więzienia. Zaprawdę powiadam ci: Nie wyjdziesz stamtąd, dopóki nie zwrócisz ostatniego grosza” (Mt 5, 23-26).

Jak widać, celem Jezusowej sprawiedliwości nie jest wcale, by orzec, kto jest winien – wydać i wykonać „sprawiedliwy” wyrok („odsiedział i zapłacił”); celem Jezusowej sprawiedliwości jest pojednanie między braćmi. Przy czym polskie „pogódź się” z trudem oddaje greckie *isthi eunoon*, tzn. „stań się (w pełni) dobrze myślącym o swoim przeciwniku”. Wtedy wypełni się Boża sprawiedliwość. Wtedy razem będziecie mogli złożyć dar na ołtarzu. Wtedy też razem wejdziecie do Królestwa niebieskiego. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (7 – 14 III)

3. niedziela Wielkiego Postu:
Wj 20, 1-17; Ps 19; 1 Kor 1, 22-25; J 2, 13-25;
Poniedziałek: 2 Krl 5, 1-15a; Ps 42;
Łk 4, 24-30;
Wtorek: Dn 3, 25. 34-43; Ps 25; Mt 18, 21-35;
Środa: Pwt 4, 1. 5-9; Ps 147B; Mt 5, 17-19;
Czwartek: Jr 7, 23-28; Ps 95; Łk 11, 14-23;
Piątek: Oz 14, 2-10; Ps 81;
Mk 12, 28b-34;
Sobota: Oz 6, 1-6; Ps 51; Łk 18, 9-14;
4. niedziela Wielkiego Postu:
2 Krn 36, 14-16. 19-23; Ps 137; Ef 2, 4-10; J 3, 14-21.

Wybrał PIOTR SIKORA

KATARZYNA PIERZCHAŁA / EAST NEWS

SZKOŁA I ANTYWARTOŚCI

RAFAŁ PANKOWSKI, SOCJOLOG I POLITOLOG:

Przekonanie, że im wyższy poziom edukacji, tym wyższy poziom tolerancji czy świadomości obywatelskiej, jest niestety błędne.

JĘDRZEJ DUDKIEWICZ: W działaniach radykalnych ugrupowań prawicowych uczestniczą też dobrze wyedukowani ludzie z klasy średniej. To porażka polskiej szkoły?

RAFAŁ PANKOWSKI: Od kilkudziesięciu lat nasz system edukacji jest nastawiony na model technokratyczny, opierający się na przekazywaniu – mniej lub bardziej skutecznie – określonego zasobu wiedzy i umiejętności. Jednocześnie w znacznym stopniu ignorowane są w nim wartości humanistyczne. Te zaś są bardzo istotne dla funkcjonowania społeczeństwa demokratycznego. Chodzi o to, byśmy rozumieli, jaki w ogóle jest sens państwa jako wspólnoty obywateli, i aby były nam bliskie tak fundamentalne sprawy, jak szacunek dla drugiego człowieka, różnorodności, odmienności.

Nawet jeśli w szkole nie jest realizowany określony pomysł na wychowanie, to i tak działa tzw. ukryty program wychowawczy. Nauczyciel nie musi pukać do klasy, w przeciwieństwie do ucznia, który chce wejść do pokoju nauczycielskiego, bo nauczyciel ma władzę.

Szkoła może być postrzegana jako miniatura państwa i społeczeństwa. Jeśli tak jest, to nie przekazuje zbyt dobrego wzorca jako instytucja dość opresyjna, z fasadowymi instancjami, takimi jak samorząd uczniowski. W systemie najwyżej ceniona jest umiejętność funkcjonowania w ramach schematów, reguł gry wyznaczanych przez instytucję. Podobnie jak w czasach PRL, kiedy liczyło się to, jak oszukać instytucje, a nie identyfikować się z nimi. Zmieniło się pod tym względem niestety bardzo niewiele.

Polska szkoła nie uczy współpracy.

Wiąże się to m.in. z dominującym przez wiele lat – i wciąż obecnym – paradygmatem zakładającym, że rywalizacja między ludźmi jest osią systemu. Mamy w szkole przedmiot pod nazwą „podstawy przedsiębiorczości", a nie uczymy o sprawiedliwości społecznej czy związkach zawodowych.

Młodzież Wszechpolska przed warszawskim ratuszem protestuje przeciwko propozycji zmiany nazwy ronda Dmowskiego na rondo Praw Kobiet, luty 2021 r.

Kolejnym elementem wpływającym na popularność skrajnej prawicy, zwłaszcza wśród młodych mężczyzn, jest temat *gender*, czyli tego, jak szkoła socjalizuje młodych ludzi w związku z rolami płciowymi. Związane jest to z kryzysem męskości, z którym łączy się mechanizm kompensacji w formie postawy macho. Analogicznie nacjonalizm jest formą kompensacji niepewnej tożsamości na poziomie narodu.

Kiedy chłopcy zaczepiają dziewczynki, bagatelizuje się to – ot, końskie zaloty, a kiedy się biją – że muszą się wyszumieć. W dorosłym życiu nagle okazuje się, że dziewczyny są wykształcone i świadome siebie. Edukacja seksualna w szkole w zasadzie nie istnieje. Te dziewczyny nie mają o czym rozmawiać z chłopakami.

Zjawisko to nasiliło się w ostatnich latach – jest wiele danych pokazujących wyraźną różnicę nie tylko w poglądach politycznych, ale ogólnie w patrzeniu na świat między młodymi mężczyznami i kobietami w Polsce.

Luk w edukacji antydyskryminacyjnej jest niestety mnóstwo. Niektóre z nich próbują wypełniać organizacje pozarządowe, ale to coraz trudniejsze, zresztą nie jest to rozwiązanie idealne, bo potrzebujemy zmiany systemowej. Mogę jednak opowiedzieć także o pozytywnych przykładach...

Koniecznie, dotąd głównie narzekamy.

Jako Stowarzyszenie Nigdy Więcej we współpracy z UEFA prowadziliśmy program edukacyjny związany z Euro 2012. Był on skierowany m.in. do nauczycieli WF-u. Ich reakcje były wtedy entuzjastyczne i dużo udało się zrobić. Niedawno we współpracy z Fundacją „Naprzód" rozpoczęliśmy nowy projekt online – poświęcony tradycji antyfaszyzmu i antyrasizmu. W ostatnich latach jest jednak trudniej. Nacisk polityczny rośnie, zarówno ze strony ministerstwa, jak i kuratorów, czego ekstremalnym przykładem są działania Barbary Nowak z Krakowa.

Trzy lata temu w Ełku kibole i nacjonaliści demolowali miasto i atakowali osoby o ciemniejszym kolorze skóry. Jedno z przedszkoli zgłosiło się do nas z prośbą o przeprowadzenie zajęć antyrasistowskich. Miało to dla miejscowej społeczności znaczenie symboliczne. Nasza koleżanka poprowadziła warsztaty, opowiadając na elementarnym poziomie o tym, że na świecie są ludzie różnych narodowości i każdego należy traktować z szacunkiem. I wszystko byłoby wspaniale, gdyby nie smutne *postscriptum*. Otóż jeden z rodziców napisał do kuratorium, że nie życzy sobie, by jego dziecku mówiono o antyrasizmie. W przedszkolu zrobiono kontrolę, a niedługo później zwolniona została jego dyrektorka.

Jeśli ktoś w Polsce mówi o wartościach, to paradoksalnie prawica. Tyle że w sposób, który nie buduje w młodych patriotyzmu i szacunku do historii, efekt jest często odwrotny do zamierzonego. Podobnie z lekcjami religii.

To smutna prawda, że głównie prawica zwraca uwagę na wartości. Smutna i przerażająca, bo to, co aktualny minister edukacji i nauki, Przemysław Czarnek, chce od pierwszego dnia urzędowania wtłoczyć do szkół, nie ma wiele wspólnego z wartościami humanistycznymi. Są to raczej antywartości, których symbolem mogą być wypowiedzi ministra – ksenofobiczne, pełne pogardy dla mniejszości.

Wspomniał pan o lekcjach religii: to *de facto* niemalże jedyny czas w szkole na rozmowę o wartościach. W tym przypadku w większym stopniu chodzi jednak o przekaz określonej tożsamości. To z kolei wiąże się ze społeczną rolą Kościoła w Polsce, w znacznym stopniu opartą na pojęciu Polaka-katolika. O wiele rzadziej mówi się w szkole o różnorodności, także wyznaniowej. Trochę jak w PRL, kiedy w podręcznikach mocno podkreślano, że II wojna światowa była tragedią, ale po niej w Polsce nie było już mniejszości narodowych i to dobrze, bo nie ma z nimi problemów.

Tymczasem na lekcjach wiedzy o społeczeństwie uczeń dowiaduje się głównie tego, które państwo jest unitarne, a które to federacja.

To właściwie nauka o instytucjach, formalnym kształcie państwa, ordynacji wyborczej etc. Wiedza skądinąd przydatna, ale nie można się do niej ograniczać. Mało jest nauki argumentacji, samodzielnego szukania informacji, oddzielania prawdziwych od nieprawdziwych. A krytyczne myślenie jest szczególnie cenne, wręcz niezbędne w świecie wirtualnym. ↦

Kiedy na początku tego wieku prowadzona była akcja „Internet w każdej szkole", „Nasz Dziennik" protestował, twierdząc, że równie dobrze można by jej hasło rozszerzyć do „pornografia w każdej szkole". Po zastanowieniu musiałem przyznać im trochę racji, chociaż sam powiedziałbym: „faszyzm w każdej szkole". Platformą radykalizacji jest chociażby YouTube, gdzie zasięgi niektórych skrajnie prawicowych twórców są większe niż dużych stacji telewizyjnych. Dość symboliczne wydaje mi się, że siedziba studia kanału wRealu24, które jest najgorszym ściekiem rasistowskich, antysemickich i homofobicznych treści, mieści się w dawnym budynku PAST-y, symbolu Powstania Warszawskiego.

Po takiej szkole młodzi ludzie idą na studia, które często wcale nie różnią się tak bardzo od wcześniejszych etapów edukacji.

System edukacji na poziomie uniwersyteckim jest pod wieloma względami przedłużeniem polskiej szkoły. Kontrast między studiami w Polsce i za granicą wydał mi się swego czasu olbrzymi. Na Uniwersytecie Warszawskim musiałem nauczyć się określonych treści na konkretny termin w trakcie sesji. Na Oxfordzie co tydzień musiałem przeczytać sporo książek i napisać długi esej, z własną, oryginalną myślą na ich bazie. Także doświadczenie różnorodności kulturowej w społeczności akademickiej było dla mnie ważne. Na polskich uczelniach niestety wciąż jest ono rzadkie.

W związku z kryzysem demograficznym maleje liczba polskich studentek i studentów, więc uczelnie mogłyby przyjąć o wiele więcej osób z zagranicy. Nie jest jednak łatwo ich przekonać do przyjazdu, także ze względu na wysoki poziom ksenofobii. Nigdy nie zapomnę wypowiedzi ówczesnego ministra szkolnictwa wyższego, Jarosława Gowina, który po serii pobić studentów z zagranicy stwierdził, że wydarzyło się to poza terenem uniwersytetu, więc go to nie interesuje i jest poza obszarem jego kompetencji.

Co roku jestem też pytany przez zagranicznych studentów, czy to prawda, że przybysze z zagranicy mieszkający w Warszawie nie powinni 11 listopada wychodzić z domu.

I co Pan odpowiada?

Co roku jestem pytany przez zagranicznych studentów, czy to prawda, że przybysze z zagranicy mieszkający w Warszawie **nie powinni 11 listopada wychodzić z domu.**

Nie wiem, co powiedzieć. Z jednej strony, kiedy jedna z uczelni białostockich oficjalnie mówi swoim zagranicznym studentkom i studentom, żeby nie wychodzili na ulicę, bo w centrum miasta będzie maszerował ONR, świadczy to o kompletnej kapitulacji. Z drugiej – gdybym zachęcał zagranicznych studentów w stolicy do wychodzenia na ulicę w święto narodowe, bałbym się, że narażam ich na przykre doświadczenia i niebezpieczeństwo. Niektórych to niestety nie ominęło także w lutym, gdy zaczęła się pandemia – studentki z Wietnamu zostały zaatakowane w biały dzień w centrum Warszawy. Fala ksenofobii dotyka osoby, które po studiach w naszym kraju mogłyby być ambasadorkami i ambasadorami Polski. Pod warunkiem, że będą mieć dobre wspomnienia.

Do wielu tzw. wyższych szkół tego i owego trafiają ludzie, którym obiecano, że jeśli skończą studia, to będą mieć życie na dobrym poziomie. A potem zderzają się z rzeczywistością.

Uczelniany *boom* przez lata miał na celu zagospodarowanie młodych ludzi z rynku pracy, by w ten sposób zmniejszyć społeczne skutki bezrobocia. Sam fakt upowszechnienia studiów wyższych nie jest niczym złym, ale przy okazji nastąpiła też wyraźna dewaluacja dyplomu. Z jego wartością jest bardzo różnie, chociaż sam fakt jego posiadania świadczy o pewnych aspiracjach.

Aspiracjach, które w dużej części nie mogą być zaspokojone.

To prawda, ale to też nie jest nowe zjawisko. Nadprodukcja inteligencji była faktem w Polsce międzywojennej i często stanowiła pożywkę dla ruchów radykalnych. Przekonanie, że im wyższy poziom edukacji, tym wyższy poziom tolerancji czy świadomości obywatelskiej w społeczeństwie demokratycznym, jest błędne – czego przykładem Obóz Narodowo-Radykalny. Pobóg-Malinowski pisał w „Najnowszej historii Polski", że organizacja ta składała się z młodzieży formalnie dobrze wykształconej, ale w swej istocie chamskiej i pustej moralnie. Powstaje jednak pytanie o społeczne podłoże ekstremizmu prawicowego w dzisiejszej Polsce. W najbardziej klasycznym modelu faszyzm czy ekstremizm są owocem kryzysu gospodarczego. A w Polsce nie było takiego kryzysu, jak gdzie indziej.

Byliśmy zieloną wyspą.

Myślę jednak, że ten kryzys u nas jakoś się zaznaczył i cały czas odczuwamy jego reperkusje. Po pierwsze, Polska nie była i nie może być do końca zieloną wyspą, bo jako część międzynarodowego systemu gospodarczego w ogóle nie jest w stanie być jakąkolwiek wyspą. Po drugie, kryzys nie musi być wyłącznie kryzysem ekonomicznym – może być kryzysem społecznym, wynikającym z niepewności, niepokoju. Na tę niepewność nałożyła się propaganda antyuchodźcza, chociaż wiemy, że w 2015 r. rzekomy problem masowej imigracji Polski praktycznie nie dotyczył. Mimo to liderom mniej lub bardziej skrajnej prawicy udało się wykreować poczucie zagrożenia. A niepewność co do przyszłości może być związana także z tym, że dyplom uczelni nie daje tyle, ile by jego posiadacz oczekiwał.

Skupiamy się na tym, jak ma być zorganizowany system i jakie informacje przekazywać – ale co tak naprawdę ma sobą reprezentować absolwentka czy absolwent uczelni?

Także w tym widoczny jest paradygmat neoliberalny, który szczególnie w ostatnich latach odcisnął piętno na szkolnictwie wyższym. Zwłaszcza minister Gowin zrobił wiele, żeby model technokratyczny jeszcze mocniej zdominował polskie uniwersytety. Wiąże się to chociażby z zupełnie absurdalną pogonią za punktami. Nie jest ważne, czy pracownik naukowy powiedział coś mądrego, odkrył i opisał coś ważnego, ma tylko zdobyć określoną liczbę punktów w określonym czasie. To swoista waluta, która ma legitymizować funkcjonowanie w życiu akademickim, ale redukuje sens działal-

ności naukowej do bardzo wąskiego wymiaru. I to jest tragedia.

Obecnie minister Czarnek krytykuje podejście neoliberalne, ale z pozycji, które są nie do przyjęcia, bo stanowią koniec idei uniwersytetu jako autonomicznej instytucji. Dąży do przekształcenia systemu edukacji w narzędzie promocji ideologii narodowo-katolickiej. Reakcja środowisk akademickich i studenckich wciąż jest dość słaba, co o tyle dziwne, że ta nominacja jest splunięciem w twarz humanistycznego etosu inteligencji.

Poszukajmy rozwiązań. Czy szkoła mogłaby którąkolwiek z rzeczy, o których rozmawiamy, szybko zmienić lub poprawić?

Dziś szanse na to są praktycznie zerowe. Ale poza szkołą, jako państwo i społeczeństwo, moglibyśmy robić więcej. Tymczasem działacz Młodzieży Wszechpolskiej, Adam Andruszkiewicz, znany z głoszenia strasznych treści, najpierw był wiceministrem cyfryzacji odpowiedzialnym za kontakt z korporacjami, które zarządzają mediami społecznościowymi, a potem przeszedł do Kancelarii Premiera, zresztą z podobnym zakresem obowiązków.

Jakby tego było mało, Polska jest – z tego, co wiem – jedynym krajem, którego rząd wynegocjował z Facebookiem specjalną dodatkową instancję odwoławczą, do której każdy może się zgłosić po tym, jak jego konto zostanie usunięte w związku z niedopuszczalnymi treściami. Niedawno zresztą Ministerstwo Sprawiedliwości ogłosiło nową inicjatywę, która ma *de facto* uniemożliwiać walkę z mową nienawiści w mediach społecznościowych. Stoi to w sprzeczności z duchem i literą Konwencji Rady Europy o Cyberprzestępczości, ze specjalnym protokołem na temat zwalczania rasizmu.

Polska ją ratyfikowała?

Konwencję stworzono w 2001 r. i Polska podpisała ją wcześnie, ale ratyfikowała dopiero na przełomie 2014 i 2015 r. – przez tyle lat nie było woli politycznej, żeby do tego doprowadzić! Jako Stowarzyszenie Nigdy Więcej zbieraliśmy podpisy pod petycją w tej sprawie. Na domiar złego, jak wynika z naszych badań w ramach europejskiego projektu „OpCode", realizowanego we współpracy z siecią International Network Against Cyber Hate, w porównaniu do innych krajów Facebook i YouTube bardzo rzadko i niekonsekwentnie reagują na zgłoszenia tego typu treści w polskim internecie, co też można łączyć z klimatem społeczno-politycznym, z jakim mamy dziś do czynienia.

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

RAFAŁ PANKOWSKI jest socjologiem kultury, politologiem, profesorem Collegium Civitas. Od 1996 r. zastępca redaktora naczelnego magazynu „Nigdy Więcej", współzałożyciel Stowarzyszenia Nigdy Więcej, koordynator programu edukacyjnego UEFA Euro 2012 Respect Diversity.

Opór jednak czasem się pojawia, jak w przypadku Tomasza Greniucha, byłego już dyrektora wrocławskiego oddziału IPN. Może chodziło o to, że tak jawny przypadek faszyzmu musiał spotkać się z reakcją, a na inne przymykamy oko?

Przypadek ten był po prostu nie do obrony, choć byli i tacy, którzy to robili. To skądinąd symptomatyczne, że Greniuch na KUL-u chował się pod skrzydłami m.in. przyszłego ministra Czarnka. A przecież nie tylko wielokrotnie hajlował na publicznych marszach, ale opiewał też „solarny symbol (...) znak Twojej rasy". W internecie podpisywał się jako „stuprocentowy Aryjczyk". Obawiam się, że podobnych przypadków mamy dziś w Polsce dużo więcej, także w rozmaitych instytucjach. To też przyczynek do rozmowy o kryzysie procesów wychowawczych w ostatnich dekadach.

Dlaczego machnęliśmy ręką na narastanie tendencji faszystowskich?

Wiąże się to z niepisanym, za to bardzo silnym wśród elit w latach 90. i później przeświadczeniem o linearnym charakterze transformacji ustrojowej. W ramach europeizacji i modernizacji pewne sprawy – np. kultura demokratyczna czy tolerancja – miały załatwić się niejako same. Nastąpiło jednak coś odwrotnego. Doszło do transmisji ideologii nacjonalistycznej do młodego pokolenia, urodzonego już po transformacji, które miało być bardziej otwarte. Tymczasem sporo danych wskazuje, że wśród młodych bywa z tym gorzej niż wśród osób starszych. Papierkiem lakmusowym jest pytanie o uchodźców – zdecydowana większość młodych ludzi od kilku lat reaguje na nich jednoznacznie negatywnie.

Da się to odwrócić?

W szkole wciąż wiele zależy od ludzi, dyrektorki lub dyrektora, nauczycielek i nauczycieli. Ale ważne są też przestrzenie socjalizacji poza szkołą. Ostatnie protesty, w których wzięło udział mnóstwo młodych ludzi, były przy okazji doskonałą lekcją świadomości obywatelskiej. Od lat powtarzam też, że bardzo znaczącą imprezą edukacyjną w Polsce jest Przystanek Woodstock. Stowarzyszenie Nigdy Więcej jest tam obecne z kampaniami takimi jak „Wykopmy rasizm ze stadionów" albo „Muzyka przeciwko rasizmowi", z czego jestem dumny.

Czy te pozytywne zjawiska można wzmocnić?

Nie mam dziś szczególnych nadziei związanych z systemem formalnej edukacji. Tym cenniejsze są inicjatywy wychodzące poza przestrzeń szkolną, takie jak projekt „Ku przestrodze", który realizujemy razem z Fundacją „Naprzód". To przede wszystkim działania online, cykl wykładów na temat historii, Holokaustu, rasizmu, uprzedzeń. Jednocześnie udostępniamy materiały dla wszystkich, którzy chcieliby z nich skorzystać, zarówno dla uczniów, jak i nauczycieli. Odzew jest bardzo dobry.

Inny przykład to ogłoszony przez nasze stowarzyszenie razem z ambasadą Szwecji konkurs dla młodych ludzi pod hasłem „Jak mogę zmienić świat na lepsze?", poświęcony pamięci Raoula Wallenberga. Od partnerów z ambasady wiemy, że zostali wprost zalani zgłoszeniami esejów, co pokazuje, że jest silna potrzeba, by rozmawiać o tym, co możemy zrobić, by było dookoła nas inaczej, lepiej.

© Rozmawiał JĘDRZEJ DUDKIEWICZ

PIOTR MOLĘCKI / EAST NEWS

Przed Wydziałem Spraw Cudzoziemców Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie. Wrzesień 2020 r.

Jak chcą, to niech walczą

ULA IDZIKOWSKA

– Jesteśmy niewolnikami dokumentów – opowiadają Nepalczycy przyjeżdżający do Polski. Pracy dla nich nie brakuje, tyle że system rzuca pod nogi kłody.

W holu warszawskiego Bazaru na Polnej jest pusto. Na końcu korytarza, obok restauracji Himalayan Yeti, mieści się sklep z nepalskimi produktami i zarazem siedziba firmy Mitry Lal Pardaya. Na półkach piętrzą się przyprawy: kardamon, nepalskie chili, kminek indyjski. Oprócz nepalskich produktów Parday oferuje pomoc w poszukiwaniu pracy, załatwieniu formalności czy rezerwacji biletu lotniczego. – Na rynku jest sporo oszustów. Cztery lata temu stwierdziłem, że zajmę się pośrednictwem, po 13 latach w kraju posiadam wystarczającą wiedzę – mówi Parday.

Kiedy przyjechał do Polski w 2007 r., zezwolenie na pobyt posiadało zaledwie 95 Nepalczyków. Dziesięć lat później chodziło już o ponad 1150 osób, a w 2020 r. – dwukrotnie więcej. W rzeczywistości w Polsce przebywa jeszcze więcej Nepalczyków, bo statystyki Urzędu ds. Cudzoziemców nie uwzględniają osób, które przebywają w kraju na podstawie rocznej wizy. Sami Nepalczycy szacują, że jest ich około 5 tysięcy.

Parday – dziś przedsiębiorca w luźnym garniturze i tradycyjnej czapce topi – zaczynał w Polsce jako student administracji. Studiów nie skończył, bo po dwóch latach nie stać go było na czesne. Został za to dług w wysokości 50 tys. zł. Tyle potrzebował na pokrycie kosztów utrzymania i nauki na prywatnej uczelni. Raty spłaca do dziś. – Przez osiem lat pracowałem w restauracji, miałem stały przychód. Ale był taki okres, kiedy byłem chory i nie zarabiałem. Więc komornik.

To jedyne polskie słowo oprócz „urzędu wojewódzkiego", które nepalski biznesmen wplata w swoją opowieść.

Go online!

Spłacanie pożyczek nie jest dla nich jedynym problemem. Największym jest długie oczekiwanie na zezwolenia, twierdzi onkolog Bodha Raj Subedi, który w Polsce mieszka już od 1989 r. W ciągu ostatnich lat nasłuchał się różnych historii: w 2009 r. założył stowarzyszenie wspierające Nepalczyków w Polsce.

– Aby dostać się do Polski, trzeba zapłacić między 6 a 13 tys. euro – mówi. – Często nie ma pokwitowania tej transakcji, a więc i dowodu, że ktoś został oszukany. Poza tym na miejscu nierzadko okazuje się, że zarobki są dużo mniejsze, niż obiecywano w Nepalu: 2 tysiące złotych zamiast euro. Raz to przeliczyłem: niektórzy musieliby pracować przez dziesięć lat bez przerwy, by pospłacać długi. Nic dziwnego, że sporo Nepalczyków szuka później lepszych ofert. Ale gdy ktoś chce zmienić pracę, zaczynają się problemy. Bo za każdym razem potrzebne jest nowe zezwolenie. Czeka się na nie miesiącami.

– Jesteśmy niewolnikami dokumentów! – stwierdza Parday. – Gdyby powiedzieli nam, że mamy wracać, tobyśmy wrócili. Ale Polska potrzebuje pracowników. To niech wydają pozwolenia na czas.

Ile się czeka? – To zależy od województwa – mówi Cezary Bachański, prezes agencji zatrudnienia pracy Inter-Factor Polska, na podstawie własnego doświadczenia – Teoretycznie, według Kodeksu postępowania administracyjnego, urząd powinien wydać decyzję w ciągu miesiąca. Chyba że sprawa jest skomplikowana. Wtedy w ciągu dwóch miesięcy. W rzeczywistości w najlepszym przypadku czeka się półtora miesiąca, ale zwykle trzy lub cztery. Dlatego niektórzy pracodawcy bombardują urzędy wezwaniami do sądu. Urzędnicy starają się wtedy nadrobić zaległości. Niestety kosztem innych petentów.

Dlaczego urzędy nie radzą sobie z liczbą wniosków? Niektóre czynności są wciąż wykonywane ręcznie: po osobistym złożeniu wniosku przez cudzoziemca urzędnik musi np. wprowadzić treść do systemu. Wymiana informacji między urzędami wojewódzkimi,

urzędami pracy i organami opiniującymi wciąż odbywa się offline. A system, który zapewniłby natychmiastowy i bezpieczny dostęp do wszystkich danych, jeszcze nie istnieje.

Rąk do pracy brakowało już przed pandemią. Radca prawny Mariusz Wójcik i Cezary Bachański odnoszą wrażenie, że w ostatnich pięciu latach nie przybyło etatów w urzędach wojewódzkich, mimo że wielokrotnie wzrosła liczba petentów. Potwierdzają to wyniki badania Najwyższej Izby Kontroli, która w 2019 r. sprawdziła, czy administracja publiczna jest przygotowana do sprawnej obsługi cudzoziemców.

Wyniki wykazały też, że władze publiczne i poszczególne urzędy nie dostarczają cudzoziemcom rzetelnych informacji. Parday przekonał się o tym niejednokrotnie. – Jak idziesz do Urzędu Mazowieckiego, to mówią tylko: *go online!* Ale wiele osób nie wie, gdzie znaleźć szczegółowe informacje, i zwraca się do pośredników A ci często sami nie wiedzą, co trzeba zrobić, i tylko wodzą ludzi za nos.

Według Magdaleny Derlacz-Popławskiej, właścicielki agencji rekrutacji i pośrednictwa pracy, Nepalczycy znają swoje prawa: – Informacje czerpią z forów i grupach na Facebooku. Subedi jest bardziej sceptyczny: – Do Polski przyjeżdża dużo niewykształconych Nepalczyków. Trafiają np. do przetwórni mięsa. Nie znają języka ani przepisów. Podpisują każdy papier, który podstawi się im pod nos. Do tego agencja nie pozwala im się kontaktować z naszym stowarzyszeniem. A my poinformowalibyśmy o prawach pracownika.

W Portugalii łatwiej o papier

Biurokratyczne trudności zaczynają się jeszcze przed przyjazdem do Polski. W Indiach – to tam Nepalczycy składają wniosek o wizę, bo w Nepalu nie ma polskiego przedstawicielstwa. Dokumenty należy dostarczyć osobiście, po wcześniejszym umówieniu się na spotkanie.

Przyjmowaniem i wstępną weryfikacją wniosków zajmowali się do niedawna pracownicy konsulatu. Zarówno agencje pracy, jak i pośrednicy krytykowali metody pracy placówki. – System rejestracji był zawiły. Tylko ktoś o zaawansowanych umiejętnościach z zakresu IT był w stanie zarejestrować wniosek – mówi Derlacz-Popławska. – Do tego dochodziły poważne problemy z umówieniem się na spotkanie w celu złożenia wniosku.

Od grudnia 2019 r. przetwarzanie wniosków wykonuje międzynarodowa firma VFS Global, która obsługuje rządy i misje dyplomatyczne na całym świecie. Trudno ocenić, czy zaangażowanie zewnętrznej firmy poprawiło sytuację, ponieważ w 2020 r. konsulat chwilowo zawiesił obsługę klientów z powodu pandemii. Nowe wnioski są wprawdzie przyjmowane od 15 czerwca, ale w ograniczonym zakresie.

Tymczasem wielu pracodawców i pośredników pracy zniechęciło się trudnościami. W tym okresie poddała się m.in. Derlacz-Popławska. Ale niedługo spróbuje ponownie: dwóch klientów ponownie zleciło jej rekrutację Nepalczyków do branży przetwórstwa drewna.

Czy jej się to uda, zależy od decyzji konsulatu. Z roku na rok coraz więcej Nepalczyków spotyka się z odmową. W 2019 r. odrzuconych zostało trzy czwarte wniosków (na 2308 złożonych), a w 2020 już prawie 90 proc., podczas gdy jeszcze w 2015 i 2017 r. niemal każdy wnioskujący otrzymał wizę. Jako najczęstsze przyczyny odmów MSZ podaje zatajenie prawdy, podrobienie dokumentów lub podejrzenie, że cudzoziemiec opuści Polskę przed upływem ważności wizy.

Część osób wyjeżdża do innego kraju Unii. Parday sam spędził trzy miesiące w Danii, gdy na początku swojego pobytu w Polsce nie mógł znaleźć pracy. Niektórzy decydują się na „ucieczkę" do Portugalii – to określenie pojawiło się w niemal wszystkich rozmowach, które przeprowadziłam w Polsce i w Czechach. To właśnie w tym kraju można łatwo „zrobić porządek z papierami". Nepalczycy nie zostają tam jednak na dłużej. W Portugalii, mówili moi rozmówcy, łatwiej o dokumenty, ale za to ciężej o pracę.

Radca prawny Mariusz Wójcik tłumaczy, o jakie problemy z dokumentami może chodzić: – Część obcokrajowców od początku stawia się w sytuacji bez wyjścia: przyjeżdża do Polski na wizie turystycznej, bo o tę znacznie łatwiej. Ale jeśli taka osoba potem będzie się ubiegać o zezwolenie na pobyt z pracą, spotka się z odmową. Część o tym wie, ale myśli, że jakoś to będzie, jak już dotrą na miejsce. Niektórzy trafiają na pośrednika, który zapewnia, że takie rozwiązanie jest w porządku. Po prostu chcą mieć klienta.

Roczne strategie

– Choć system zatrudniania cudzoziemców w Polsce na papierze wygląda przyzwoicie, tak naprawdę jest niewolniczy: jeśli człowiek chce zmienić pracę, nie jest łatwo – stwierdza Bachański.

Część Nepalczyków decyduje się na pracę bez zezwolenia, choć grozi im deportacja z zakazem wjazdu. – Ale czy mamy wybór? – zastanawia się pracownik jednej z licznych nepalskich restauracji w Warszawie. – Sam pracowałem przez rok na czarno. Bo tyle wszystko trwało z odwołaniami. A rodzinę z czegoś trzeba utrzymać.

Czy przepisy można uprościć? Według Bachańskiego brakuje do tego politycznej woli: – Przecież obcokrajowcy nie mogą głosować. A przedsiębiorcy nie są łatwym głosem do zdobycia.

Witold Klaus, profesor w Centrum Badań nad Prawem Migracyjnym Instytutu Nauk Prawnych PAN: – Z jednej strony potrzebujemy migrantów zarobkowych, a z drugiej nie robimy nic, by ułatwić im dostęp do zezwoleń. Panuje przekonanie, że „chyba nie jest tak źle, skoro tu przyjeżdżają". „Jak chcą, to niech walczą" – takie jest podejście. Trochę ze względu na to, że mimo wszystko mamy bardziej otwarte przepisy niż na Zachodzie.

Nie ma natomiast w Polsce wizji polityki migracyjnej. W 2016 r. rząd unieważnił obowiązujący od 2012 r. dotyczący jej dokument. Od tamtego czasu zapowiadano opracowanie nowego – bez skutku. To nie oznacza, że prace nad polityką migracyjną zostały przerwane. W 2019 r. wyciekł „ksenofobiczny i islamofobiczny" dokument, jak określa go Klaus. – Zakładał, że potrzebujemy migrantów zarobkowych, ale wszystkich innych, zwłaszcza pochodzących z państw muzułmańskich, nie chcemy.

Zarówno Klaus, jak i środowisko organizacji pozarządowych podchodzą sceptycznie do prac nad nową strategią. – Rząd do współpracy nie zaprasza nikogo, ani z lewej, ani z prawej strony. Poza tym ogłosił, że będzie pracował nad „rocznymi strategiami", choć z definicji nie może być planowana na tak krótki okres. Strategii na 2021 rok jak nie było, tak nie ma. Co nie oznacza, że nie ma polityki. Również brak polityki jest przecież polityką. ©

Skóra, w której żyję

MARIUSZ SEPIOŁO

Najgorzej, gdy nie ma sprawcy twojego oparzenia. Wtedy to ty jesteś ofiarą i sprawcą. Nie masz od kogo żądać sprawiedliwości, więc wymierzasz ją sobie sam.

Położyła się w wannie pełnej wody. Nie czuła bólu, jakby szok wyłączył jej zmysły. Nie patrzyła w lustro, nie czuła zapachu. Chłodna woda dawała ukojenie. Dopiero kiedy za oknem rozległ się sygnał karetki, ból przyszedł nagłą, przygniatającą falą.

– Co było dalej, nie pamiętam – mówi dzisiaj, po jedenastu latach od oparzenia ogniem z kominka, Jolanta Golianek, założycielka Fundacji Poparzeni. – Aż do wybudzenia na szpitalnym łóżku. Prosiłam o coś na ból. Po pewnym czasie nawet morfina przestała działać.

Karetka

Ludzie myślą: lekarze odratowali, wyszła ze szpitala, koniec. Ale dla poparzonych dopiero wtedy wszystko się zaczyna.

Walka o uratowanie skóry, mięśni i ścięgien. Przykurcze, rekonstrukcje. Bolesna i kosztowna rehabilitacja, majątek wydany na leki. Kolejne operacje plastyczne i kolejne pobyty w szpitalu. Często: utrata pracy. Czasem: rozwody, samotność. Na początku Jolanta nie miała czasu nawet pomyśleć, żeby pójść do psychologa albo psychiatry. Wtedy nikt o tym nie mówił. Dziś lekarze sami to podpowiadają.

Szacuje się, że w Polsce każdego roku oparzeniom ulega nawet 300-400 tys. osób. Od 50 do 70 proc. stanowią dzieci. Nie każde oparzenie jest śmiertelne (z jego powodu umiera ok. pół tysiąca osób rocznie), ale każde wymaga pomocy i każde wpływa na późniejsze życie.

Nie jest się już anonimowym, przemykającym w tłumie szarakiem. Bo o ile człowiek na wózku nie wzbudza już takiego zainteresowania, to poparzona skóra przyciąga wiele par oczu. Z tymi wścibskimi, często przerażonymi spojrzeniami też trzeba codziennie sobie radzić.

Pomaga terapia, ale na sesję trzeba się umówić, wyjść z domu, pokazać, jak się wygląda. – Człowiek nie przypomina siebie, nie może na siebie patrzeć. – mówi Jolanta. Terapia ma też inne koszty: podczas sesji przepracowuje się nie tylko traumę poparzenia, ale całe życie. – Lęk nie bierze się znikąd, on w człowieku jest i tylko pod wpływem tragicznego wydarzenia wychodzi na zewnątrz. Nie każdy jest na to gotowy.

Szpital

Przed wypadkiem jej życie było poukładane. Pracowała jako logopeda w przedszkolu w Kwidzynie. I lubiła swoją pracę, dom, który stworzyła razem z mężem. Wprowadzili się rok przed wypadkiem. W pobliżu kominka nie było jeszcze lustra.

Karetka zabrała ją do miejscowego szpitala. Tam nie wiedzieli, jak jej pomóc, odesłali do Gdańska. – Tylu lekarzy i pielęgniarek nigdy wcześniej nie widziałam – opowiada Jolanta. – Każdy coś ode mnie chciał, a mnie zależało na jednym: żeby dostać coś mocnego na ból. Nie myślałam nawet o tym, że moje ciało tak bardzo ucierpiało. Że miejscami nie mam skóry, że czekają mnie przeszczepy i długa rehabilitacja.

Lekarze mieli nadzieję, że uszkodzone przez ogień tkanki zaczną się regenerować. Ale nie zaczęły i potrzebny był przeszczep. Pierwszy się nie przyjął, dopiero drugi był skuteczny.

Dokładnie dziesięć lat później Klaudia Rachwalik odbywała staż w restauracji. – W pewnym momencie potknęłam się lub poślizgnęłam i upadając złapałam odruchowo za najbliższą rzecz. Była to rączka od frytownicy wypełnionej rozgrzanym olejem.

Przewróciła się, a frytownica poleciała na nią razem z zawartością. – Współpracownik zadzwonił po karetkę – mówi Klaudia, dziś podopieczna Fundacji Jagoda, wspierającej osoby po oparzeniu. – Po kilku albo kilkunastu minutach przyjechało pogotowie. Obłożono mnie gazami i chłodzącymi kompresami. Trafiłam do szpitala Rydygiera w Krakowie. Miałam szczęście, że knajpa mieściła się bardzo blisko tego szpitala. Okazało się, że jest tam najlepszy w Krakowie, a może i w Polsce oddział oparzeń ordynator Anny Chrapusty.

W szpitalu spędziła cztery tygodnie. Miała oparzone 35 proc. powierzchni ciała i są to oparzenia II i III stopnia. Głowy, twarzy, dekoltu, lewego ramienia, brzucha, pośladków, obu ud i lewej łydki. W szpitalu co dwa, trzy dni przechodziła zabiegi na sali operacyjnej: oczyszczanie ran, zmiany opatrunków, przeszczepy skóry własnej, posiew pobranych wcześniej i wyhodowanych komórek skóry – keratynocytów. Po czterech tygodniach była w domu, jeszcze częściowo w opatrunkach. Po kolejnych dwóch powrót: tym razem na przeszczep skóry. – Co było najtrudniejsze? Śmieję się, bo jak obudziłam się po pierwszym znieczuleniu w dniu wypadku, okazało się, że lekarze musieli zgolić mi głowę na łyso, żeby sprawdzić, jak daleko skóra jest oparzona – opowiada.

Po poparzeniu inaczej dba się o urodę. Jolanta musiała zrezygnować z zapachowych kosmetyków – od czasu wypadku ją drażnią. Do tego masa kremów. W zimie skóra swędzi pod grubym ubraniem, w lecie – na mocnym słońcu. Opa-

MIROSŁAW GAWROŃSKI / FUNDACJA POPARZENI

Jolanta Golianek, założycielka Fundacji Poparzeni. Zdjęcie pochodzi z cyklu portretowego pt. „Kobieta z bliznami", czerwiec 2019 r.

lanie? Ostrożnie: krem z filtrem 50 albo nawet 100.

Dom

– Najtrudniejszy był powrót – teraz Klaudia mówi już serio. – Zwykle człowiek myśli: w szpitalu go wyleczą, wróci do domu zdrowy. Tak nie jest. Od lipca 2019 do maja 2020 r. dwa razy w tygodniu chodziłam na fizjoterapię, żeby uwolnić przykurcz pod lewą pachą i w lewym łokciu, czeka mnie jeszcze zabieg chirurgiczny. Rany długo się goją, swędzą, trzeba je smarować kilka razy dziennie, po miesiącu leżenia w łóżku nie ma na nic siły, ciężko jest być samodzielnym. Dlatego zawsze, gdy opowiadam o wypadku, podkreślam, jak duże znaczenie miała dla mnie najbliższa rodzina i chłopak.

Pierwszy pobyt w domu Jolanty nie zaczął się dobrze. Była osłabiona, nie mogła złapać oddechu, wymiotowała. – Krzyczałam do męża, po co zabierał mnie ze szpitala. Potem trochę się uspokoiłam i zasnęłam – mówi. – Nic nie mogłam zrobić, leżałam jak warzywko. W opatrunkach, w bólu – bo w domu nie mogłam dostać morfiny. Do szpitala wracałam na drugi dzień i ta podróż... była koszmarna.

Pierwszy przeszczep był nieudany. Oprócz wielu medycznych powodów, Jolanta widzi dziś inny: – Podobno jeśli pacjent nie chce żyć, to przeszczepiony organ się nie przyjmie. Ja w dalszym życiu nie widziałam wtedy sensu. Wyglądałam jak skwarka. Nie wiedziałam, co dalej z pracą, bo w międzyczasie dostałam wypowiedzenie. Runął mi świat. W Stanach Zjednoczonych na oddziałach dla poparzonych pracują specjalnie przeszkolone osoby, które również doświadczyły tej traumy i teraz pomagają się z nią uporać innym. Dla mnie taką osobą był mąż.

Wziął wolne w pracy. Codziennie dojeżdżał z Kwidzyna do Gdańska i zostawał, często na 12 godzin. Potem wracał do małych córek, pomagał w lekcjach, usypiał. Sam spał kilka godzin i rano znowu w samochód. – Zastanawiam się, jak to przetrwał – mówi dziś Jolanta. – Bo pacjent i osoba bliska to dwa różne światy. Ten pierwszy ma postawę „dajcie mi wszyscy święty spokój". W tym drugim rodzą się pretensje: „przecież jestem tu z tobą, pomagam ci, myję cię, chcę, żebyś żyła". Te światy nigdy się nie spotykają. Do tej pory nie rozmawialiśmy o tym z mężem.

Klaudia Rachwalik mówi, że udało jej się pozbyć strachu przed kuchnią. – Ale do kuchni gastronomicznej w restauracji na razie nie byłabym w stanie wejść – przyznaje.

Nie wyobraża sobie, jak ciężko mają pacjenci dziś, kiedy odwiedziny w szpitalach są wstrzymane. Dla niej to bliscy byli „terapeutami". – Każdy dzień wyglądał podobnie. Pobieranie krwi, zmiana pościeli, kroplówek, leki, zabieg. I oczekiwanie na gości – uśmiecha się Klaudia. – Na oddziale wzmożonej opieki mogła być u mnie tylko jedna osoba, więc bliscy układali sobie grafik, kto kiedy przychodzi.

Ulica

Ze wzrokiem innych mierzyła się już w dniu wypisu. W tamtym czasie oddział oparzeń był schowany głęboko w głównym budynku szpitala.

– Mój tata przyjechał po mnie w dniu wypisu i przeszliśmy do głównego holu. Na wózku tata przewiózł tylko moje rzeczy, bo uparłam się, że wyjdę sama – opowiada Klaudia. – W holu czekałam na tatę, aż odwiezie wózek na oddział, siedziałam prawie łysa, z raną na czole i opatrunkiem na ramieniu i już tam spotkałam się z dziwnymi spojrzeniami. To samo na pierwszych wizytach kontrolnych, co było dziwne, bo przecież byłam w szpitalu, widok osoby w opatrunkach nie powinien być niczym niezwykłym.

Kiedy zaczęła chodzić na rehabilitację w przychodni, na miejscu przebierała się w strój sportowy i cała poparzona ręka była odsłonięta. – Każda z pań z turnusu musiała spojrzeć – opowiada Klaudia. – Często zagadywały, pytały, co mi się stało, i użalały się. Może chciały dobrze, ale ja w tamtym momencie nie potrzebowałam litości i przypominania mi, że „jest dobrze" albo że „będzie ciężko".

Po wyjściu ze szpitala potrzebowała pomocy w codziennych czynnościach: prysznic, przygotowanie jedzenia, docieranie do szpitala na kontrole. – Oszczędności topnieją w zastraszającym tempie, a końca wydatków nie widać – mówi.

Długo nie chciała wychodzić, a bliscy wyciągali. Przełomem było adoptowanie psa ze schroniska. Mogła się nim zaopiekować, czuć się potrzebna. No i musiała wychodzić na spacery. Ze znajomymi długo nie chciała się spotykać.

– Kocham morze – mówi Jolanta Golianek. – I pamiętam, że chociaż bardzo nie chciałam pokazywać się ludziom, mąż starał się mnie wyciągać. W końcu nad to morze pojechaliśmy. Wyciągał mnie też do kina, gdzie chodziłam chętniej, bo kiedy zaczyna się film, gasną światła. ↦

Do sklepu chodziła mniej chętnie. Niektórzy przechodzili tą samą alejką kilka razy, żeby jej się przyjrzeć. – Nachalne gapienie się to okrutna tortura. Czasem mąż nie wytrzymywał i coś mówił. Zwykle coś śmiesznego, bez pretensji – opowiada Jolanta. – Potem ja przejęłam pałeczkę. Dziś, jeśli ktoś się na mnie gapi, pytam: „Brudna jestem?". Wtedy ludzie dają spokój. Moim pacjentom radzę: „Patrz prosto w oczy i się uśmiechaj". Wtedy złe emocje z ciebie zejdą.

A dlaczego patrzą? Bo w Polsce, jej zdaniem, nie wykształciliśmy świadomości, że wśród nas żyją „inni": z bliznami, po amputacjach, na wózkach, z laskami dla niewidzących.

Córkę i syna wysłała do szkół integracyjnych. Od najmłodszych lat powtarzała im: nieważne, czy ktoś jest gruby, chudy, niski, wysoki, czy chodzi o kulach, czy jeździ na wózku. Jolanta: – To rodzice powinni uczyć dzieci, że człowieka trzeba szanować nie za to, jaki jest, ale dlatego, że jest człowiekiem.

Urząd

Gdyby nie pomoc rodziny i przyjaciół, nie daliby rady. Leki, terapie, rehabilitacja, dojazdy – to wszystko kosztuje krocie. Tymczasem szefowa Jolanty wręczyła jej wypowiedzenie za „niestawienie się w miejscu pracy". Jolanta odwołała się, wróciła. Jedna z mam powiedziała jej: „Dzięki pani mój syn w końcu przestał się bawić zapałkami".

Ale po pół roku znowu przyszło wypowiedzenie. Nie żałuje. Wtedy jej życie było już inne. Ona była już inna. Przekwalifikowała się. Dziś jest terapeutą społeczno-rodzinnym i psychotraumatologiem.

– Od października 2020 r. jestem już zdolna do pracy, w CV specjalnie umieściłam zdjęcie, na którym widać bliznę – mówi Klaudia. – Cały czas szukam pracy.

Na pewno byłoby jej łatwiej, gdyby system nie rzucał kłód pod nogi. Jej wypadek zdarzył się podczas stażu z Urzędu Pracy. Była ubezpieczona, a mimo to do dziś nie dostała od ZUS-u ani złotówki. Były za to dziesiątki składanych i odrzucanych wniosków, telefony, kolejne wizyty w oddziale.

– Rehabilitacja na NFZ jest nic nie warta, zresztą ciężko nawet było mi znaleźć oddział, który by mnie przyjął, bo żadna placówka nie miała podpisanego kontraktu na mój kod choroby, czyli „następstwa oparzeń termicznych" – opowiada. Kiedy w końcu ją przyjęto, dowiedziała się, że i tak nie ma fizjoterapeutów, którzy mieliby pojęcie o rehabilitacji blizn. Za rehabilitację płaci z własnej kieszeni.

Przyznanie stopnia niepełnosprawności nie załatwia wszystkich problemów.

Bo takie osoby ciągle postrzegane są przez pracodawców jako „mniej wydajne", „kłopotliwe", „roszczeniowe".

– Poza tym ubranka uciskowe to koszt ok. 1500 zł za komplet – dodaje. – Też są nierefundowane, za to po około sześciu miesiącach trzeba je wymieniać. Do tego maści, żele, kremy. Od ZUS-u dowiedziałam się, że żaden zasiłek mi nie przysługuje. Gdyby nie pomoc bliskich, pewnie do dziś nie ruszyłabym ręką.

Jolanta opowiada, że kosztowną rehabilitację czasem muszą zastępować chałupnicze metody: bywało, że z przykurczem ręki poradziła sobie myjąc okna. Podnosiła ramię coraz wyżej, aż przykurcz puścił.

Do tego udręka w kontakcie z lekarzami orzecznikami, od których indywidualnej opinii zależy, czy poszkodowany dostanie stopień niepełnosprawności i rentę. – Czasem miałam wrażenie, że wiem o chirurgii rekonstrukcyjnej i plastycznej więcej niż lekarz – mówi Jolanta. – Kiedyś usłyszałam: „Pani za rok będzie całkowicie zdrowa, dam pani orzeczenie na rok". Nawet się nie odwoływałam, nie było sensu. Potrwałoby to pół roku, a za rok znowu musiałabym do tego lekarza wrócić.

Przyznanie stopnia niepełnosprawności nie załatwia wszystkich problemów. Bo takie osoby ciągle postrzegane są przez pracodawców jako „gorsze", „mniej wydajne", „kłopotliwe", „roszczeniowe". – A często jest tak, że to niepełnosprawni pracują lepiej, bo bardziej się angażują – mówi Jolanta Golianek.

Basen

Dyskryminacja dotyka je nawet tam, gdzie szukają odprężenia, relaksu, swobody. Gdzie przecież wszyscy „jakoś wyglądają", odsłaniają blizny, zwisające brzuchy, znamiona.

Jolanta Golianek odebrała kiedyś telefon od podopiecznej swojej fundacji, dziewczynki po oparzeniach. Skarżyła się, że nie pozwolono jej wejść na basen, mimo że miała na sobie specjalną piankę zasłaniającą blizny. Wtedy Jolanta zainterweniowała tak, jak robi to bez względu na to, kogo ma przed sobą lub po drugiej stronie telefonu: bardzo stanowczo.

Po chwili ktoś z basenu oddzwonił i przeprosił: pani wpuszczająca na pływalnię „nigdy nie miała kontaktu z takimi osobami". Dziewczynka dostała *voucher* na darmowe wejścia. Ale nigdy już na ten basen nie wróciła.

Sąd

Co jest najtrudniejsze w terapii osób z traumą poparzenia? – Sytuacja, w której nie ma sprawcy – mówi Jolanta Golianek. – Jeśli jest, np. podpalacz, sprawca wypadku samochodowego, wtedy zwykle przychodzi dla niego kara od sądu, a dla ofiary pewnego rodzaju oczyszczenie. Z człowieka schodzi napięcie. A jeśli sprawcy nie ma? Jeśli to ofiara sama spowodowała swoje oparzenie? Wtedy raz jesteś ofiarą, raz sprawcą. Nie masz od kogo żądać sprawiedliwości, więc wymierzasz ją sam sobie. Drążysz. Mnożysz pytania: a może mogłam tego uniknąć? Wtedy powtarzam pacjentom: nie rozkładaj tego na czynniki pierwsze. Skup się na rzeczywistości. Może nie idealnej, może nie takiej jak przed wypadkiem. Ale innej nie masz.

Czy sama też szukała sprawiedliwości w sobie samej? – Długo szukałam winy. Byłam na siebie wściekła, że ten kominek kupiliśmy. Miałam też pretensje do niego, bo to on miał palić, nie ja... – przyznaje Jolanta. – Kiedyś mu to powiedziałam, wyrzuciłam to z siebie. Potem już nigdy do tego nie wracaliśmy. Co mi to dało? Pozwoliło iść dalej. Nie wracać.

Powrotów do depresji już nie ma. Czasem tylko problemy ze snem.

Kominek

Ciągle mają go w domu. I Jolanta nadal rozpala w nim sama.

– A jak już to zrobię, to mam rodzaj... satysfakcji – mówi. – Oddycham swobodnie i myślę sobie: „O, proszę, pali się".

© MARIUSZ SEPIOŁO

JACEK

Podsiadło

Gigant, Tajwan i Kożedo

Kiedy młody Mrożek ochrzcił Nową Hutę „młodszą siostrą Komsomolska", nie wiedział chyba, że jej projekt oparto na założeniach tzw. jednostek sąsiedzkich – *neighbourhood units* Clarence'a Perry'ego z Nowego Jorku lat 20. Lokalne szlaki komunikacyjne miały tworzyć własny obieg niezależny od arterii tranzytowych. Każde osiedle miało zawierać wszystko, co niezbędne do codziennego życia, tak aby mieszkańcy mogli całe dnie spędzać „u siebie".

Tadeusz Ptaszycki, główny architekt Nowej Huty, na pewno umiał ładnie mówić, bo kiedy w 1947 r. jako kierownik Wrocławskiej Dyrekcji Odbudowy palnął mowę do ludzi pióra, za wnioskiem Adama Polewki został przyjęty w poczet ZLP honorowo, jako literat niepiszący. „Sztandarowi Młodych" mówił w 1950 r.: „Poszczególne osiedla będą posiadać swoje żłobki i przedszkola. Każda zaś dzielnica otrzyma własny dom towarowy, ośrodek kultury, boisko sportowe, szkołę, kino, bibliotekę, teatr oraz lokale klubowe". No i zwalały się tu prawdziwe tłumy robotników zwabionych obietnicami nie tyle biblioteki czy teatru, co własnego mieszkania z elektrycznością, gazem, kanalizacją i ciepłą wodą. Większość z nich byli to junacy ze Służby Polsce i ochotniczych brygad ZMP. Kiedy legendarny szybkomurarz Piotr Ożański i pięciu jego kolegów ułożyli w ciągu zmiany 34 728 cegieł, przebieg wydarzenia relacjonował w gazecie „Budujemy Socjalizm" Henryk Gołaszewski: „Krzywa chronometrażu idzie gwałtownie w górę. Nie 4500 cegieł w ciągu dwóch godzin, jak było zaplanowane, lecz 6720 cegieł ułożono w przeciągu godziny i 20 minut. Następuje kilkuminutowa przerwa z powodu awarii betoniarki. Wykorzystano ją na omówienie dotychczasowych wyników". Kiedy dwa miesiące później podłożono Ożańskiemu świnię w postaci gorącej cegły, co Wajda przypomniał w „Człowieku z marmuru", reporter „Budujemy Socjalizm" odnotował i to: „Uwaga murarzy skupiona była na tym, by coraz sprawniej wykonywać swoje czynności, łączące się w łańcuch budowania. Nikt też nie zauważył, że jakaś zbrodnicza ręka podłożyła brygadziście rozpaloną cegłę. (...) Musiał to być ktoś, komu zależało na tym, żeby hamować budowę Nowej Huty".

Ożański został delegatem na Kongres Pokoju, Bierut odznaczył go Srebrnym Krzyżem Zasługi, stał się też gwiazdą lokalnej prasy, zabierając głos na każdy temat. Przy okazji pokazowej rozprawy przeciw robotnikom pijącym w pracy mówił np.: „Opilstwo na Nowej Hucie to wroga robota. My tu wszyscy współzawodniczymy i bijemy rekordy w produkcji, żeby tylko szybciej rosły budowy naszej wielkiej Huty, a pijacy hamują tempo naszej pracy. Dlatego dla pijaków i różnego rodzaju awanturników nie ma u nas miejsca". Ostatnie zdanie okazało się prawdą, kiedy w 1952 r. Ożański został zwolniony z pracy za pijaństwo. Ściana domu, na której ustanowił swój rekord, ma ponoć 10 cm odchylenia od pionu.

W 1952 r. Nowa Huta doczekała się własnej restauracji: nazywała się Gigant i wcale nie przypadkiem. Mogła pomieścić 600 gości i zwykle świeciła pustkami, za to w okolicach dni wypłaty pękała w szwach. „Budujemy Socjalizm" piało z zachwytu: „W sali restauracyjnej olbrzymie lustra na ścianach, lśniące posadzki, efektowna sztukateria sufitu i ścian. Restauracja Gigant posiada również nowoczesne zaplecze gospodarcze – kuchnię, toalety, łazienki i szatnie dla personelu, lodówkę i umywalnię, suszarnię naczyń, elektryczne obierarki ziemniaków, parowe kotły, elektryczne patelnie, baseny na ryby żywe. Obsługę stanowi 15 kelnerów". Daliśmy radę policzyć 34 tysiące cegieł, damy też radę podzielić 600 klientów przez 15 kelnerów: wychodzi 40 gości na kelnera, jeśli wszyscy są właśnie w pracy.

Kiedy Ważyk wystrzelił w Nową Hutę ze swojej armaty, młody Kapuściński (wszyscy byli wtedy młodzi!) dał mu w „Sztandarze Młodych" odpór reportażem „To też jest prawda o Nowej Hucie". Jednak wcale nie była to relacja z sielankowego życia w mieście-symbolu socjalizmu. Kapuściński pisał: „Niedawno jedna 14-letnia zaraziła ośmiu chłopców. (...) A idź do Lasku Mogilskiego, idź na Tajwan, na Kożedo. To nazwy pleszowskiego osiedla. Same mówią za siebie". Nazwa Kożedo nic mi nie mówiła, ale wyguglowałem wypowiedź Adama Leszczyńskiego, że była to „wyspa, na której Amerykanie i żołnierze południowokoreańscy przetrzymywali jeńców wojennych z Korei Północnej. Panowały tam straszne warunki". A Tajwan spotkałem też w poświęconym Nowej Hucie filmie Maksymiliana Wrocławskiego z 1957 r. „Miejsce zamieszkania", gdzie obok Meksyku jest zwyczajową nazwą hoteli robotniczych. Złożony z 34 drewnianych i czterech murowanych baraków Meksyk był mieszkaniem pięciu tysięcy ludzi aż do roku 1970! Hotele, co ciekawe, podzielone były na pół według kryterium płciowego. W październiku 1951 r. miał miejsce prawdziwy szturm mieszkańców męskiej części hotelu na część żeńską. Znamy ten epizod dzięki notatce Wydziału Kobiecego KC PZPR. Tajwanki odpierały atak Meksykanów za pomocą polewania ich wodą. Kiedy po wybiciu okien i wyłamaniu drzwi twierdza została zdobyta, junacy tak byli rozjuszeni, że liczne mieszkanki hotelu po prostu pobili, zapominając o właściwym celu swego szturmu. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śl., I Wydział Cywilny, pod sygnaturą I Ns 425/20 toczy się postępowanie z wniosku Jerzego Kustry o stwierdzenie nabycia spadku po Bogdanie Pastusiaku, zm. 27 września 2018 r. w Rościszowie, ostatnio zamieszkałym w Rososznicy.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

MARCVS

WIARA

CZAS MINĄŁ

Abp Andrzej Dzięga powinien podać się do dymisji. Zarzutów, które by ją uzasadniały, jest aż nadto, a cierpliwość świeckich wystawia się tu na coraz cięższą próbę.

STANISŁAW ZASADA

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

W pierwszy piątek Wielkiego Postu arcybiskup Dzięga prowadził w szczecińskiej katedrze różaniec pokutny za wykorzystywanie seksualne nieletnich. Odprawianie takich nabożeństw nakazał papież Franciszek. Arcybiskup ofiar jednak nie przeprosił, przypomniał tylko, że „nikt z nas nie jest bez grzechu". Duchowny spod Szczecina: – To jego ulubiona polityka przeczekania.

Na internetowej stronie archidiecezji nekrolog zmarłego właśnie ks. Andrzeja Dymera. Ani słowa o tym, że ks. Dymer latami molestował chłopców, a o jego przestępstwach od 1995 r. wiedzieli kolejni szczecińscy ordynariusze.

Chrystus wirusa nie roznosi

Abp. Dzięgę media cytują często. Przekaz ma prosty, wyraża się dobitnie.

O Strajku Kobiet: „Krzyki te idą za nami od tygodni. Nienaturalne, wręcz wynaturzone odgłosy tych manifestacji, docierając z ulic do serc wrażliwych, stawały się dla nich jak zgrzyt żelaza po szkle".

O krytyce Jana Pawła II: „Poszczególne kamienie tego ataku trafiają także w innych, którzy w okresie tego wielkiego pontyfikatu trwali przy osobie Jana Pawła II jako jego współpracownicy i świadkowie jego świętości. To także krzyż nowego czasu. Tak patrzymy na ataki na kard. Dziwisza i innych świadków prawdy i świętości".

O podawaniu w czasie pandemii komunii do ust: „Chrystus nie roznosi zarazków ani wirusów".

O projekcie ustawy „Stop LGBT" autorstwa Kai Godek: „Podyktowany jest troską o zachowanie ładu moralnego w polskich rodzinach, o bezpieczeństwo i zdrowy rozwój polskich dzieci i młodzieży".

O Radiu Maryja: „Przybywam z potrzeby własnego serca, by wypowiedzieć, co moje serce czuje, gdy słucha Radia Maryja. A słucham i zachęcam do słuchania. A także by dziękować za bardzo konkretną pomoc w mówieniu o trudnych sprawach społecznych i gospodarczych".

Do kibiców na Jasnej Górze: „Jako kibic jesteś człowiekiem serca wolnego, rozumnego, odważnego, zdolnego do poświęceń".

Metropolita szczecińsko-kamieński uchodzi za jednego z najbardziej zachowawczych polskich hierarchów.

Jak Polak z Irlandczykiem

Dziesięć lat temu „Więź" przygotowała numer o pedofilii w Kościele. Znalazła się tam wypowiedź abp. Diarmuida Martina z Dublina i rozmowa Zbigniewa Nosowskiego z abp. Dzięgą (stał na czele Komisji Prawnej Episkopatu).

Abp Martin: „To właśnie zagubione, molestowane dziecko powinno być w centrum uwagi. Kościół powinien aktywnie poszukiwać ofiar, żeby je objąć uzdrawiającą mocą Jezusa Chrystusa".

Abp Dzięga: „Należy pamiętać, że w tych sytuacjach mamy z reguły słowo przeciwko słowu".

Ks. prof. Alfred Wierzbicki, etyk z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, komentuje: – Irlandzki biskup mówi o ofiarach, a polski biskup mnoży trudności.

Ma się stać

– Miły, serdeczny w kontaktach – ocenia go dominikanin Maciej Biskup, który spędził w Szczecinie sześć lat. – Ale mam wrażenie, że to jest styl kościelnego dyplomaty, za którym trudno odczytać rzeczywiste intencje.

O. Biskup był przeorem szczecińskich dominikanów i proboszczem prowadzonej przez nich parafii. W czasie kryzysu uchodźczego jako pierwsza parafia w Polsce zaczęli pomagać syryjskiej rodzinie z Aleppo (chory na serce ojciec, sparaliżowana matka i nastoletnia córka). – Gdy współorganizowaliśmy ze stowarzyszeniem Otwarta Rzeczpospolita i Refugees Szczecin otwarte dyskusje i zbiórki na rzecz uchodźców, wielu miało nam to za złe. I mam wrażenie, że miały na to również wpływ poglądy arcybiskupa. Usłyszałem kiedyś od niego, że jesteśmy za mało patriotyczni.

Dzięga zaskakuje pomysłami duszpasterskimi. Każe budować w kościołach balaski: uważa, że komunię powinno się przyjmować na kolanach. Jest jednym z najgorętszych zwolenników ↦

Abp Andrzej Dzięga na Jasnej Górze, 5 września 2010 r.

↦ intronizacji Jezusa na króla Polski, kokietował paradujących w czerwonych płaszczach Rycerzy Chrystusa Króla, którym przewodzi suspendowany ks. Piotr Natanek.

Pyszny, lubi celebry, nie słucha ludzi – oceniają go księża. Śmieją się, że jest jak Bóg Ojciec: „Niewidoczny, wypowiada słowo i ma się stać". Odliczają czas, jaki został mu do emerytury. Zostało prawie siedem lat.

Najpierw msza, potem praca

Anna i Józef Dzięgowie z Radzynia Podlaskiego mają gospodarstwo i pięcioro dzieci. Andrzej przychodzi na świat w 1952 r. Od pierwszej klasy podstawówki służy do mszy w parafialnym kościele Trójcy Świętej, w domu wieczorem wszyscy obowiązkowo klękają do pacierza, dzieci w pierwszy piątek miesiąca idą do spowiedzi.

Chodzi do liceum imienia Manifestu Lipcowego. Polonista chwali go za „polot literacki" wypracowań. Gdy na Wybrzeżu wojsko strzela do stoczniowców, młody Dzięga zakuwa do matury. – Rozmawialiśmy o tym, co stało się w grudniu 1970 r. Andrzej interesował się sprawami politycznymi i był z nas najlepiej zorientowany – wspomina Józef Korulczyk, licealny kolega Dzięgi, później burmistrz Radzynia.

Po maturze wstępuje do seminarium duchownego w Siedlcach. Są już tam jego dwaj starsi bracia: Tadeusz i Jan.

Kilka lat temu dostał honorowe obywatelstwo Radzynia. W sanktuarium Matki Boskiej Nieustającej Pomocy urządzono wystawę „Arcybiskup Andrzej Dzięga – radzynianin wśród radzynian". Z domu wyniósł głęboki patriotyzm, taki dziewiętnastowieczny. W Radzyniu jest mogiła powstańców styczniowych, w niedalekim Pratulinie kozacy zastrzelili kilkunastu unitów, którzy nie chcieli oddać kościoła prawosławnym. Ksiądz Dzięga będzie wicepostulatorem w procesie beatyfikacyjnym męczenników podlaskich.

Józefa Korulczyka pytam, co sądzi o postawie dawnego kolegi w sprawie ks. Dymera. Nie ma wątpliwości: – To nagonka.

Kazanie o Czyrku

Spotkali się na początku lat 80. Młodszy o kilka lat ks. Alfred Wierzbicki robił na KUL-u doktorat z filozofii, Dzięga – z prawa kanonicznego. Słuchali razem wykładów. Pytam ks. Wierzbickiego, czym odznaczał się wtedy Dzięga. Długo szuka w pamięci. – Na pewno zdradzał silne poglądy antykomunistyczne, co go wyróżniało nawet wtedy.

> Abp Dzięga należy do tych, którzy nigdy **nie byli gorliwi w ukrócaniu seksualnych przestępstw księży.**

Przypomina, jak ks. Dzięga głosił kazanie na procesji Bożego Ciała w Nałęczowie. Zamiast mówić o Ewangelii, zaatakował Józefa Czyrka, prominentnego działacza partii. Nałęczowskiego proboszcza nachodzili potem tajniacy. – Jak widać, od głębokiego antykomunizmu do poglądów katolicko-narodowych wiedzie czasem prosta droga – komentuje.

Po habilitacji Dzięga zostaje dziekanem Wydziału Prawa. Z dziekaństwa nie zrezygnuje nawet, gdy zostanie biskupem sandomierskim.

Dwaj z Podlasia

Upadł komunizm. Po pięćdziesięciu latach księża mogą bez przeszkód prowadzić działalność duszpasterską w wojsku. Jan Paweł II mianuje ordynariuszem polowym prałata Sławoja Leszka Głódzia. W kraju mało znany, bo całą dekadę spędził w Rzymie. Dzięga zostaje kanclerzem kurii polowej. – Jeśli prawdą jest, że „biskupów robią biskupi", to na biskupie nominacje Dzięgi mógł mieć wpływ Głódź – uważa ks. Wierzbicki.

Obaj pochodzą z Podlasia, choć z różnych jego części. Popierają Radio Maryja i polityczną prawicę. Z czasem obejmą dwie ważne metropolie kościelne: Gdańsk i Szczecin. Gdy w dniu 75. urodzin papież Franciszek wyśle Głódzia na emeryturę, Dzięga zajmie jego miejsce w Radzie Stałej Konferencji Episkopatu Polski. To kilkunastu hierarchów, którzy faktycznie kierują episkopatem.

Antysemityzm zasłonięty

Ostatnia niedziela listopada 2002 r., w Kościele uroczystość Chrystusa Króla. Andrzej Dzięga leży krzyżem na posadzce gotyckiej katedry w Sandomierzu. Za chwilę otrzyma mitrę i pastorał – kilka tygodni wcześniej papież mianował go biskupem sandomierskim.

Diecezja, którą obejmuje, jest mała, ale z kłopotem na całą Polskę. Chodzi o wiszący w katedrze XVIII-wieczny obraz autorstwa Karola de Prevot: Żydzi toczą krew niemowlęcia wrzuconego do nabitej gwoździami beczki. Obok pies pożera poćwiartowane zwłoki dziecka. Inny Żyd pochyla się z nożem nad przerażoną dziewczynką.

Szokujące przedstawienie tzw. mordu rytualnego – powszechnie wtedy wierzono, że Żydzi używają chrześcijańskiej krwi do wypiekania macy – latami zatruwało relacje chrześcijańsko-żydowskie. Kolejni biskupi ignorowali problem.

Stowarzyszenie Otwarta Rzeczpospolita domaga się od bp. Dzięgi usunięcia malowideł „poświadczających nieprawdę, a zarazem uwłaczających godności tak katolików, jak i Żydów". Biskup każe zasłonić obraz kotarą, a na niej zawiesić portret Jana Pawła II. „Liczono, że wszyscy zapomną, co jest pod spodem?" – pytała retorycznie Zuzanna Radzik na łamach „Tygodnika Powszechnego".

Dopiero w 2014 r. nowy biskup sandomierski Krzysztof Nitkiewicz kazał umieścić obok obrazu tablicę, która tłumaczy motywy i kontekst powstania malowidła.

Zlaicyzowana diecezja

Gdy w 2009 r. biskup sandomierski zostaje niespodziewanie metropolitą szczecińsko-kamieńskim, zaskoczenie jest duże. Publicyści dziwią się, że biskup z naznaczonej tradycyjną pobożnością części Polski przychodzi do najbardziej obojętnej religijnie i liberalnej diecezji w kraju.

Istotnie: w archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej do kościoła chodzi mniej niż co czwarty wierny. Zachodnie Pomorze to bastion liberalnego elektoratu: w ostatnich wyborach Rafał Trzaskowski dostał tam prawie 60 proc. głosów. Platforma od zawsze bije tu PiS na głowę.

Kościół szczeciński zmaga się z wieloma problemami. Oprócz laicyzacji – ubóstwo parafii w popegeerowskich wsiach, samotność księży, którzy na prowincji muszą obsłużyć kilka kościołów.

O. Biskup: – Mam wrażenie, że abp Dzięga nie ma żadnego przemyślanego i wybiegającego w przyszłość pomysłu ewangelizacyjnego na swoją diecezję, która, podobnie jak łódzka czy kosza-

lińska, jest mocno zlaicyzowana. To na pewno religijny i pobożny człowiek. Ale w jego kazaniach rzadko odnajdywałem odniesienie do Słowa Bożego. Kaznodziejstwo arcybiskupa, budowane za pomocą pięknej, choć staroświeckiej polszczyzny, uwięzione jest w pobożnościowym patosie i nadużywa wyświechtanych fraz.

Arcybiskup potrafi jednak zaskoczyć otwartością na kościelne nowinki. Zezwolił, by w jego diecezji diakonami byli żonaci mężczyźni. Diakonów stałych (mogą czytać w kościele Ewangelię, głosić kazania, chrzcić, prowadzić pogrzeby) ma w Polsce tylko co czwarta diecezja. Dzięga chętnie zgadza się też na to, by świeccy rozdawali komunię. Podobno nawet księża burzyli się na te pomysły.

Za cicho o Radiu Maryja

– W naszym regionie o Radiu Maryja jest za cicho – ubolewa abp Dzięga po przyjściu do Szczecina. Szybko to się zmieni. Nowy ordynariusz chętnie gości ojca Rydzyka. Księżom każe promować Rodzinę Radia Maryja, skupiającą słuchaczy toruńskiej rozgłośni. Sam pojawia się często w mediach redemptorysty.

W episkopacie uchodzi za jednego z najbardziej radiomaryjnych hierarchów. Należy do Zespołu Biskupów ds. Duszpasterskiej Troski o Radio Maryja. Jeździ na Jasną Górę z pielgrzymkami środowisk związanych z rozgłośnią. Rydzyk zaprasza go do Torunia.

W grudniu głosił kazanie podczas 29. rocznicy powstania radia. To wtedy nazwał Strajk Kobiet „zgrzytem żelaza po szkle", a krytykę pontyfikatu Jana Pawła II i kard. Dziwisza – „kamienowaniem". Bez mrugnięcia okiem słuchał, jak Rydzyk lekceważył seksualne wykorzystywanie małoletnich. Bo też – podobnie jak Głódź – Dzięga nigdy nie był gorliwy w ukrócaniu seksualnych przestępstw księży.

Wysłał sekretarza

W maju 2011 r. Benedykt XVI nakazał wszystkim episkopatom opracować wytyczne dotyczące postępowania w przypadkach wykorzystania seksualnego osoby małoletniej przez duchownego. Redakcją wytycznych zajęła się Rada Prawna Konferencji Episkopatu Polski, którą kierował abp Dzięga.

Redakcja trwała nadzwyczaj długo. Pierwsza wersja okazała się zbyt ogólnikowa – Watykan zwrócił ją do uzupełnienia o bardziej szczegółowe normy wykonawcze. Zespół opracowujący aneksy zebrał bp Wojciech Polak – wówczas sekretarz episkopatu. Szefa Rady Prawnej KEP nie było na żadnym spotkaniu, przysłał tylko jej sekretarza.

Każe budować w kościołach balaski: uważa, że komunię powinno się przyjmować na kolanach i do ust.

– To najlepiej obrazuje stosunek Dzięgi do problemu wykorzystywania dzieci przez duchownych – komentuje nasze źródło. Wytyczne ostatecznie zatwierdzone zostały przez Watykan dopiero w 2015 r.

Był już rok arcybiskupem w Szczecinie, gdy oskarżanego o molestowanie chłopców ks. Dymera mianował dyrektorem Instytutu Medycznego im. Jana Pawła II. W aktach sprawy do końca zeszłego roku nie było potwierdzenia, żeby arcybiskup zapoznał się z dowodami obciążającymi Dymera. A mija prawie trzynaście lat od nagłośnienia tego przypadku przez „Gazetę Wyborczą".

Sprawa Dymera nie jest jedyną, z której musi się wytłumaczyć abp Dzięga. Jak napisał kilka tygodni temu na portalu wiez.pl Zbigniew Nosowski, przeciwko metropolicie szczecińskiemu trwa również kościelne dochodzenie w kilku innych przypadkach. Najgłośniejszy dotyczy czasów, gdy Dzięga kierował diecezją sandomierską.

Ks. Józef G., proboszcz jednej z parafii w Tarnobrzegu, miał w latach 2005-06 molestować dwunastoletniego ministranta. Jak ustalił Nosowski, chłopiec poskarżył się biskupowi. Ale Dzięga nie wszczął postępowania kościelnego, sprawcę zaś przeniósł na drugi koniec diecezji, do Ostrowca Świętokrzyskiego. Józef G. był tam nadal proboszczem i wciąż uczył religii w szkole, wkrótce też Dzięga mianował go kanonikiem tamtejszej kapituły kolegiackiej.

Pokrzywdzony ministrant przekazał kurii w Sandomierzu nagranie z wypowiedziami proboszcza, które potwierdzało zarzuty. Nosowski: „Nagranie zaginęło w niewyjaśnionych okolicznościach. Ks. Józef G. miał ponadto szantażować swego dawnego ministranta. Nękał go, by zmienił zeznania. Padały groźby pozbawienia życia".

Dopiero dwa lata temu na wniosek oficjała sądu biskupiego w Sandomierzu prokuratura rozpoczęła ściganie Józefa G. Śledztwo po pół roku umorzono, ale w połowie zeszłego roku wznowiono. Józef G. siedzi w areszcie. Gdy sprawą zainteresowała się TVN, Dzięga zaprzeczył, jakoby wiedział o molestowaniu ministranta.

Z jedną z ofiar Dymera arcybiskup szczeciński spotkał się dopiero wtedy, gdy TVN zapowiedziała film o księdzu pedofilu. Pokrzywdzony usłyszał od Dzięgi: „Będę z tobą niósł twój krzyż".

Do tych słów odniósł się o. Maciej Biskup. „W Kościele zły bardzo często przemawia w pobożnym języku, od którego, przepraszam, ale niekiedy wymioty biorą – mówił dominikanin podczas niedzielnej mszy w kaplicy łódzkiego klasztoru. – Bo jeżeli jeden z hierarchów spotyka się z ofiarą księdza krzywdzoną przez lata i ma mu tylko do powiedzenia: »Będę z tobą niósł twój krzyż«, to tak jakby napluł tej ofierze w twarz. Ta osoba nie chce, żeby z nią nieść krzyż, tylko chce, żeby ten krzyż z niej ściągnąć, nazywając rzeczy po imieniu i naprawiając krzywdy".

Nie wymienił hierarchy z nazwiska.

Rozmowy nie przewiduję

Szczecińskiemu metropolicie chciałem zadać kilka pytań. Wysłałem maila do jego sekretarza, zadzwoniłem. „W najbliższym czasie ksiądz arcybiskup nie przewiduje tego rodzaju wypowiedzi i rozmów" – dostałem odpowiedź. Nie zdziwiłem się: abp Dzięga z dziennikarzami nie rozmawia.

© STANISŁAW ZASADA

RDC POLSKIE RADIO

JACEK TARAN opowie Grzegorzowi Chlaście o zakonnicy i anarchistach, którzy szukają nowego przepisu na świat (czytaj tekst na s. 38) w środę 3 marca o godz. 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Usilnie prosimy: odejdź

PIOTR SIKORA

Nie można zabronić świeckim domagania się od biskupa, by zrezygnował – zwłaszcza gdy stracili doń zaufanie.

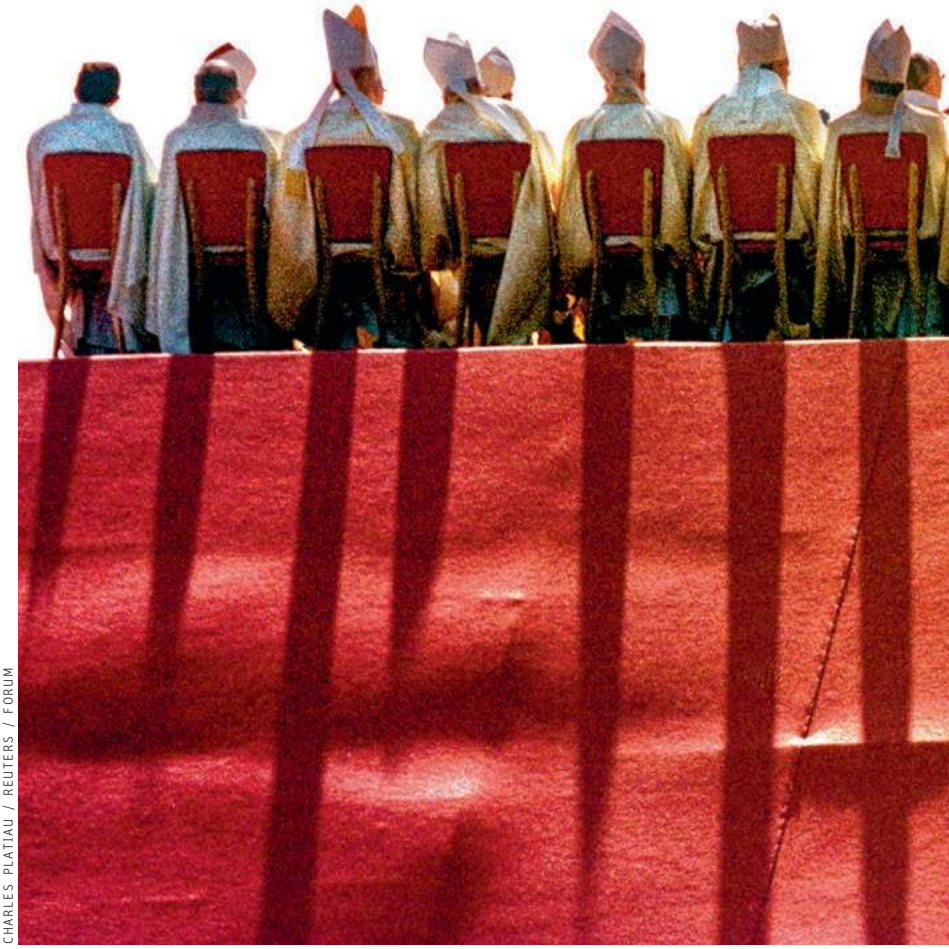

CHARLES PLATIAU / REUTERS / FORUM

W ostatnim czasie coraz częściej rozbrzmiewają wezwania kierowane do polskich biskupów, by podali się do dymisji. Biorąc pod uwagę przyczyny ich pojawiania się – wychodzące na jaw krycie przez niektórych biskupów przestępstw seksualnych podległych im księży oraz brak jednoznacznej reakcji innych członków episkopatu – łatwo te postulaty zrozumieć i uznać za zasadne, przynajmniej na poziomie psychologicznym i społecznym.

Z punktu widzenia osoby wierzącej może jednak pojawić się pytanie teologiczne: czy hierarchiczny ustrój Kościoła, wedle obowiązującej dziś doktryny pochodzący od samego Jezusa, daje ludziom świeckim prawo domagania się ustąpienia z urzędu biskupa? W konstytucji dogmatycznej o Kościele „Lumen gentium" Soboru Watykańskiego II można przeczytać, „że biskupi z ustanowienia Bożego stali się następcami Apostołów, jako pasterze Kościoła, kto tedy ich słucha, słucha Chrystusa, a kto nimi gardzi, Chrystusem gardzi i Tym, który posłał Chrystusa" (LG 20).

W tej perspektywie, niezależnie od tego, jaki by był konkretny sposób wyłaniania członków episkopatu, ostatecznie zostaje się biskupem „z ustanowienia Bożego". Stan biskupi jest „poświęcony", „w osobach biskupów, których pomocnikami są kapłani, obecny jest wśród wiernych Pan Jezus Chrystus, Kapłan Najwyższy" (LG 21). Nie godzi się – można by więc pomyśleć – by zwykli wierni domagali się, by któryś z biskupów podał się do dymisji.

Osąd świeckich

Na powyższe rozumowanie można jednak odpowiedzieć – i to na dwóch poziomach – pokazując, że wierni świeccy mają prawo, by w pewnych okolicznościach domagać się biskupiej dymisji.

Odpowiedź na pierwszym poziomie odwołuje się do istniejącego stanu doktrynalno-prawnego. W stanie tym mamy do czynienia nie tylko z teologicznym sakralizowaniem natury urzędu biskupiego, ale także z określeniem wysokich standardów, jakie osoba biskupa powinna spełniać, aby móc właściwie pełnić zadania swojego urzędu. Fundamentalna funkcja biskupia polega zaś na tym, że – jak czytamy w konstytucji „Lumen gentium" – „biskupi są widzialnym źródłem i fundamentem jedności w swoich partykularnych Kościołach" (LG 23).

Innym podstawowym zadaniem biskupa jest głoszenie Ewangelii. Nie chodzi tu jednak tylko o słowa, lecz i o to, że biskupi „przykładem swego życia winni wspierać tych, których są przełożonymi, strzegąc obyczajów swoich przed wszelkim złem i w miarę możności zmieniając je z pomocą Pańską na lepsze" (LG 27). Kodeks Prawa Kanonicznego jeszcze bardziej szczegółowo określa cechy owego dawania przykładu: biskup „ma obowiązek dawać przykład świętości poprzez miłość, pokorę i prostotę życia" (kan. 387). Aby móc spełniać to zadanie, „winien mieć przed oczyma przykład dobrego Pasterza, który przyszedł nie po to, aby Mu służono, lecz aby sam służył i życie swe dał za owce swoje" (LG 27).

Kodeks Prawa Kanonicznego najbardziej szczegółowo określa wymagania stawiane biskupowi diecezjalnemu. Np. kanon 383 w § 1 stwierdza, że „wypełniając swoją pasterską posługę, biskup diecezjalny winien się troszczyć o wszystkich wiernych powierzonych jego pieczy, bez względu na ich wiek, pozycję czy narodowość", a w § 4 mówi o miłości Chrystusa, „której świadkiem biskup winien być względem wszystkich".

W kontekście pytania o uzasadnienie domagania się przez wiernych dymisji biskupa trzeba wziąć pod uwagę powyższe wymogi oraz kanon 401, którego § 2 brzmi: „Usilnie prosi się biskupa diecezjalnego, który z powodu choroby lub innej poważnej przyczyny nie może w spo-

sób właściwy wypełniać swojego urzędu, by przedłożył rezygnację z urzędu". Kluczowe jest tu wskazanie, że biskup powinien mieć możliwość właściwego wypełniania swego urzędu oraz że tej zdolności może mu brakować z powodu choroby, ale też innej poważnej przyczyny.

Bywają sytuacje – dziś mamy z takimi do czynienia – gdy biskup jest źródłem nie tyle jedności, co raczej podziałów we wspólnocie swego partykularnego Kościoła. Albo gdy, z powodu sposobu swojego życia, nie jest w żadnym wymiarze dobrym przykładem życia chrześcijańskiego, lecz sieje zgorszenie; albo gdy wykazuje się brakiem troski o najsłabszych członków swojej wspólnoty – np. poprzez to, że chronił czy chroni księży krzywdzących dzieci i inne osoby od siebie zależne. Są to wszystko poważne przyczyny utraty zaufania wiernych do takiego biskupa, a zatem poważne przyczyny, dla których nie może on właściwie wypełniać swego urzędu.

W takiej sytuacji publiczne domaganie się przez wiernych dymisji biskupa jest ujawnieniem, że ma miejsce sytuacja opisana w kanonie 401 KPK. Jeśli zaś taka sytuacja zachodzi, to wierni domagający się dymisji biskupa nie tylko nie popełniają żadnego teologicznie niestosownego zachowania. Oni w pewnym sensie przywołują ów kanon prawa kanonicznego. W tym sensie mają za sobą cały Kościół, który zgodnie ze swoim powszechnym prawem „usilnie prosi" owego biskupa, by ustąpił z urzędu.

Kłopot z doktryną

Trzeba oczywiście mieć świadomość, że w obecnym stanie prawnym wierni w żaden sposób nie mogą podjąć decyzji, która skutkowałaby dymisją biskupa. W tym sensie sformułowanie kanonu 401 o „usilnej prośbie" dobrze oddaje rzeczywistość. Skuteczne odwołanie biskupa diecezjalnego jest w gestii jedynie papieża. Jeśli spytamy o zasadność takiego stanu rzeczy, przejdziemy na drugi poziom odpowiedzi na wątpliwość, czy wierni mogą domagać się dymisji biskupa.

Ów drugi poziom to rozważanie kwestii, czy obecny stan prawno-doktrynalny jest nienaruszalny i czy istnieją argumenty za tym, że wierni powinni posiadać większe kompetencje niż tylko ujawnianie swojego zdania i możliwość „usilnej prośby" o dymisję.

Takimi kwestiami zajmuje się np. niemiecka Droga Synodalna. Spotyka się ona z krytyką m.in. rzymskich kurialistów, że nie respektuje obecnie obowiązującego porządku kanonicznego – choćby poprzez fakt, iż w jej ramach głosy poszczególnych biskupów liczą się tak samo, jak głosy wszystkich innych jej uczestników. Zarzut ów jest jednak o tyle nietrafiony, że zakłada jako nienaruszalne właśnie coś, nad czym – wedle założeń Drogi Synodalnej – trzeba dyskutować: czy należy utrzymać porządek teologiczno-prawny, w którym to biskupi mają głos decydujący, a świeccy – jedynie doradczy.

Dyskusja na tym drugim poziomie, jako że kwestionuje doktrynalno-prawne kościelne *status quo*, musi sięgnąć do samych podstaw i źródeł tradycji katolickiej. Wymaga więc głębokich studiów i dyskusji. Za jej podjęciem przemawia z jednej strony coraz wyraźniej ujawniająca się dysfunkcjonalność obecnej struktury instytucji Kościoła. Jak się okazuje, obecne procedury selekcji na urzędy biskupie, pozbawione przejrzystości, oparte na niejasnych powiązaniach personalnych, jak również brak możliwości kontroli działań hierarchii ze strony całej wspólnoty, prowadzą do wielu patologii, których skutkiem były i są krzywdy doznawane przez najsłabszych członków wspólnoty.

Z drugiej zaś strony zwolennicy zmian mogą wskazywać, że są one możliwe – zarówno sama teologia biskupstwa, jak i sposoby zarządzania Kościołem nie są bowiem niezmienne, na przestrzeni dziejów przybierały rozmaite formy, a ich obecna postać wcale nie sięga samych korzeni chrześcijaństwa.

Krytyczne spojrzenie na kościelną rzeczywistość skłania zatem do uznania, że apele świeckich o dymisje biskupów są jak najbardziej uprawnione w obecnym porządku instytucjonalnym Kościoła oraz że możliwa jest i potrzebna dyskusja nad takimi zmianami tego porządku, które umożliwiałyby uczestnictwo w procesach decyzyjnych, także w kwestiach personalnych, szerszym kręgom wierzących. ©℗

Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu **„Tygodnik" na ucho** co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

TYGODNIK POWSZECHNY audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Anarchiści i zakonnica

TEKST I ZDJĘCIA JACEK TARAN

Pandemia uświadamia, że potrzebujemy nowego przepisu na świat. Są ludzie, którzy zamiast go szukać, zmieniają rzeczywistość. Czynią to z różnych motywów.

Osiostrze Aldonie Skrzypiec przeczytałem na Facebooku. Jezuita Grzegorz Kramer napisał o niej: „Ludzie w Opolu! Po waszych ulicach chodzi skarb". Grupę Food Not Bombs (Jedzenie Zamiast Bomb) znałem z krakowskich ulic. Zarówno s. Aldona, jak i FNB działają na rzecz bezdomnych i potrzebujących. Ich inicjatywy są oddolne – poza strukturami. Ze swoją pomocą trafiają do konkretnych ludzi. Kierują nimi różne motywacje, ale łączy ten sam cel.

Dwie kuchnie

Kuchnia pierwsza – Opole. Dom Nadziei, dzienne centrum pomocy osobom bezdomnym i ubogim zlokalizowane w piwnicach Diecezjalnego Domu Księży Emerytów. S. Aldona czeka na mnie na zewnątrz. – Wchodzisz do kosmosu – woła z uśmiechem, kiedy wchodzimy do wnętrza.

Trafiam na moment, w którym jedna grupa skończyła śniadanie i przychodzi kolejna – z powodu epidemii wydawanie posiłków podzielono na trzy tury. Ktoś prosi o zmianę opatrunku. – Idź do kuchni, tam ci wszystko pokażą – mówi do mnie i znika z potrzebującym w ciemnym korytarzu.

W kuchni wolontariuszki przydzielają zadania. Rozkładam na talerze po dwie parówki, pół serka topionego, bułkę, na deser duży kawał ciasta drożdżowego. Zanoszę na salę, potem pomagam przy myciu naczyń.

Kuchnia druga – Kraków, dawna przemysłowa dzielnica. Dziś nowoczesne apartamentowce mieszają się tu z pofabrycznymi ruderami z początku XX wieku. W jednej z nich mieści się miejsce nieformalnych inicjatyw społecznych. Ciasne, nieogrzewane pomieszczenie zawalone podarowanymi ciuchami, wszystko popakowane w foliowe worki. Wewnątrz kilka osób przygotowuje posiłek i pakuje ubrania. Rozmawiamy przy małym stoliku, kroimy warzywa na zupę – marchew, cebula, seler. Na podwórku palnik przypięty do butli z gazem, na palniku wielki gar. Za parę godzin to wszystko trafi na krakowskie Planty, gdzie zostanie rozdane potrzebującym.

Opolski Dom Nadziei został otworzony w sierpniu 2020 r. S. Aldonie ze Zgromadzenia Misyjnego Służebnic Ducha Świętego udało się zgromadzić środki na remont piwnic i przekonać do tej idei zarówno władze diecezji opolskiej, jak i ko-

Dom Nadziei

DZIAŁA PRZY UL. KSIĄŻĄT OPOLSKICH 44 W OPOLU. Założyła go s. Aldona Skrzypiec (na zdjęciu). Jego drzwi otwarte są dla każdej potrzebującej osoby. Śniadania wydawane są codziennie od godz. 9. Można tu też skorzystać z pralni, łazienki, uzyskać podstawową pomoc medyczną. Dom utrzymywany jest z darowizn fizycznych i finansowych wpłacanych na specjalne subkonto. W każdej chwili można się też zgłosić do pracy w charakterze wolontariusza.

ścielną opozycję. Dzisiaj ze śniadań i obiadów korzysta ponad 50 osób. S. Aldona jest też pielęgniarką anestezjologiczną, pracuje na bloku operacyjnym opolskiego szpitala klinicznego oraz w dziecięcym hospicjum domowym. Profesja pozwala jej świadczyć pomoc bezdomnym również w zakresie podstawowych usług medycznych. W grudniu 2020 r. została uhonorowana nagrodą Żar Serca – „za wierność chrześcijańskim ideałom, pracę na rzecz innych ludzi oraz działania na rzecz integracji i obalania murów między różnymi środowiskami". Nagroda przyznawana jest przez opolskie Duszpasterstwo Akademickie jezuitów.

Food Not Bombs to międzynarodowy ruch powstały na początku lat 80. XX w. w USA. Był protestem przeciwko wydawaniu publicznych pieniędzy na zbrojenia przy jednoczesnym zaniedbaniu potrzeb najbiedniejszej części społeczeństwa. Trudno nazwać go organizacją. To raczej siatka rozproszonych po całym świecie grup, skupionych wokół idei pomagania bezdomnym i potrzebującym. Ich działania oparte są na trzech zasadach: FNB nigdy nie będzie formalną organizacją, każdy oddział FNB jest autonomiczny i nie posiada wewnętrznej hierarchii; wydawane posiłki są wegetariańskie i wegańskie; ruch ma charakter otwarty – może przyłączyć się do niego każdy, kto podziela jego idee. Pierwszy kolektyw FNB w Polsce powstał we Wrocławiu w 1997 r. Dzisiaj grupy FNB działają w 30 polskich miastach, ich członkowie wywodzą się zazwyczaj z ruchów anarchistycznych i lewicowych.

Człowiek

Dominika z FNB: – Wszystko, co tutaj robimy, dzieje się z poczucia człowieczeństwa, z empatii, ze zrozumienia, że po prostu tak trzeba. Żyjemy w systemie, który jest niewydolny. Trzeba w drugim człowieku dostrzec człowieka.

Magda, siostra bliźniaczka Dominiki: – Czuję się uduchowiona, ale Bóg nie jest mi tutaj do niczego potrzebny. Kiedyś pomogłam kobiecie, która była świadkiem Jehowy. Zaczęła mi opowiadać, że to Bóg mnie zesłał. Nieprawda, ja tylko dostrzegłam potrzebę drugiego człowieka i na nią zareagowałam tak, jak podpowiadało mi moje sumienie. To wynika z mojego poczucia obowiązku wobec kogoś innego.

S. Aldona przyznaje, że podstawą wszystkiego, co pcha ją do pomagania bliźniemu, jest jego człowieczeństwo, ale drogowskazem dla niej są słowa Jezusa: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili, bo byłem głodny, a daliście mi jeść".

– Wierzę w te słowa, towarzyszą mi wszędzie. One nie mówią o wielkich rzeczach: „załatwiliście mi mieszkanie, zawieźliście mnie na detoks"; nie, potem wszystko z tego wynika. Świeża historia: godzina 23, dzwonek do drzwi, byłam już gotowa do spania, a tu ktoś się dobija. Włącza mi się wtedy taka lampka w głowie, że ktoś potrzebuje pomocy, ale też rodzi się myśl: Boże, to Ty sprawdzasz, czy jestem gotowa. Widzę, że przed bramą stoi chłopak z psem. Mówi, że potrzebuje pomocy. Zaczęłam mu opowiadać o Domu Nadziei, mówię: przyjdź jutro. A on do ↦

Kolektyw Food Not Bombs

TWORZY GO W KRAKOWIE obecnie ok. 20 osób. Wydawanie posiłków, ubrań i środków higienicznych odbywa się w każdą niedzielę o godz. 15 przy przejściu podziemnym koło Teatru Słowackiego. Warzywa pozyskiwane są od rolników z okolic Skawiny, pieczywo bezinteresownie przekazuje piekarnia J.M. Dąbrowscy ze Skawiny. W grupie działają freeganie, którzy pozyskują żywność od supermarketów pozbywających się produktów z kończącym się terminem przydatności. Ubrania i artykuły higieniczne można przekazywać osobiście po kontakcie przez facebookową stronę Food Not Bombs Kraków (tam można też znaleźć link do ciągle aktywnej internetowej zrzutki i wspomóc działania również finansowo) lub w każdym innym mieście, w którym działają oddziały FNB. Grupa otwarta jest dla wszystkich, którzy chcą aktywnie włączyć się w pomoc potrzebującym.

↦ mnie: „Siostro, ja jestem głodny, jutro to już nadziei nie będzie". Zrobiłam mu jedzenie, wzięłam też coś dla psa, a on mi mówi: „Ja pierdolę, tak tylko nacisnąłem, a nie spodziewałem się, że ktoś mi pomocy udzieli o tej porze". Był bardzo zaskoczony, ja zresztą też – tym, co mi powiedział.

Wędka

Organizacje czy osoby pracujące na rzecz potrzebujących spotykają się z zarzutem, że konserwują bezdomność – dają rybę, a nie wędkę. Piotr, znany w Krakowie aktywista, również członek grupy FNB: – Ale tak właśnie trzeba! Jak im nie damy dzisiaj tej ryby, to następnym krokiem może być śmierć. Zapewniamy doraźną pomoc na elementarnym poziomie. Ci ludzie nic nie mogą zrobić ze sobą, jeśli będą notorycznie głodni. To nie zmienia ich sytuacji na dłużej, ale jest rozwiązaniem wyboru dramatycznego: żyć czy umrzeć, szczególnie teraz, kiedy jest zima i wokół szaleje epidemia. Wędkę powinno zapewnić im państwo, nie my. Ale system nie działa, system udaje, że nie widzi tych ludzi.

Franek, student geologii na AGH: – To nieprawda, że oni są bezdomni na własne życzenie. Jeśli wychodzisz z domu, w którym jest problem alkoholowy, to z ogromnym prawdopodobieństwem będziesz go dziedziczył. Nie możesz być kowalem własnego losu, jeżeli zamiast żelaza dostajesz gówno.

Podobnie sprawę widzi s. Aldona z Opola: – Dopiero jak ich nakarmimy, możemy starać się o dalszą pomoc – mówi. – Często trzeba załatwić im dowód osobisty czy ubezpieczenie, ale to są kroki kolejne.

Magda: – Krytykują zazwyczaj ci, którzy sami nic nie robią, to takie głupie usprawiedliwianie własnego lenistwa. Jeśli ktoś robi cokolwiek na rzecz biednych, to nie można mu nigdy zarzucać, że robi coś złego.

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM
www.radiokrakow.pl

Pokora

Na pytanie, po co to robi, s. Aldona odpowiada ze śmiechem: – Często słyszę: „Aleś ty głupia, po co ci to?". Oczywiście, że pomaganie daje osobistą satysfakcję, daje radość, ale to na początku. Ja jestem na takim etapie, w którym już się o tym nie myśli. Trzeba też liczyć się z tym, że czasami to jest daremny trud. Robię wszystko, co w mojej mocy, a resztę zostawiam Panu Bogu. Co chwilę jesteśmy na pogrzebie, ale nie odczytuję tego jako porażki. Ostatnio odszedł od nas Arek, miał 38 lat. Kiedy go poznaliśmy, był w strasznym stanie. Udało się nam postawić go na nogi, załatwił sobie nawet jakiś zasiłek. Kilka dni przed jego śmiercią siedzieliśmy tu przy śniadaniu – a wielokrotnie namawiałam go wcześniej na terapię – i on wtedy powiedział: „Siostro, siedemnastego biorę zasiłek i zgłaszam się na detoks". To było, niestety, nasze ostatnie spotkanie. Osiemnastego odbył się jego pogrzeb. Gdyby oceniać po ludzku: porażka. Ale myślę, że wcale nie, że Bóg to widzi inaczej.

Zarówno s. Aldona, jak i działacze kolektywu FNB są zgodni w tym, że aby móc czerpać siłę i satysfakcję z pomagania osobom w tak trudnych sytuacjach, trzeba wyzbyć się oczekiwań. Dominika: – Nie oczekuję od nich niczego, bo to byłoby jak jakaś transakcja, jak świadczenie usługi. Potrzebują, to im daję, i na tym się kończy nasza rola. Nie wnikam w to, czy oni będą pić, czy znajdą pracę.

S. Aldona: – Nie można oczekiwać, że nasze działania zmienią każdego z nich. Czasami znów wracają na ulicę, ale to nie jest powód, żebyśmy mieli przekreślać miłosierdzie. Jeśli się uda przywrócenie im poczucia własnej wartości, to już jest zwycięstwo.

Dominika: – Uczę się od nich tego, że nie można ludzi wartościować. Ja i moja siostra miałyśmy dobry start, kochającą się rodzinę, która dużo nam dała. W stosunku do nich to stawia nas w pozycji uprzywilejowanej.

– Oni są bardzo naturalni, szczerzy – dodaje s. Aldona. – Często wprost powiedzą, co o tobie myślą, a to uczy pokory, przyjmowania krytyki od kogoś, ponad kogo łatwo jest się nam wywyższać.

Afryka tutaj

W rozmowie z s. Aldoną co rusz dochodzi do głosu jej silna wiara w to, że w każdej potrzebującej pomocy osobie spotyka Chrystusa. Odnajdywanie Boga w ludziach widzi jako łaskę, na którą sobie nie zasłużyła. – To jest ten sam Bóg, którego ja adoruję w Najświętszym Sakramencie – deklaruje.

Wspomina też pewne zdarzenie, gdy pierwszy raz przyjechała do Opola w odwiedziny do koleżanki. – Było późno, miała przyjść po mnie na dworzec, czekałam, mnóstwo ludzi wokół, i nagle z tego tłumu wyłonił się bezdomny, który uklęknął przede mną i powiedział: „Witaj w Opolu". Wtedy nawet nie planowałam tutaj mieszkać, czułam się zawstydzona. On z tymi swoimi torbami, ja z bezradnością; nie wiedziałam, co zrobić. Dzisiaj wiem, jak bardzo to było symboliczne i prorocze. Jestem w zgromadzeniu misyjnym i zawsze marzyłam o tym, żeby pojechać do Afryki. Byłam krótko w Brazylii, ale ta Afryka zawsze mi siedziała z tyłu głowy. Rozmawiałam o tym z biskupem, a on mi mówi: „Nie widzisz, że tu masz misję, że tu się realizujesz?". Nie chciałam go słuchać, myślałam sobie: czego ten facet chce ode mnie? Jestem tu na chwilę, mogę to robić teraz, tymczasowo, ale przecież ja zaraz jadę do Afryki! Dopiero dzięki byciu razem z bezdomnymi i z wolontariuszami oraz dzięki radości, sile i wsparciu, które oni mi dają, zrozumiałam, że to właśnie jest moja misja, to jest moja Afryka, tutaj w Opolu.

Pomagać

Słuchając opowieści o Domu Nadziei i ruchu Food Not Bombs, Beata Kowalska, profesor socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, komentuje: – Te historie przypominają mi książkę „Wiek empatii" Fransa de Waala, która pokazuje, jak głęboko sięgają korzenie ludzkiej empatii i życzliwości. Choć rzesze polityków i ekonomistów wmawiają nam, że społeczeństwo skazane jest na ciągłą walkę o dominację, to jednak to, co naprawdę się liczy, to współpraca i dzielenie się. Po tych wielu pandemicznych miesiącach czujemy to dogłębnie. Wobec niewydolności współczesnych państw słychać głosy, że potrzebujemy wyobrażenia sobie świata na nowo. Świata, w którego centrum będą takie wartości, jak opieka i współpraca, a nie rywalizacja i zysk. Te i podobne inicjatywy pokazują, że taki świat jest możliwy.

©℗ JACEK TARAN

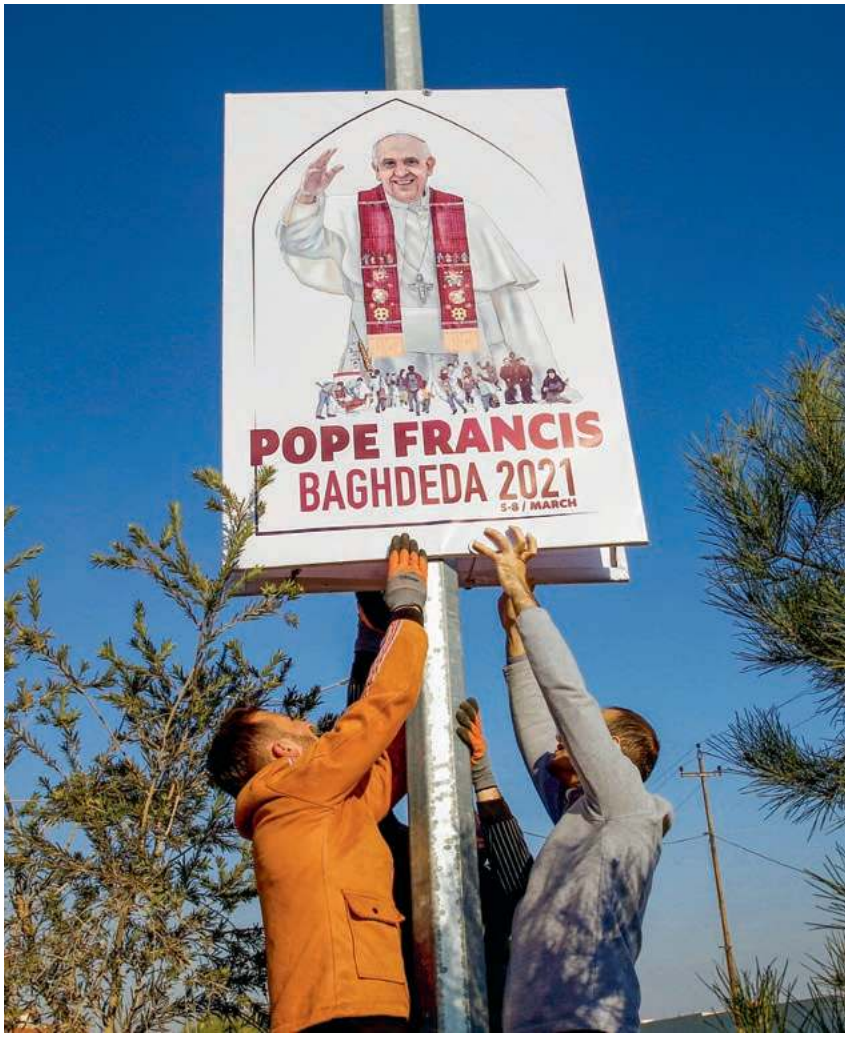

THAIER AL-SUDANI / REUTERS / FORUM

Przygotowania do wizyty papieża, Karakosz, Irak, 22 lutego 2021 r.

Pokój nad Eufratem

ANNA WILCZYŃSKA, KAROL WILCZYŃSKI

Franciszek wkrótce wsiądzie na pokład samolotu, aby odbyć jedną z najbardziej ryzykownych wizyt w swoim pontyfikacie. 5 marca w Iraku i autonomicznym Regionie Kurdystanu oczekuje go 400 tysięcy chrześcijan.

Najczęściej padające pytanie brzmi: po co? Zdziwienie wywołują same starania Stolicy Apostolskiej, aby wznowić papieskie podróże w trakcie pandemii (jak dotąd w Iraku zarejestrowano niemal 700 tys. zakażeń). W przeciwieństwie do samego Franciszka, który drugą dawkę szczepionki na COVID-19 otrzymał 5 lutego, Irakijczycy i iraccy Kurdowie na szczepienia będą musieli poczekać jeszcze długo. Irak zamówił 17,5 mln dawek z Chin. Część ma dotrzeć do kraju jeszcze w lutym. Szczepionki wystarczy dla zaledwie 20 proc. populacji. Chcąc tymczasowo zmniejszyć liczbę zakażeń, na dwa tygodnie przed przylotem papieża rząd iracki zaostrzył restrykcje, wprowadzając m.in. częściowy zakaz poruszania się oraz zamykając szkoły, parki, kościoły i meczety. Mimo to statystyki infekcji osiągają rekordowe poziomy.

Niebezpieczeństwa

Pandemia nie jest jednak jedynym czynnikiem ryzyka. W okresie wzrostu aktywności odradzającego się Państwa Islamskiego Irak nie jest bezpiecznym celem podróży. Groźby zamachów i śmierci pod adresem Franciszka ze strony organizacji terrorystycznych pojawiały się już wielokrotnie, a ich nasilenie następowało podczas każdej z wizyt papieża w krajach z większością muzułmańską (jak Jordania, Palestyna, Albania, Turcja, Bośnia, Azerbejdżan, Egipt, Bangladesz, Maroko i Zjednoczone Emiraty Arabskie).

Ponadto za sprawą decyzji Donalda Trumpa obecność sił amerykańskich, która dla wielu była gwarantem utrzymania *status quo* w Iraku, została zredukowana do najniższej w historii – 2,5 tys. żołnierzy. Obserwując znaczne pogorszenie bezpieczeństwa, NATO powiadomiło o zwiększeniu obecności militarnej w kraju. Nie nastąpi to jednak w najbliższych tygodniach.

Komentatorzy oceniają, że właśnie dlatego jedyne duże spotkanie Franciszka z wiernymi ma odbyć się w Irbilu – stolicy autonomicznego Regionu Kurdystanu, który zasłynął jako enklawa bezpieczeństwa. Legendę spokojnego Irbilu zniszczył jednak atak rakietowy na miasto, którego w połowie lutego dokonała szyicka grupa Saraya Awliya al-Dam (Brygada Obrońców Krwi). Dwie rakiety spadły na okolice osiedli mieszkaniowych w Irbilu, a jedna uderzyła w bazę lotniczą, gdzie stacjonują wojska amerykańskie.

Trzy języki, trzy spotkania

Mimo to iraccy duchowni i politycy mówią jednym głosem: ta wizyta jest potrzebna. Ma być przede wszystkim symbolem pokoju dla ludzi, którzy po prawie 20 latach nieustannego konfliktu niemal zapomnieli znaczenia tego słowa.

„To błogosławieństwo – mówił Louis Raphaël Sako, patriarcha katolickiego Kościoła chaldejskiego i arcybiskup Kirkuku. – Mamy nadzieję, że po tej wizycie przesłanie pojednania i jedności rozniesie się echem dla odrodzenia kraju" – dodał duchowny, który w 2018 r. został przez Franciszka wyniesiony do godności kardynała.

↦

↦ Przesłanie pokoju widać na plakacie promującym pielgrzymkę. Trzy języki widniejące na logo wizyty w Iraku i irackim Kurdystanie – chaldejski, arabski i kurdyjski – odpowiadają grupom etnicznym i religijnym, z którymi papież zamierza się spotkać: chrześcijanom, muzułmanom i mniejszości kurdyjskiej.

Na pierwszym planie jest wizyta u społeczności chrześcijańskich, które papież chce wesprzeć w odnalezieniu na nowo swojego miejsca w Iraku i docenić ich wysiłek w odbudowaniu porzuconych domów i miejsc kultu.

Dowodem na to są miejsca, które Franciszek wybrał na spotkania z wiernymi. Z duchownymi spotka się w katedrze Naszej Pani Zbawienia w Bagdadzie, w której podczas zamachu dokonanego przez Państwo Islamskie w 2010 r. zginęło 58 osób. W Mosulu, dawnej stolicy Państwa Islamskiego w Iraku, papież poprowadzi modlitwę w intencji ofiar wojny. W Karakosz, z którego na skutek działań Państwa Islamskiego w jedną noc uciekło 50 tys. osób, papież spotka się z wiernymi w zdewastowanym i spalonym przez terrorystów syriackim kościele Niepokalanego Poczęcia.

Od 2003 r., kiedy w wyniku inwazji wojsk koalicji pod wodzą Stanów Zjednoczonych obalono dyktaturę Saddama Husajna, liczba chrześcijan w Iraku regularnie spadała. Za czasów Husajna szacunki wskazywały na około 1,5 mln chrześcijańskich mieszkańców kraju. Dziś – po wyniszczającej wojnie z terroryzmem i trzech latach panowania Państwa Islamskiego – wizyty papieża w Iraku i Regionie Kurdystanu oczekuje ok. 400 tys. wyznawców chrześcijaństwa kilkunastu różnych obrządków.

Franciszek odwiedzi m.in. jedne z najstarszych grup chrześcijan na świecie – katolickie i prawosławne Kościoły syriackie, ormiańskie oraz Kościoły melchicki i chaldejski.

Nie tylko chrześcijanie

Język arabski widniejący na logo wizyty ma symbolizować m.in. spotkanie z muzułmanami. W planie podróży uwzględniono zjazd międzyreligijny w pobliżu starożytnego Ur chaldejskiego, z którego wyruszyć miał patriarcha trzech religii monoteistycznych Abraham.

Ponadto chęć prywatnej rozmowy z papieżem wyraził najważniejszy duchowny szyickiego islamu i jedna z najbardziej wpływowych osób w Iraku od czasu inwazji amerykańskiej – wielki ajatollah Ali as-Sistani. To z jego powodu papież uda się do Nadżafu, świętego miasta szyitów, w którym znajduje się meczet z grobem zmarłego w 661 r. kalifa Alego Ibn Abi Taliba, kuzyna i zięcia proroka Mahometa. Nadżaf jest ośrodkiem kultu religijnego i celem pielgrzymek szyitów z całego świata.

Franciszek w Iraku odwiedzi najstarsze wspólnoty chrześcijańskie – syryjskie, ormiańskie, melchickie i chaldejskie.

Podobnie jak chrześcijanie i Kurdowie, szyici przez lata byli na celowniku dyktatury Husajna. Choć stanowią większość populacji kraju, byli regularnie blokowani w dostępie do urzędów publicznych. Po inwazji w 2003 r. akty przemocy między szyitami a sunnitami tylko się nasiliły. Na skutek amerykańskiej interwencji szyici stali się kluczową siłą polityczną w kraju, oskarżaną o branie odwetu na mniejszościach za lata marginalizacji.

Kard. Sako ma nadzieję, że Franciszek i wielki ajatollah podpiszą deklarację na rzecz pokoju, podobną do tej, na której w 2019 r. papież złożył podpis wraz z wielkim imamem Uniwersytetu Al-Azhar, szejkiem Ahmadem al-Tayyebem podczas wizyty w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Jak dotąd Stolica Apostolska nie potwierdziła informacji o planowanych deklaracjach, a spotkanie z As-Sistanim ma się odbyć za zamkniętymi drzwiami.

Trzeci język widniejący na logo papieskiej wizyty to kurdyjski. Po spotkaniu z Kurdami w pałacu prezydenckim w Bagdadzie Franciszek odwiedzi osobno władze autonomicznego Regionu Kurdystanu, który od lat bezskutecznie próbuje oddzielić się od Iraku i stworzyć niezależne państwo.

Kurdowie są największą mniejszością na Bliskim Wschodzie nieposiadającą swojego państwa i od wieków intensywnie działającą na rzecz utworzenia własnego kraju. Najliczniejsze grupy pozostają na terytoriach Iraku, Syrii, Iranu i Turcji, gdzie są traktowani jako obywatele drugiej kategorii, a często brutalnie prześladowani. W 1988 r. iraccy Kurdowie zostali przez władze irackie zaatakowani bronią chemiczną. W wyniku użycia mieszanki gazu musztardowego i sarinu w nalocie na miasto Halabdża zginęło ponad 5 tys. osób.

Po stronie Irakijczyków

Mimo wielkich nadziei związanych z tą podróżą kard. Sako nie ma wątpliwości, że Franciszek „nie przyjeżdża, aby rozwiązać wszystkie problemy regionu", ale raczej, by „wyrazić swoją solidarność i stanąć po stronie Irakijczyków". Zdaniem patriarchy papież ma przywieźć przesłanie miłości, braterstwa, pojednania, tolerancji, pokoju, szacunku dla życia, różnorodności i pluralizmu.

Od początku pontyfikatu Franciszek obserwował i często publicznie odnosił się do sytuacji w Syrii i Iraku. Podobnie jak Jan Paweł II, wielokrotnie – i bezskutecznie – apelował o pokój. „W tym dniu, kiedy Słowo Boże stało się dzieckiem, zwróćmy oczy na wiele, zbyt wiele dzieci na całym świecie, zwłaszcza w Syrii, Iraku i Jemenie, które wciąż płacą wysoką cenę wojny" – powiedział w ostatnim orędziu bożonarodzeniowym.

Papież regularnie spotykał się z irackimi uchodźcami różnych wyznań oraz z pochodzącą z Iraku jazydzką laureatką Pokojowej Nagrody Nobla, Nadią Murad. Najwyraźniej jednak wizyty osobistości i słowa otuchy przekazywane Irakijczykom to dla Franciszka za mało – chce spotkać ich osobiście.

Wizyta w Iraku to także spełnienie marzeń Jana Pawła II, który sposobności do podobnej podróży szukał jeszcze w roku 2000. Watykan próbował wtedy zorganizować pielgrzymkę do Iraku, Egiptu, Palestyny i Izraela, podczas której papież chciał przemierzyć szlak Abrahama. Jednak z początku obiecujące negocjacje między Stolicą Apostolską a rządem Husajna utknęły w martwym punkcie i do pielgrzymki nie doszło.

Jeśli mimo trudności wizyta tym razem się odbędzie, Franciszek będzie pierwszym w historii papieżem, który odwiedził Irak. Sam fakt jego przyjazdu może sprawić, że nad Eufratem zacznie się mówić nie tylko o wojnie, ale także o pokoju. ©

ANNA I KAROL WILCZYŃSCY *są twórcami strony o islamie i muzułmanach islamistablog.pl.*

WOJCIECH

Bonowicz:
Reset

Tak jest, potwierdzam: tytuł „Przeczekamy i prosimy o przeczekanie" pochodzi ode mnie. Odstąpiłem go jednak Zbyszkowi Nosowskiemu, kiedy zobaczyłem ogrom wykonanej przez niego pracy. Teraz cykl przez niego pisany na portalu „Więzi" czytam z zapartym tchem.

To jest w ogóle ciekawa sprawa: Zbyszek nie ma do swej dyspozycji limuzyny. Biuro, owszem, ma, nawet w dobrym miejscu, ale skromne. Zdaje się, że za wszystkie telefony sam sobie płaci, ale nie pytałem, więc nie chcę opinii publicznej wprowadzać w błąd. Tak czy owak, pracuje na dość skromnym sprzęcie, a rezultaty ma znakomite: nikt mu, jak do tej pory, nie zarzucił, że w jakimkolwiek punkcie minął się z prawdą. A powód jest taki – uwaga! sensacja! – że Zbyszek wszystko sprawdza trzy razy i woli zmilczeć, niż kogokolwiek o cokolwiek pomówić. Dlatego kiedy w jego tekstach padają w końcu oskarżenia, to mają siłę siekiery wbitej w pień. Gdyby to dziś nie było określenie obraźliwe, powiedziałbym, że Zbyszek jest chodzącym *ordo iuris*. Jakby wszystkie instytucje państwowe, kościelne i jakiekolwiek inne – te, co mają ścigać przestępców, i takie, co przestępców kryją – zrobiły sobie reset i zaczęły pracować tak jak Zbyszek, to zapewniam: Sekielskim w krótkim czasie znudziłoby się kręcenie filmów. I w ogóle nikt nie musiałby niczego kręcić, o nic się upominać, i szat rozdzierać, bo wszystko byłoby zrobione jak należy.

Pięknie ostatnio o resecie mówił wiecie kto? Nasz sąsiad. Jest to na jego stronach powieszone, to sobie przeczytajcie. Tak mi się to słowo w jego ustach spodobało, żem je tu od razu wsadził. No, niedużo nam już zostało tego sąsiadowania, więc trzeba korzystać.

Ale po co ja tę laudację Zbyszkowi piszę? Interes do niego mam? A może na zamówienie jakieś? Nie, właśnie nie. Co za interes mogę do niego mieć, jak on limuzyny nie ma? Myślę, że jest jasne, i to od pierwszego zdania, po co: bo ja tu niby Zbyszka lauduję, ale sam sobie przy okazji odrobinę przykadzę. Skąd mi pomysł na tak zgrabną frazę przyszedł, nietrudno zgadnąć. Był czas, że biskupi polscy zdobyli się na akt wielkiej odwagi. Odwagi i wspaniałomyślności. Może nie wszyscy z nich treść listu do biskupów niemieckich akceptowali, może byli tacy, co się z tym czy innym sformułowaniem nie zgadzali – a jednak stanęli solidarnie. Za czym stoją solidarnie dzisiaj?

Weźmy sąsiada. Od czasu do czasu zaglądam na jego strony (bo nie daję posłuchu niechętnym mu mediom) i powiem Wam: jest o czym poczytać. Czasem mam wrażenie, że to jest taka rubryka dobrych rad – ta jego strona. Zwłaszcza dobrych rad dla singli i singielek. Z tym że dla matek samotnie wychowujących dzieci to już nie. Wiadomo – człowiek nie musi się znać na wszystkim; jest nawet taka teoria, że najlepiej, jak się nie zna na niczym, bo wtedy droga kariery prostsza. Tak czy owak są w tej rubryce również inne tematy poruszane. Sporo się tam pisze chociażby o różnych współczesnych zagrożeniach. Jest to tak fantastycznie wyłożone, że można sobie darować lekturę „Naszego Dziennika". Np. wrogów Kościoła nasz sąsiad znalazł już właściwie wszędzie, gdzie się dało. Na dobrą sprawę trudno powiedzieć, do kogo Kościół miałby dziś iść z Ewangelią, bo gdzie się obrócić, sami wrogowie, i to nieprzejednani. I tylko o jednym sąsiad nigdy się nie zająknie. O czym? Ano o tym, o czym pisze Zbyszek.

Mój Boże! Wiesz, że ja nie mam zbyt wielu próśb. Jest kilka osób, za które się modlę, ostatnio najwięcej za moją chrzestną mamę, bo miała operację, ciężką, na pewno zauważyłeś. No więc staram się raczej nie zawracać Ci głowy zbyt często, ale... Przecież widzisz to wszystko. Widzisz, jakie straszne rzeczy w Twoje imię się tu niekiedy mówi i wypisuje. I jednocześnie jakich strasznych rzeczy się nie dotyka, pomija, udaje się, że ich nie ma. No wiesz, chodzi mi o tych... Czy nie dałoby się...? Nie wiem, jak to powiedzieć, więc powiem najprościej, jak umiem. Boże, wybacz mnie grzesznemu, ale czy mógłbyś zrobić w końcu jakiś reset? ©

TP

W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK

na **85.** urodziny
ks. prof. Michała Hellera

A w nim o najważniejszych zmaganiach Jubilata:

- z (M)matematyką – przez małe i wielkie M
- ze wszechświatem i jego historią
- z poszukiwaniami ostatecznych wyjaśnień
- z Bogiem, którego można znaleźć, ale nie da się wyjaśnić
- z odkrywaniem sensu w sprawach wielkich i małych

Zapraszamy do lektury!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA DLA „TP"

MIASTO LEPKICH BOMB

Ładunki magnetyczne przyklejane są do samochodów. Łatwo je zrobić i umieścić, trudno wykryć. Eksplozje takich bomb to dziś plaga afgańskiej stolicy.

TEKST I ZDJĘCIA: PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU

W sobotę 20 lutego 2021 r. w Kabulu wybuchły trzy bomby pułapki, zginęło pięć osób, a dwie zostały ranne. Po każdym takim incydencie policja szybko uprząta wraki i sprawa odchodzi w niepamięć.

Dla handlarzy i czyścicieli butów, którzy swoje miejsca pracy rozłożyli przed Uniwersytetem Kabulskim, zbliżała się pora obiadu. Ze skromnymi posiłkami, które przynieśli z domu, zazwyczaj siadają na ławce pod wiatą.

56-letni Abdul Husajn na obiad jada najczęściej ziemniaki lub chleb, posiłek zapija herbatą. Ale tamtego dnia nie miał ze sobą nic do jedzenia. Robił się coraz bardziej głodny i z trudem odpędzał myśli o posiłku. Stał przy wózku z owocami, z którego sprzedaje banany, jabłka i pomarańcze. Do pory obiadowej pozostawało może pół godziny. Z letargu wyrwał go przeraźliwy huk i kilkumetrowy słup ognia.

Abdul Husajn przestraszył się i odbiegł kawałek wzdłuż ulicy. – Widziałem wiele wybuchów w moim życiu, ale zazwyczaj dochodzi do nich gdzieś w oddali albo mijamy je po drodze – mówi dzisiaj. – Nigdy jednak nie widziałem eksplozji z tak bliskiej odległości.

Pod toyotą corollą, zaparkowaną pod murami uniwersytetu, wybuchła magnetyczna bomba. Albo, jak się je potocznie nazywa, lepka bomba. W rezultacie zamachu dokonanego przez nieznanych sprawców zginęły dwie osoby, w tym wykładowca akademicki Mubaszir Muslimiar (dwa lata temu został aresztowany i oskarżony o rekrutowanie studentów do lokalnego odłamu Państwa Islamskiego; po jakimś czasie go wypuszczono).

W ostatnich miesiącach lepkie bomby stały się plagą w sześciomilionowej stolicy Afganistanu. Tutejsza telewizja ToloNews podliczyła, że tylko od 20 stycznia do 19 lutego w mieście za sprawą improwizowanych ładunków wybuchowych i zabójstw, w tym na tle rabunkowym, życie straciło 51 osób, a 70 zostało rannych. Ofiarami bomb są przede wszystkim pracownicy ad-

ministracji państwowej, a także dziennikarze, obrońcy praw człowieka i aktywiści.

We właściwym miejscu, we właściwym czasie

Tamtego dnia ludzie, którzy znaleźli się w okolicy wybuchu, szybko zaczęli się wzajemnie uspokajać: to mały ładunek i wszystko jest już w porządku. Abdul Husajn natychmiast ruszył w stronę miejsca, gdzie doszło do eksplozji. Pracuje przy uniwersyteckich murach od ponad dekady i niektórych spośród tych, którzy jak on codziennie przychodzą po nędzny zarobek, zna doskonale. Musiał sprawdzić, czy nikomu nic się nie stało.

– W pierwszej chwili bałem się o swoje życie, więc uciekłem. Potem przeraziłem się, czy nic się nie stało moim przyjaciołom, którzy byli bliżej wybuchu – wspomina.

Podszedł więc, mimo zagrożenia. Nie wiedział, czy nie dojdzie do kolejnej eksplozji. Wówczas o tym jednak nie myślał. – Jeśli ktoś z moich przyjaciół byłby ranny, trzeba byłoby zabrać go do szpitala – mówi.

↦

↦ Na miejscu okazało się, że bliscy mu wyszli z tego bez szwanku, ale widok był makabryczny. Ogień wygasał. Wokół wraku zebrało się już kilka osób. Abdul Husajn zobaczył ciała. – Dało się rozpoznać, że jedno należy do człowieka. Z drugim było gorzej, rozerwało je na strzępy. Kawałki ciała rozbryzgały się wokół, niektóre wisiały na drzewach – wspomina.

Trudno powiedzieć, co to było: szczęście czy opatrzność. Przynajmniej Abdul Husajn nie zna odpowiedzi na to pytanie. Bo przecież mało brakowało, a znalazłby się bliżej miejsca eksplozji.

Pod uniwersytetem Abdul pracuje codziennie od siódmej do osiemnastej. Często w godzinach porannych pomaga mu 12-letni syn Musztaba, który popołudniami uczęszcza do szkoły. Gdy syn zastępuje ojca przy sprzedaży owoców, Abdul Husajn idzie pod bramę uniwersytetu, aby polerować buty. Wówczas zwykle pracuje w niedużej odległości od miejsca, gdzie doszło do wybuchu. Jednak akurat tego dnia Musztaba nie przyszedł pomagać ojcu, przez co ten nie mógł opuścić straganu – i znajdował się w bezpiecznej odległości.

– Miałem ogromne szczęście, że syna tutaj nie było – stwierdza Abdul Husajn.

Zagrożenie na podwoziu

Ładunki wybuchowe, przede wszystkim lepkie bomby, sieją spustoszenie w Kabulu. Do zamachów z ich użyciem dochodzi kilka razy w tygodniu, czasami codziennie, a bywa, że kilka razy w ciągu doby. Dla przykładu: 18 lutego – jeden wybuch, dwóch zabitych; 20 lutego – trzy wybuchy, pięciu zabitych, dwóch rannych; 21 lutego – jeden wybuch, czterech zabitych, sześciu rannych. Do tego kalendarz wypełniają napady z bronią w ręku i zabójstwa.

– Lepkie bomby to ładunki bardzo małe, wielkości dłoni. Ale bardzo niebezpieczne – przyznaje emerytowany generał afgańskiej armii Atikullah Amarchel.

Nie mają tak destrukcyjnego działania jak samochody czy choćby kamizelki wypchane materiałem wybuchowym. Nie są na tyle mocne, by spowodować zamach, w którym zginie kilkadziesiąt osób. Za to są tanie i łatwe w produkcji, można je tworzyć z wielu materiałów, a także wzmacniać efekt poprzez dodawanie szkła, gwoździ, kawałków metalu.

Ich nieduża waga i małe rozmiary powodują, że łatwo je przenosić i nie zwracać na siebie uwagi podczas przejazdów przez posterunki rozsiane po mieście. Ładunki zazwyczaj zawierają magnes, dzięki czemu łatwo je się „przylepia" pod samochodem. Umieszczane są także w dziurach na drogach. To ładunki zegarowe lub odpalane zdalnie. Na skutek wybuchu auto staje w ogniu, a jego pasażerowie zwykle giną lub odnoszą ciężkie obrażenia. Lepkie bomby są więc skutecznym sposobem eliminowania konkretnych osób, a przy okazji zmniejszają liczbę ofiar postronnych.

– Większość ładunków jest budowana w Afganistanie, ale materiały do ich tworzenia są przywożone z zagranicy – stwierdza Amarchel.

Bomby takie były powszechnie stosowane przeciw żołnierzom z krajów zachodnich w Iraku pod koniec pierwszej dekady XXI w., ale historia lepkich ładunków sięga II wojny światowej. W Afganistanie, choć na małą skalę, występowały przynajmniej od końca lat 80. XX w.

Winnych nie ma

Generał Amarchel mówi, że to bieda brukuje drogę masowemu rozprzestrzenianiu się lepkich bomb. Kryzys wywołany epidemią sprawia, że sytuacja społeczno-ekonomiczna w Afganistanie jest coraz bardziej dramatyczna. Od 70 do 90 proc. mieszkańców tego 40-milionowego kraju żyje dziś poniżej progu ubóstwa, bezrobocie sięga 38 proc.

– Ludzie zrobią wszystko dla pieniędzy. Jeśli ktoś chce kogoś zabić, to daje pieniądze bezrobotnemu, który jest gotowy na wszystko – mówi Amarchel.

Zleceniodawca wręcza ładunek i instrukcję: gdzie znajduje się samochód i jak wygląda. Wykonawca za niedużą opłatą „przykleja" bombę pod wskazanym autem. W rezultacie trudno złapać tych, którzy stoją za takimi zabójstwami.

Do zamachów z użyciem lepkich bomb nikt się nie przyznaje. Choć w powszechnym przekonaniu afgańskich władz i ich zachodnich sojuszników stoją za tym przede wszystkim talibowie i inne ugrupowania antyrządowe. Rzecznik talibów Zabihullah Mudżahid mówił Agencji Reutera, że odpowiadają oni za niektóre ataki, ale tylko te wymierzone w przedstawicieli władz. Odżegnują się jednak od zamachów na dziennikarzy i aktywistów.

Choć sprawcy pozostają nieznani, jasne są cele tej fali wybuchów. Po pierwsze, pozbycie się osób niewygodnych dla grup antyrządowych. Po drugie, przynajmniej częściowe sparaliżowanie administracji państwowej. Jej pracownicy unikają jeżdżenia samochodami służbowymi lub zmieniają trasy, po których się dotychczas poruszali.

– Nikt nie chce jechać punktualnie do pracy, bo lepkie bomby zazwyczaj wybuchają rano. Ze względu na sytuację niektórzy pracownicy administracji zrezygnowali ze swoich posad – mówi Amarchel. – Takie działania nie doprowadzą do upadku państwa, ale mają wpływ na jego funkcjonowanie.

Cel trzeci to pokazanie, że afgańskie władze nie radzą sobie z sytuacją nawet w swoim bastionie, którym jest Kabul. Czwarty to wywołanie paniki i lęku wśród mieszkańców. Udaje się to świetnie, w Kabulu nikt nie czuje się bezpieczny. Każdy stara się mieć oczy dookoła głowy. Wielu spośród tych, których na to stać, emigrowało za granicę, jeszcze więcej rozważa taką możliwość.

Trzy strzały w głowę

Poza lepkimi bombami szerzą się zabójstwa, także dokonywane przez anonimowych sprawców. Dochodzi do nich i w Kabulu, i w pozostałych częściach kraju. Ich celem często padają dziennikarze i aktywiści. ONZ podaje, że od rozpoczęcia rozmów pokojowych między rządem a talibami we wrześniu 2020 r. zginęło pięciu działaczy na rzecz praw człowieka i sześciu pracowników mediów.

Niewiele brakowało, a do tej statystyki byłaby dopisana jeszcze jedna osoba: 42-letni dziennikarz Kutbuddin Kohi. On może mówić o jeszcze większym szczęściu niż kabulski sprzedawca Abdul Husajn. Kohi, weteran dziennikarstwa, mieszka w Majmanie, stolicy prowincji Farjab w północnej części kraju. Pracuje dla agencji Pajhwok Afghan News.

Dochodziła godzina dziewiętnasta, gdy Kohi udał się na ruchliwy bazar w centrum swojego miasta. Był już na miejscu, gdy nagle ogarnęły go złe przeczucia. Postanowił zrezygnować z zakupów i ruszył w stronę samochodu. Chciał natychmiast jechać do domu. Zajrzał pod auto, aby upewnić się, że nie ma tam przyczepionego ładunku. Gdy się wyprostował, miał za sobą dwóch mężczyzn. Jeden mierzył w jego głowę z pistoletu. Trzy razy nacisnął na spust.

Dziennikarz Kutbuddin Kohi ledwie uszedł z życiem, gdy nieznany sprawca strzelił mu trzykrotnie w głowę. Teraz przechodzi rekonwalescencję w Kabulu. Luty 2021 r.

Abdul Husajn utrzymuje się ze sprzedaży owoców pod murami uniwersytetu. Tego dnia bomba wybuchła kilkadziesiąt metrów od jego straganu. Kabul, luty 2021 r.

Choć ulica była ruchliwa, nikt nie miał odwagi powstrzymać napastników. Kohi upadł. Czuł, jak podnosi się temperatura jego ciała. Dotknął głowy, na palcach miał krew. – Wtedy do mnie doszło, że naprawdę mnie zaatakowano – wspomina dziś Kohi.

Szok i skok adrenaliny pozwoliły mu wstać. Zapytał stojących obok sprzedawców, co się stało. To oni powiedzieli mu, że mężczyzn było dwóch, a trzeci czekał w białym samochodzie. Natychmiast odjechali. Kim byli? Do dzisiaj nie wiadomo.

– Nawet jakby ludzie na ulicy byli w stanie rozpoznać napastników, to nic nie powiedzą, bo się boją. Jeśli ich wydadzą, jutro ktoś może przyjść po nich – przyznaje Kutbuddin Kohi z całkowitym spokojem w głosie. – Oni nie mogą nic poradzić.

Jeden ze sprzedawców wsiadł z nim do samochodu. Ruszyli do szpitala. Choć ranny, to Kohi prowadził. Rany bardzo nie krwawiły, doskwierał mu jedynie straszny ból głowy, przez co pojechał okrężną drogą.

Śledztwo nie ruszyło

W szpitalu udzielono mu pomocy, a rankiem następnego dnia przetransportowano do Kabulu, gdzie trafił pod opiekę specjalistyczną. Kohiego uratował fakt, że napastnik był niski i nie mógł dobrze wycelować w jego głowę, miał także broń o małej mocy (tzw. pistolet kieszonkowy). Dwie kule utknęły w czaszce, jedna ją przebiła, ale jest daleko od mózgu. Lekarze zalecili, by na razie jej nie usuwać, tylko odczekać trzy miesiące i dopiero wtedy się nią zająć. Został wypisany ze szpitala i regeneruje się w Kabulu. Na głowie wciąż ma bandaż, leży na łóżku i każdy ruch wywołuje grymas na jego twarzy.

Organizacja Komitet na rzecz Bezpieczeństwa Afgańskich Dziennikarzy opiekuje się Kohim w stolicy i szuka pieniędzy, aby móc wysłać go na leczenie do Indii, gdzie jest lepsza opieka medyczna.

Choć policja ogłosiła, że podejmie wszelkie kroki, by znaleźć winnych, to dziennikarz jest innego zdania. Funkcjonariusze próbowali zbagatelizować sprawę, przedstawić ją jako nieznaczący incydent, i do tej pory nie wzięto się za nią na poważnie. – Zamach na mnie był planowany, doszło do niego w bezpiecznej dzielnicy, gdzie znajduje się wiele budynków administracji – stwierdza Kohi.

Kogo podejrzewa? Nie wyklucza talibów ani miejscowych władz. Przedstawiciele tych drugich często mieli do niego pretensje, że pisze o korupcji i nie przedstawia informacji w taki sposób, który by się im podobał. Niektórzy mówili mu wprost, że jest kłamcą i rzecznikiem talibów.

Także w Kabulu dziennikarz nie czuje się bezpieczny. – Ludzie, którzy chcieli mnie zabić, mogą usiłować zrobić to również tutaj – mówi. Ale dodaje, że nie zrezygnuje z dziennikarstwa: – Nawet jeśli będę brany na cel setki razy, to dopóki będę miał serce i mózg, chcę kontynuować moją pracę.

Pozór spokoju

Chwilę po tym, jak doszło do eksplozji przed Uniwersytetem Kabulskim, policja kazała rozejść się gapiom.

Abdul Husajn wrócił do swojego wózka i z dystansu obserwował, co się dzieje.

Sekwencja czynności była taka sama, jak po każdym zamachu. Funkcjonariusze zamknęli ulicę dla ruchu. Straż pożarna ugasiła dogorywający wrak. Śledczy szukali w nim dowodów, jak zwykle nic nie znaleźli. Szczątki samochodu zostały wciągnięte na lawetę i wywiezione. Straż pożarna spłukała asfalt, pozostała w nim tylko płytka wyrwa. Policja wznowiła ruch i odjechała. Pewnie nigdy więcej nikt o sprawie nie usłyszy.

Niemal natychmiast ulicę zapełnili piesi i samochody. Abdul Husajn sprzedawał owoce do osiemnastej, po czym wrócił do domu. Można było odnieść wrażenie, że nic się nie wydarzyło.

Czy to znaczy, że Abdul Husajn przestał się bać? Nie – jest przerażony. Jak niemal każdy w tym mieście.

Współpraca ALISHER SHAHIR

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

PETRTORAK.COM / MATERIAŁY PRASOWE

Były już policjant Petr Torak (w ostatnim rzędzie w białej koszuli) na spotkaniu z młodzieżą romską w miasteczku Trmice koło Ústí nad Labem. Czechy, 2017 r.

Superbohater z Peterborough

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

Romowie wciąż spotykają się z dyskryminacją i nieufnością. Młody chłopak z Czech przyjechał na Wyspy Brytyjskie i pokazał, jak można przełamać takie bariery.

Jako dziecko marzył, by zostać superbohaterem: aby tak jak Superman rozerwać koszulę i pokazać wspaniały kostium. Chciał pomagać ludziom i zmieniać świat.

W pewien sposób Petr Torak spełnił swoje marzenie: włożył nie kostium, lecz mundur i został policjantem. Jednak żeby to było możliwe, musiał wraz z rodziną opuścić swój dom w Libercu w Czechach.

Po latach czasem wraca do Czech – z wykładami w szkołach, z prezentacjami dla policjantów. Przekonuje, że jeśli się czegoś chce, można to osiągnąć. Sam jest tego dowodem – choć jego droga, od romskiego chłopca pobitego przez skinheadów do odznaczonego przez brytyjską królową szanowanego działacza romskiej społeczności w Wielkiej Brytanii, nie była prosta.

Romowie na Wyspach...

Trudno dokładnie określić, ilu Romów mieszka w Wielkiej Brytanii. W ostatnim spisie ludności z 2011 r. nie byli wyszczególnieni wśród możliwych narodowości i grup etnicznych. Na liście znaleźli się za to Wędrowcy – rdzenna mniejszość etniczna, tak jak Romowie prowadząca kiedyś nomadyczny tryb życia [pisaliśmy o nich w „TP" nr 21/2020 – red.]. Ich jest według spisu 58 tys. (w rzeczywistości zapewne dużo więcej, ale podobnie jak w przypadku Romów nie zawsze chcą się przyznawać do pochodzenia).

Natomiast według nieoficjalnych szacunków na Wyspach mieszka ok. 200 tys. Romów. Większość pochodzi z Europy Środkowo-Wschodniej i przybyła tu w kilku falach. Także po 2004 r., gdy kraje tego regionu stały się członkami Unii Europejskiej i dla ich obywateli otworzyły się europejskie granice. Z kolei w 2014 r. ograniczenia na brytyjskim rynku pracy zniknęły dla Bułgarii i Rumunii – również z tych krajów pochodzi znaczna część Romów w Wielkiej Brytanii.

Pewna grupa przyjechała jednak wcześniej: w latach 90. XX w. Ich podróż miała inny charakter. Tamten okres to czas wzmożonych napięć społecznych i ekonomicznych w postkomunistycznej Europie. A że ciężkie czasy zwykle odbijają się na słabszych członkach społeczności, gdzieniegdzie Romowie znaleźli się

w złej sytuacji. Na tyle złej, że w krajach Europy Zachodniej mogli prosić o azyl.

...i w Europie Środkowej

Gdy w latach 90. w Czechach i na Słowacji zakłady pracy popadały w kłopoty, najpierw zwalniano Romów. Nowej pracy nie mieli szans znaleźć, ich sytuacja pogarszała się gwałtownie. Był to też czas nasilonej wobec nich przemocy ze strony grup ekstremistycznych, ale także usankcjonowanej przez państwo dyskryminacji – bo tak należy traktować ówczesne niemal automatyczne wysyłanie romskich dzieci do szkół specjalnych w tych krajach.

W 1999 r. uwaga światowych mediów skupiła się na czeskim mieście Ústí nad Labem. Lokalne władze postanowiły postawić tam mur odgradzający bloki, w których mieszkali Romowie, od domów zamieszkanych przez „białych" Czechów. Niepozorna ulica Matiční ukazała nagle i jak w soczewce całe spektrum problemów wokół społeczności romskiej. Były policyjne kordony, napięcie wisiało w powietrzu, dziennikarze szukali rozmówców i sensacji, a Romowie – rozwiązania i pomocy. „Chcą nas zamknąć w getcie. Jak to możliwe w XX wieku?" – mówili.

Byłam wtedy początkującą dziennikarką, ale nadal pamiętam pana Lacko: mieszkał tam ze swoją rodziną i cierpliwie odpowiadał na pytania mediów. Z nerwów dostał wysypki, czuł się bezradny, nie mógł zrozumieć, dlaczego tak jest traktowany. „Czy ja nie jestem Czechem?" – pytał. Był też inny Rom, który przyjechał z Ostrawy: słyszał, że w Usti jest dużo dziennikarzy z zagranicy i miał nadzieję, że mu pomogą. Ubrał ciemny garnitur i białą koszulę. Opowiadał, że ma pracę, ale właśnie wypowiedziano mu mieszkanie, a nikt nie chce wynająć mu kolejnego. Bo jest Romem, bo ma ciemną skórę, bo ma złe nazwisko. Bez mieszkania trafi do lokalu komunalnego, w gorszej części miasta, dzieci pójdą do złej szkoły i cały jego wysiłek, by dać im lepsze szanse, niż miał on sam, zostanie zniweczony. Pamiętam jego rozpacz i bezsilność.

Być może w okolicy Matiční mijałam wtedy ojca Petra Toraka. Sprzeciwiał się temu, co działo się w Ústí. – Mój ojciec był politycznie zaangażowany, nie chciał dopuścić do budowy muru. Starał się ściągnąć uwagę lokalnych mediów i polityków, zorganizował petycję w tej sprawie – opowiada mi Petr, który miał wtedy 18 lat. – Pomagałem mu zbierać podpisy. Byłem wstrząśnięty takim pomysłem apartheidu w środku Ústí nad Labem.

Za swoje zaangażowanie rodzina Toraków zapłaciła. Ojcu zaczęto grozić śmiercią. Słyszał, że ma odpuścić. Nie odpuścił. Wkrótce skinheadzi pobili Petra. Potem jego młodszego brata i matkę. Policja wiele nie pomogła. „Wystarczy" – stwierdzili Torakowie i postanowili emigrować.

Nie porzucaj marzenia

Romowie, którzy pod koniec lat 90. wyjeżdżali na Zachód, szukali azylu w Belgii, Irlandii czy Wielkiej Brytanii. Większość wniosków odrzucano, ale rodzinie Toraków się udało. – Mój ojciec był przygotowany, udało mu się zgromadzić dość dowodów. Policyjne raporty spisane po tym, jak zostaliśmy napadnięci i pobici, obdukcje ze szpitala, wycinki z prasy. To wszystko pokazywało, że nie jesteśmy w Czechach bezpieczni – opowiada mi dzisiaj Petr.

Po przybyciu na londyńskie lotnisko Heathrow Torakowie zostali umieszczeni w ośrodku imigracyjnym. Potem przeniesiono ich do miasta Southend-on-Sea, 65 km od Londynu.

Zaczęło się dla nich nowe życie. – Dla rodziców musiało to być bardzo stresujące, opuścili przecież rodzinne Czechy. Nie wiedzieli, czy się uda, czy nie zostaniemy deportowani, nie znali języka. Dla mnie, 18-letniego chłopaka, to było bardziej jak przygoda. Pełna napięcia, ale jednak przygoda – wspomina.

W Czechach Petr skończył szkołę średnią i zaczął studia prawnicze. W Anglii nie porzucił swojego marzenia, aby zostać policjantem. – Oczywiście nie było to proste, ale wiedziałem, co chcę osiągnąć. Pytanie brzmiało, kiedy mi się uda, a nie, czy się uda – opowiada. – Gdy aplikowałam w 2003 r., powiedziano mi, że nie mogę zostać policjantem, bo nie jestem Brytyjczykiem. To była nieprawda, ale wtedy o tym nie wiedziałem. Kolejny raz spróbowałem w 2006 r. i udało się! Proces stawania się posterunkowym był trudny, te wielogodzinne testy w języku, który nie jest moim ojczystym... Wierzę jednak, że jeśli się czegoś chce i ciężko pracuje, to się to coś zdobędzie.

Jako policjant Petr Torak zaczął pracować w hrabstwie Cambridgeshire, we wschodniej Anglii. Mundur nosił przez 11 lat. Jednocześnie angażował się na rzecz społeczności romskiej: zachęcał młodych, by nie rezygnowali, walczyli o siebie. – Ważny jest dobry przykład. Wiem, że od czasu, gdy zostałem policjantem, około dziesięciu Romów wstąpiło do policji. Wielu młodych ludzi myśli o tym zawodzie – mówi dziś.

Posterunkowy Torak

Kiedy w 2014 r. Jim Davies zakładał stowarzyszenie, które miało zrzeszać policjantów wywodzących się ze społeczności Wędrowców i Romów (Gypsy Roma Traveller Police Association, GRTPA), wiedział tylko o garstce funkcjonariuszy o takich korzeniach.

Davies jest Wędrowcem, wychował się w przyczepie kempingowej w Oxfordshire. Był ciekawy, ilu jest takich jak on – i ilu przyznaje się otwarcie do swojego pochodzenia. Bo część z tych, z którymi rozmawiał, zdecydowanie zabroniła mu robić im taki „coming out".

Jedną z osób, z którymi Davies powołał stowarzyszenie, a które są ze swojego pochodzenia dumne, był młody policjant z Cambridgeshire – Petr Torak. Obaj mieli ten sam cel: przełamywać stereotypy wiążące się z ich społecznościami i zachęcać młodych ludzi z tych mniejszości, aby wstępowali do policji.

– Kiedy dołączyłem do policji, moi koledzy na posterunku w pełni akceptowali, że jestem cudzoziemcem i Romem. Może jedna osoba robiła jakieś głupie uwagi pod adresem moim i jeszcze jednego kolegi, który był Pakistańczykiem. Ale cała reszta stanęła od razu po mojej stronie – wspomina Petr. – Z drugiej strony zdarzały się komentarze o Wędrowcach i moi koledzy denerwowali się, gdy z kolei ja się temu sprzeciwiałem...

Zostając policjantem, Torak udowodnił innym funkcjonariuszom, że stereotypy są krzywdzące. A także – może przede wszystkim – pokazał Romom z Peterborough, gdzie pracował, że do policji mogą zwracać się o pomoc.

Komu można ufać

Peterborough – katedralne miasto w Cambridgeshire, liczące 165 tys. mieszkańców – pojawiało się często w brytyjskich mediach z okazji doniesień o kolejnych falach imigrantów. Rzeczywiście jest ich tam dużo, zwłaszcza Polaków. Kilka lat temu głośno zrobiło się o miejscowej szkole podstawowej Gladstone: nie było w niej ani jednego ucznia, dla którego angielski byłby językiem ojczystym. ↦

↦ Już to pokazuje skalę zmian, do jakich doszło w tym mieście w ostatnich latach. W spisie ludności z 2011 r. osób deklarujących się jako biali Brytyjczycy było ok. 70 proc. – o 15 proc. mniej niż 10 lat wcześniej. Według tego spisu 80 proc. mieszkańców urodziło się w Wielkiej Brytanii, 10 proc. w krajach Unii Europejskiej, a 10 proc. w innych krajach. Od czasu spisu minęła dekada – dziś szacuje się, że już co szósty mieszkaniec miasta to Polak.

Różnorodność widać choćby na Lincoln Road, jednej z głównych ulic Peterborough, wzdłuż której ciągną się polskie delikatesy i zakłady fryzjerskie, litewskie sklepy i włoskie kafeterie. Te dziesiątki biznesów to pozytywne efekty imigracji. Jednak krytycy utrzymują, że przybyszów jest za dużo, że wraz z nimi rośnie przestępczość. Prawie 61 proc. mieszkańców, którzy w 2016 r. wzięli udział w referendum, głosowało tu za brexitem.

Wśród nowych obywateli miasta są także Romowie: Petr ocenia, że ok. 5 tys. tutejszych Romów przybyło z Czech i Słowacji, a kolejnych 5-7 tys. z Rumunii. Zaznacza, że raczej nie ma konfliktów między nimi a innymi mieszkańcami.

Jak reagowali na Roma w policyjnym mundurze? – Różnie. Byli tacy, którym się to nie podobało. Nawet grożono śmiercią mnie i moim dzieciom, podpaleniem domu itd. Nie były to odosobnione przypadki – wspomina Petr. – Z drugiej strony inni Romowie byli dumni. Cieszyli się, że gdy potrzebują pomocy, mogą zwrócić się do mnie. Że mogą do mnie dzwonić nawet o szóstej rano w niedzielę...

Często dzwoniły do niego kobiety dotknięte przemocą domową. Czuły, że „swojemu" policjantowi mogą zaufać. Petr podkreśla, że znacznie wzrosła liczba zgłoszeń o przemocy domowej. Jest też dumny, że będąc policjantem mógł pomagać ofiarom współczesnego niewolnictwa.

Co lubił najbardziej, gdy był posterunkowym? – Uwielbiałem etos pracy policyjnej w lokalnej społeczności, patrolowanie okolic Lincoln Road, rozmowy z ludźmi. Poświęcałem na to każdą wolną chwilę, nawet przerwę na lunch, byle być blisko z mieszkańcami.

Petr i królowa

To właśnie pragnienie kontaktów z ludźmi pchnęło Petra do tego, aby zre-

PETRTORAK.COM / MATERIAŁY PRASOWE

Petr Torak jeszcze jako posterunkowy z Peterborough: zdjęcie wykonane ostatniego dnia jego służby w policji, 5 grudnia 2017 r.

zygnować z pracy w policji i poświęcić się pracy społecznej. Ukoronowaniem jego zaangażowania dla Romów było odznaczenie go przez królową Elżbietę II Orderem Imperium Brytyjskiego. Jedynie 17 Czechów dostąpiło przed nim tego zaszczytu.

– To było dla mnie impulsem do kolejnych wyzwań. Nigdy nie chciałem osiągnąć jednego marzenia i potem spocząć na laurach – mówi. – Po ponad 10 latach pracy w policji zrobiło mi się... jak by to powiedzieć, zbyt wygodnie. Zastanowiłem się i wyznaczyłem sobie cele na kolejnych 10 lat. Teraz je realizuję. Niedawno zostałem wybrany konsulem honorowym Republiki Czeskiej w Peterborough.

Nowych zadań dostarczyła epidemia. Petr i jego współpracownicy z organizacji Compas, której jest współzałożycielem, starają się pomagać romskim rodzinom i innym potrzebującym. Np. wspierają dzieci w nauce zdalnej – nie tylko brakowało im laptopów, ale także ich rodzice, którzy czasem nie mówią po angielsku, nie mogą im pomagać.

Problemem jest też dostęp do sprawdzonych informacji. – Romowie polegają w znacznej mierze na mediach społecznościowych. Na początku pandemii zaczęły szerzyć się wśród nich teorie spiskowe i sporo osób zdecydowało się wyjechać z Wielkiej Brytanii, wrócić do swoich krajów. Teraz sytuacja się uspokoiła. Za to nowym źródłem lęku są szczepienia – mówi Petr. – Romom brakuje sprawdzonych informacji i szczepionka budzi w nich wiele obaw.

Duma i pochodzenie

W spisie ludności, który zaplanowano na ten rok w Anglii i Walii, po raz pierwszy pojawi się kategoria „Romowie". Zdecydowano tak po wieloletnich konsultacjach i apelach mniejszości romskiej. Uważa się, że w ten sposób łatwiej będzie dostosować do potrzeb Romów opiekę medyczną, liczbę miejsc w szkołach, plany mieszkaniowe, a co za tym idzie, zapobiegać ich dyskryminacji.

W Czechach w spisach ludności wciąż niewielka tylko liczba Romów deklaruje się w ten sposób, bo wciąż może to być stygmatyzujące. Czy w Wielkiej Brytanii jest inaczej? Petr Torak uważa, że tak: – Tutaj wielu Romów jest dumnych z tego, że są Romami. Albo się tym nie przejmują. Mówią: „Jestem Romem i co z tego?". Tak czy siak, bycie Romem jest tu dużo łatwiejsze. W brytyjskich szkołach dzieci od wczesnych lat widzą, że różnorodność etniczna, religijna czy kulturowa jest czymś, z czego należy się cieszyć. Nagle Romowie z Europy widzą, że w szkole organizowany jest Międzynarodowy Dzień Romów. Myślą: „Jak to możliwe, skąd o nas wiedzą?". Wchodząc do szkoły, widzą napis „Witamy" po romsku i w wielu innych językach. To sprawia, że czują się akceptowani i dumni ze swojego dziedzictwa.

Na ile takie odczucie jest powszechne? Testem będzie spis ludności: pokaże, ilu Romów tak się zadeklaruje. Doświadczenie Wędrowców sugeruje, że duma z pochodzenia to jedno, a odnalezienie swojego miejsca w społeczeństwie to czasem coś zupełnie innego.

Petr Torak nie ma jednak wątpliwości, że aby coś osiągnąć, trzeba ciężko pracować, a gdy już się to osiągnie, trzeba o tym głośno mówić. Inaczej Romowie nie będą widoczni. – To kwestia równowagi między osiągnięciami a zachowaniem tożsamości kulturowej. Jeśli nie będziemy krzyczeć „Tak, jestem Romem i osiągnąłem sukces!", będzie to sukces tylko w połowie – przekonuje.

Skąd on sam znalazł siły, aby osiągać swoje cele? – Dzięki moim rodzicom. To oni sprawili, że jestem tak zdeterminowany. Po prostu nie dali mi innego wyboru.

© ℗ PATRYCJA BUKALSKA

JOHN G. MABANGLO / EPA / PAP

Centrum dystrybucyjne banku żywności w Alameda, Kalifornia, 24 lutego 2021 r.

Na włosku

MARTA ZDZIEBORSKA

Długi, strach przed eksmisją i uzależnienie od pomocy rządowej. To codzienność milionów bezrobotnych Amerykanów.

W czasach epidemii Gwen Turos pozbyła się wstydu. Raz w miesiącu jedzie autem do banku żywności i bierze, co dają: jedzenie w puszkach, świeże warzywa, ryż, makaron.

Dla podratowania domowego budżetu wyprzedała też sporo mebli i zaczęła oddawać krew za pieniądze. W stacji krwiodawstwa była dotąd sześć razy. Choć czuła się potem słaba, uważa, że warto. Dzięki temu zarobiła 360 dolarów: prawie tyle, ile kosztuje składka na polisę zdrowotną jej żony (Gwen żyje w małżeństwie jednopłciowym). Bieżących wydatków jest zresztą więcej – Gwen spłaca kredyt hipoteczny, rata wynosi 1,4 tys. dolarów.

Równia pochyła

Przed epidemią nie musiała się martwić o pieniądze. Przez 22 lata pracowała nieprzerwanie przy realizacji Festiwalu Szekspirowskiego – jednego z najbardziej znanych wydarzeń teatralnych na Zachodnim Wybrzeżu USA. Jako inspicjentka zarabiała ponad 5 tys. dolarów miesięcznie. Jej żona Valerie niewiele mniej: prócz zleceń przy oregońskim festiwalu dorabiała w kilku teatrach w Kalifornii.

Gdy wiosną 2020 r. obie straciły pracę, ich życie znalazło się na równi pochyłej.

Na początku nie było najgorzej. Tak jak miliony bezrobotnych, prócz zasiłku stanowego dostawały wsparcie od rządu federalnego. Jednak te pieniądze, w wysokości 600 dolarów tygodniowo, skończyły się na początku sierpnia 2020 r., a szanse na szybkie przedłużenie pomocy pogrzebały żmudne negocjacje w Waszyngtonie.

Politycy doszli do porozumienia i uchwalili drugi pakiet pomocy dla gospodarki dopiero tuż przed Bożym Narodzeniem. Do tego czasu bezrobotni Amerykanie musieli polegać na zasiłkach stanowych i tymczasowym wsparciu od administracji Trumpa – niektórzy z nich dostawali przez półtora miesiąca po 300 dolarów tygodniowego dodatku federalnego.

Spalony dom

Gwen mówi, że w najtrudniejszym okresie dostawała w sumie 2 tys. dolarów zasiłku. Za to musiały utrzymać się obie, bo po kilku miesiącach na bezrobociu Valerie przestała dostawać jakiekolwiek wsparcie. Przyczyną problemów było to, że przed epidemią Valerie pracowała w dwóch stanach. Gdy w pewnym momencie musiała przedłużyć swoje prawo do zasiłku, okazało się, że urzędy pracy w Kalifornii i Oregonie nie mogą się dogadać w jej sprawie. Rozwiązywanie problemu trwało aż do stycznia tego roku.

– Mam dość ciągłej niepewności i użerania się z urzędami – Gwen podnosi głos. – Przez te wszystkie zawirowania musiałam wypłacić 20 tys. dolarów z konta emerytalnego. To jedna piąta moich oszczędności na starość. Od miesięcy nie płacimy też pełnej raty za kredyt hipoteczny. Nawet nie chcę myśleć, kiedy zwrócimy bankowi te pieniądze.

Gwen spodziewa się, że do pracy przy festiwalu wróci najwcześniej pod koniec roku. Pociesza się, że przynajmniej ma dach nad głową. W przeciwieństwie do swoich bezrobotnych znajomych nie straciła domu w pożarach, do których doszło w Oregonie jesienią 2020 r. Miała duże szczęście, bo w jej miejscowości spłonęła niemal połowa budynków. W przypadku Gwen i Valerie skończyło się na ewakuacji i podwójnym stresie. Bo właśnie wtedy Valerie godzinami wydzwaniała na infolinię urzędu pracy, próbując ustalić, kiedy dostanie przysługujące jej świadczenia.

Zasiłek last minute

Jest koniec lutego i sytuacja obu kobiet znów zależy od pomocy z zewnątrz. Podobnie jak miliony bezrobotnych Amerykanów, śledzą właśnie losy trzeciego pakietu pomocy dla gospodarki. Przedstawiony przez prezydenta Joego Bidena projekt o wartości 1,9 bln dolarów zakłada m.in. zwiększenie zasiłków federalnych z 300 do 400 dolarów tygodniowo, wypłaty po 1,4 tys. dolarów dla większości Amerykanów oraz pożyczki i granty dla firm.

To, czy proponowane przepisy wejdą w życie, zależy od poparcia polityków na Kapitolu. Gwen pociesza się, że tym razem powinno być łatwiej. Partia Demokratyczna kontroluje dziś obie izby Kongresu, co pozwoli uniknąć żmudnych rozmów z Republikanami, którzy pilnują dyscypliny budżetowej i zwykle optują za mniejszymi wydatkami na pomoc socjalną.

Demokraci chcą przepchnąć projekt w ramach specjalnej procedury *budget reconciliation*, która umożliwia przyjęcie ustawy zwykłą większością głosów. ↦

↦ Muszą się spieszyć: między połową marca a połową kwietnia bezrobotni stracą dotychczasowe zasiłki federalne. W momencie zamykania tego numeru „Tygodnika” projekt nie został jeszcze poddany pod głosowanie w izbie niższej, czyli Izbie Reprezentantów.

Sytuacja na rynku pracy w USA pozostaje napięta. Wprawdzie bezrobocie stopniowo spada – w kwietniu 2020 r., w epidemicznym apogeum, sięgało 15 proc., aby do stycznia spaść do 6,3 proc. – jednak bezrobotnych jest dziś ponad 10 mln. Prawie dwa razy tyle, co przed epidemią.

Moratoria i bony

Tymczasem Amerykanie już teraz toną w długach. Z lutowego raportu Rezerwy Federalnej (odpowiednika banku centralnego) wynika, że zadłużenie społeczeństwa na kartach kredytowych wynosi prawie bilion dolarów.

Tę rekordową statystykę po części nakręciła zeszłoroczna przerwa w wypłacie zasiłków federalnych. Serwis internetowy telewizji ABC przedstawia historię Mary Davis z Michigan, która z tego powodu zapożyczyła się na 6 tys. dolarów. Jeszcze bardziej dramatyczna jest sytuacja Amie Blazio, bezrobotnej kelnerki z Nebraski, której dług na karcie kredytowej urósł do 26 tys. dolarów. W wywiadzie dla ABC mówiła, że stać ją tylko na jedzenie dla rodziny i paliwo.

Nic dziwnego, że bezrobotni zalegają z opłatami za wynajem mieszkań. Według badań Federal Reserve Bank of Philadelphia od początku epidemii „uzbierali” już 11 mld dolarów długu. Szacuje się, że nawet 40 mln Amerykanów przed bezdomnością chroni jedynie federalne moratorium na eksmisje. Od regulacji rządowych zależy też sytuacja większości posiadaczy kredytów hipotecznych: tych, którzy zalegają ze spłatą, chroni zakaz licytowania nieruchomości i przepisy umożliwiające tymczasowe obniżenie rat takich kredytów.

Ze względu na epidemię łatwiej też zakwalifikować się do federalnego programu pomocy żywnościowej. Z bonów, które można realizować w wybranych sklepach, korzystają 43 mln osób (o 5 mln mniej niż podczas recesji sprzed dekady). Coraz częściej Amerykanie ustawiają się też w kolejkach do banków żywności. Największe z nich, jak Feeding America, alarmują, że podczas epidemii liczba potrzebujących wzrosła o 60 proc. Według badań przytoczonych przez „Washington Post” niemal 30 mln Amerykanów deklarowało w połowie grudnia, że w tygodniu poprzedzającym sondaż nie dojadali.

Trzysta CV i jeden telefon

Rosie Alumbaugh szuka pomocy, gdzie się da. Bony żywnościowe zaczęła pobierać już kilka miesięcy temu.

Życie nie oszczędza 23-latki z Bostonu. Gdy rozmawiałyśmy w marcu zeszłego roku, właśnie straciła dwie prace: etat w kawiarni i wieczorne zlecenia przy sztukach teatralnych. Teraz łączę się z Rosie przez Skype’a i znów widzę jej zmartwioną twarz. Tłumaczy, że ponownie wylądowała na bezrobociu i to zaledwie po dwóch i pół miesiącach pracy. Pizzeria, dla której rozwoziła zamówienia, miała zbyt mało klientów i zwolniła personel tuż przed Bożym Narodzeniem.

– Od początku było coś z tą pracą nie tak – opowiada. – Najpierw czekałam dwa miesiące, żeby zacząć. Potem okazało się, że firma wciąż zmienia mi grafik i pracuję mniej godzin. Zdarzały się tygodnie, gdy zarabiałam mniej, niż wynosił wcześniej mój zasiłek! Najgorsze, że przez rok wysłałam ponad trzysta CV. Odezwali się tylko z tej cholernej pizzerii...

Rosie ma ostatnio wyjątkowo pod górkę. Na początku lutego dostała pismo ze stanowego urzędu pracy. Przeczytała, że starając się za pierwszym razem o zasiłek, rzekomo nie przedstawiła dokumentu ze zdjęciem i musi zwrócić pobrane świadczenia. Dopiero po serii telefonów na infolinię usłyszała, że to pomyłka i nic nie musi oddawać.

– Mam dość ciągłej nerwówki. Na razie jakoś daję radę. Dostaję zasiłek i mam trochę oszczędności, które odłożyłam, gdy na początku pandemii pomieszkiwałam u rodziców. Tylko co zrobię, jeśli Kongres nie zatwierdzi nowego programu pomocy? – zastanawia się Rosie, która za sam wynajem pokoju w Bostonie płaci tysiąc dolarów miesięcznie.

POŻEGNANIE

23 lutego 2021 roku, przeżywszy lat 93, zmarł

Ś.† P.

Profesor Jerzy Dietl

Nasz Kochany Mąż, Ojciec, Dziadek i Pradziadek

żołnierz AK, więzień obozu koncentracyjnego w Blechhammer, zapalony podróżnik, prekursor badań marketingowych w Polsce; profesor Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Poznaniu, Uniwersytetu Łódzkiego i Wyższej Szkoły Biznesu – National-Louis University w Nowym Sączu; dr honoris causa Akademii im. Leona Koźmińskiego i Uniwersytetu Jean Moulin Lyon 3; współzałożyciel Fundacji Rozwoju Przedsiębiorczości i wieloletni prezes Fundacji Edukacyjnej Przedsiębiorczości; senator I kadencji Senatu RP; kawaler Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się o godz. 14.30 w piątek 5 marca w domu pogrzebowym na poznańskim cmentarzu w Junikowie (wejście od ul. Cmentarnej), po czym nastąpi odprowadzenie zmarłego do grobu rodzinnego.

O czym zawiadamiają pogrążeni w smutku

ŻONA, SIOSTRA, SYN, SYNOWA, CÓRKA, ZIĘĆ, WNUKI WRAZ Z RODZINAMI I PRAWNUKAMI

Prosimy o wsparcie organizacji charytatywnej zamiast składania kwiatów.

Jako absolwentka studiów z zarządzania teatrem ma też do spłacenia 49 tys. dolarów pożyczki studenckiej. Będąc na bezrobociu, nie oddała bankowi ani centa.

– Nie mam siły o tym myśleć – mówi. – Moim zmartwieniem jest teraz, czy będę miała za co żyć, i czy rodzice będą zdrowi. Dwa miesiące temu złapali koronawirusa. Na szczęście infekcję przeszli łagodnie, ale obawiam się o długofalowe skutki. Tata ma 70 lat, mama jest po sześćdziesiątce... Naprawdę potrzebuję trochę spokoju.

83 dolary i prozac

Do życia w ciągłej niepewności przyzwyczajona jest Nina (imię zmienione), 26-letnia realizatorka dźwięku z Nowego Jorku. Jeszcze przed epidemią pracowała jako freelancerka, zdana na szukanie zamówień. Jej jedynym stałym źródłem dochodów była praca przy obsłudze koncertów w klubie jazzowym. Gdy wiosną 2020 r. lokal zamknięto, pozostało jej łapanie zleceń w zaprzyjaźnionym studiu nagraniowym.

– Nigdy nie wiem, ile zarobię w miesiącu – mówi Nina. – Są tygodnie, gdy pracuję tylko godzinę. Czasem trafi się większe zlecenie przy nagrywaniu audiobooków, wtedy wpadnie mi nawet 600 dolarów – dodaje kobieta, która może liczyć tylko na niski zasiłek stanowy, gdyż nie miała stałych dochodów. Wylicza, że z tego zasiłku przysługują jej jedynie 83 dolary tygodniowo. I to pod warunkiem, że nie dostanie lepszego zlecenia i nie zarobi w tym okresie więcej niż 500 dolarów.

Najgorszy dla Niny był okres od lipca do grudnia zeszłego roku, gdy nie dostawała żadnego wsparcia od rządu federalnego. Przyznaje ze wstydem, że przed długami ratowały ją prostytucja i niski czynsz za pokój, który wynajmuje w najbiedniejszym rejonie Brooklynu.

– To nie jest tak, że idę na łatwiznę – tłumaczy. – Musiałam szybko dorobić, a nikt mi przecież nie pożyczy. Z rodzicami nie rozmawiam. Znajomi też nie mają pracy. Oczywiście mogłabym szukać etatu poza branżą muzyczną. Ale w czasach kryzysu może to trwać miesiącami! A ja walczę, żeby utrzymać się na powierzchni. Chcę też dalej pracować jako realizatorka dźwięku, bo na kontakty w tej branży pracuje się latami.

Nina przyznaje, że przez prostytucję już raz straciła zlecenie w studiu nagrań.

GWEN: *Na przeżycie musiałam już wypłacić jedną piątą oszczędności z konta emerytalnego.*

ARCHIWUM PRYWATNE X2

ROSIE: *Bywały tygodnie, gdy zarabiałam mniej, niż wynosił wcześniej mój zasiłek.*

Po spotkaniu z klientem złapała koronawirusa i nie mogła pracować. Do studia wpuszczają tylko osoby z negatywnym wynikiem testu.

– Czasami myślę, że to nigdy się nie skończy – mówi. – Wstydzę się tego, co robię. Mam dość wymyślania nowych pseudonimów i umawiania się z klientami przez aplikację szyfrującą, tak żeby nie znali mojego numeru telefonu. Ci, którzy dostają na bezrobociu dobre zasiłki, nie zrozumieją mojej desperacji. Przez pandemię znów zaczęłam mieć myśli samobójcze. Ostatnio jest lepiej, bo biorę prozac i przygarnęłam kota. Przynajmniej mam teraz dla kogo pracować.

Przejadłam 50 tysięcy

Historia Carolyn z Los Angeles mogłaby być równie dramatyczna. Właścicielka firmy organizującej różne imprezy przez epidemię straciła większość zleceń. A na utrzymaniu ma nie tylko siebie, ale też sześcioletnią córkę. Tymczasem nie przysługuje jej zasiłek stanowy, gdyż jest przedsiębiorcą. Nie zakwalifikowała się też do federalnego programu pożyczek dla małych firm. Przed finansową katastrofą ratują ją tylko duże oszczędności. Ma szczęście, że przed epidemią odkładała pieniądze na zakup domu.

– Na bezrobociu przejadłam już 50 tys. dolarów! – krzyczy Carolyn, która uważa, że rząd federalny za słabo wspiera przedsiębiorców. – Wiesz, dlaczego na początku pandemii nie dostałam pożyczki dla małych firm? Bo zbyt szybko skończyły się środki. Denerwuje mnie, że Joe Biden obiecuje teraz Amerykanom wypłatę czeków po 1,4 tys. dolarów. Przecież w Los Angeles za taką kwotę można wynająć tylko kawalerkę – tłumaczy 35-latka, która za wynajem dwupokojowego mieszkania w dobrej dzielnicy płaci 2,5 tys. dolarów.

Przed epidemią nie był to dla niej duży wydatek. Carolyn specjalizowała się w organizacji wysokobudżetowych wydarzeń w branży filmowej i muzycznej. Chwali się, że realizowała zlecenia przy okazji hollywoodzkich premier i światowej trasy koncertowej Justina Biebera. Dziś jej głównym zajęciem jest ściganie zleceniodawców, którzy zalegają z płatnościami jeszcze sprzed epidemii. Rekordzista ma do zapłaty 40 tys. dolarów – od roku oddaje pieniądze w małych transzach.

– Mogłabym pójść z tym do sądu, ale to się nie opłaca. Stracę pieniądze na prawnika i popsuję relacje z kontrahentem. Współpracuję z nim od lat i wiem, że on także klepie teraz biedę – mówi Carolyn, która na razie może pozwolić sobie na taką wyrozumiałość. Jednak jej oszczędności kiedyś się skończą. Wylicza, że pieniędzy starczy jej jeszcze na pół roku.

Czy „bańka" wytrzyma?

– Nie wiem, jak sobie dalej poradzę – przyznaje Carolyn. – Raczej nie dostanę pożyczki z banku, bo moja branża zamarła i nie mogę wykazać, że firma szybko zacznie przynosić zyski. Czasami myślę, że po prostu przestanę płacić czynsz. W końcu w Kalifornii obowiązuje tymczasowy zakaz eksmisji... Ale jak utrzymam się z córką? Jak zapłacę za jedzenie i paliwo? Ostatnio złożyłam kolejny wniosek o federalną pożyczkę dla małych firm. Tym razem muszę ją dostać. To moja ostatnia deska ratunku.

Podobnie jak w przypadku milionów Amerykanów, przyszłość Carolyn wisi na włosku. Zależy w gruncie rzeczy od tego, czy pompowana przez rząd federalny „pomocowa bańka" dla gospodarki i społeczeństwa w końcu nie pęknie.

© MARTA ZDZIEBORSKA

INTELLIGENZAKTION W CIECHANOWIE

MARCIN PRZEGIĘTKA, HISTORYK:

Wiosną 1940 r. z regionu Mazowsza Północnego do Dachau i Ravensbrück trafiło ponad 1200 osób. To była znaczna część tamtejszej inteligencji.

BARTOSZ DZIEWANOWSKI-STEFAŃCZYK: Według ustaleń badaczy pamięć komunikacyjna, oparta na kontakcie ze świadkami, obejmuje trzy pokolenia. Dziś odchodzą ostatni świadkowie II wojny światowej, a wiedza o niej jest coraz bardziej książkowa. Czytając Pańską pracę miałem jednak wrażenie, że stanowi ona substytut relacji rodzinnej. Kogo dotyczyła opisana przez Pana akcja Gestapo? Bo nie była to tylko inteligencja.

MARCIN PRZEGIĘTKA: Zacznę od skali. Nie znamy dokładnej liczby osób, które zostały aresztowane, ale wiadomo, że po aresztowaniach w rejencji ciechanowskiej do obozów Dachau i Ravensbrück wywieziono 1259 osób. Aresztowanych było jednak więcej – nieznana liczba osób zatrzymanych, raczej niewielka, została po kilku dniach zwolniona. Były to największe masowe aresztowania dokonane przez Niemców na terenie Regierungsbezirk Zichenau, rejencji ciechanowskiej. Prowadzono je na polecenie wydane przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie, czyli centralę Gestapo, która określała to zadanie jako „akcję prewencyjną przeciwko ruchowi oporu polskiej inteligencji".

Jednak tylko dwie trzecie aresztowanych i deportowanych do obozów to osoby należące do inteligencji ze względu na wykształcenie, zawód i rolę społeczną: urzędnicy, nauczyciele, właściciele ziemscy, przedstawiciele wolnych zawodów i działacze organizacji społecznych, politycznych lub kombatanckich, policjanci, oficerowie, duchowni, także gimnazjaliści. Pozostała jedna trzecia to rolnicy, rzemieślnicy i robotnicy. Możemy tylko spekulować, dlaczego zostali zatrzymani w ramach tej akcji.

Wśród aresztowanych 94 proc. stanowili mężczyźni. O czym świadczy ten udział?

Odwróciłbym pytanie: dlaczego deportowano do Ravensbrück aż 83 kobiety? Pamiętajmy, że były to czasy, gdy życie publiczne było zdominowane przez mężczyzn – w Polsce, jak i w Niemczech. Gdy myślimy o państwie totalitarnym albo okupacji, mamy gdzieś z tyłu głowy schemat, w którym to mężczyźni są w pierwszej kolejności przedmiotem zainteresowania policji politycznej. Tu szokujące dla aresztowanych i ich rodzin musiało być objęcie tymi działaniami również kobiet, przeważnie nauczycielek i urzędniczek. Zresztą klucz, według którego dokonywano aresztowań, jest niejasny. Dlaczego aresztowano akurat tych nauczycieli i tych urzędników, a nie wszystkich? Bez wątpienia listy tworzono *ad hoc*, po otrzymaniu rozkazu z Berlina, aby w ciągu kilku dni dokonać aresztowań. Takie tempo musiało zdecydować o pewnej przypadkowości.

Czy Pańskie ustalenia dla północnego Mazowsza są reprezentatywne dla całego terenu okupowanej Polski?

Przede wszystkim dla ziem wcielonych do Rzeszy. W tym czasie, kwiecień-maj 1940 r., Gestapo prowadziło masowe aresztowania na terenie rejencji katowickiej, Okręgu Rzeszy Kraj Warty, Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie i powiatu suwalskiego. Tam również dominowała inteligencja, ale nigdzie nie stanowi 100 proc. represjonowanych.

Każdy region miał zresztą swoją specyfikę. Aresztowania z wiosny 1940 r. pozostają w cieniu wcześniejszych, bardziej dramatycznych wydarzeń. Na Pomorzu, a do pewnego stopnia również w Wielkopolsce, największa fala zbrodni niemieckich przypadła na jesień 1939 r., gdy po masowych aresztowaniach egzekucje były w każdym powiecie. Z kolei w Generalnym Gubernatorstwie efektem aresztowań dokonanych wiosną i latem 1940 r. w ramach tzw. nadzwyczajnej akcji pacyfikacyjnej były nie tylko deportacje do obozów, lecz również egzekucje, których symbolem są Palmiry.

Na jakie pytania archiwa Gestapo nie odpowiadają?

One dają wgląd w wiedzę, jaką Gestapo miało o Polsce i Polakach. Pokazują rzeczywistość okupacyjną oczami okupanta. O tym trzeba pamiętać i ostrożnie formu-

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Zjazd absolwentek Seminarium Nauczycielskiego w Płocku, kwiecień 1936 r.

łować na ich podstawie wnioski. Dla historyka naczelną zasadą powinno być konfrontowanie informacji z takich źródeł z innymi dokumentami. Jednak nie zawsze dysponujemy materiałami, które taką konfrontację umożliwiają.

Skąd władze niemieckie wiedziały, kogo aresztować? Czy Pana książka stanowi swego rodzaju uzupełnienie do pracy Barbary Engelking „»Szanowny Panie Gistapo«. Donosy do władz niemieckich w Warszawie i okolicach w latach 1940–1941"?

W aktach Gestapo w niejednej teczce osoby aresztowanej można znaleźć anonimowy donos napisany po niemiecku lub polsku. O osobach „groźnych" dla okupanta informowali też konfidenci – stali współpracownicy Gestapo. Byli to Niemcy, ale też Polacy. W ogóle trzeba powiedzieć, że Gestapo nie działało w próżni: bez pewnej gotowości do współpracy w społeczeństwie, czyli donosicieli i konfidentów, oraz współpracy ze strony NSDAP, administracji i innych służb policyjnych niewiele by mogło zdziałać. Według ustaleń historyków, którzy badali placówki Gestapo w Rzeszy, zdecydowaną większość spraw wszczynano na podstawie donosów, raportów konfidentów i zawiadomień składanych przez instytucje. Dotyczy to nie tylko Rzeszy, lecz także terytoriów przez nią okupowanych.

Udział konfidentów w pracy Gestapo to złożony temat. Podam przykład: w Ostrołęce, położonej w okresie międzywojennym kilkadziesiąt kilometrów od granicy z Prusami Wschodnimi, pewien Polak, nauczyciel, współpracował z niemieckim wywiadem od 1937 r., a w czasie wojny został konfidentem Gestapo. Gdy podczas aresztowań w kwietniu 1940 r. został zatrzymany jego kolega, również nauczyciel, konfident wstawił się za nim, zaświadczając, że aresztowany pomagał jego rodzinie, gdy on sam przed wojną został aresztowany przez władze polskie pod zarzutem szpiegostwa. Dla Gestapo nie miało to znaczenia – ten Polak zmarł w obozie. A Polak-konfident jeszcze przez jakiś czas współpracował z Gestapo, potem sam się zdekonspirował: zaczął opowiadać naokoło, że dostaje pieniądze od Niemców za ujawnianie konspiratorów.

Także postawy volksdeutschów nie były zawsze oczywiste.

Gdy mówimy o volksdeutschach, posługujemy się stereotypowym wyobrażeniem współpracowników władz okupacyjnych, którzy donosili na Polaków i Żydów. Takie zachowania miały miejsce na terenie rejencji ciechanowskiej, opisuję ich przykłady. Ale to tylko jedna strona medalu. Zaskoczyło mnie popieranie przez volksdeutschów wniosków o zwolnienie z obozu, wysyłanych przez bliskich aresztowanych. Zaświadczali oni na piśmie, że osoba osadzona w obozie nie wyrządzała Niemcom krzywdy.

To bez wątpienia wymagało odwagi – przecież można było w ten sposób narazić się Gestapo. Pokazuje to, że stosunki między Polakami a Niemcami na Mazowszu Północnym nie były tak złe, jak by nam się mogło wydawać. Niemcy nie tworzyli zwartych skupisk i na co dzień musieli utrzymywać kontakty z Polakami, zawodowe i towarzyskie. Wojna nie przerwała tych relacji, choć jasne jest, że władzom niemieckim bardzo na tym zależało. ↦

Volksdeutschami bywali też Polacy.

Mówiąc o volksdeutschach popierających wnioski o zwolnienie z obozów, mam na myśli ludzi o niemieckich nazwiskach, którzy przedkładali władzom okupacyjnym pisma sporządzone po niemiecku. Ale to prawda, kwestia narodowości była sprawą skomplikowaną. Choć akurat w rejencji ciechanowskiej odsetek ludzi wpisanych na volkslistę był niewielki. Po pierwsze mało było osób, które deklarowały tu niemiecką narodowość – według danych z grudnia 1939 r. zaledwie 1,5 proc. To wielokrotnie mniej niż na Pomorzu, Górnym Śląsku i w Wielkopolsce. Poza tym, w odróżnieniu od Pomorza i Górnego Śląska, władze niemieckie rejencji ciechanowskiej nie forsowały w takim stopniu wpisywania Polaków na siłę na volkslistę.

Podczas aresztowań popełniano błędy?

Tak, listy nazwisk zawierały wiele błędów. Częściowo można zrzucić to na karb nieznajomości polskiego i pośpiechu. Ale aresztowa dokonywano również wtedy, gdy dane personalne się nie zgadzały. Ciekawa jest historia urzędniczki z Płocka, Zofii Jabłczyńskiej, która w momencie aresztowania miała 22 lata. Gestapowiec, który ją aresztował, miał zatrzymać Irenę Jabłczyńską, nauczycielkę o pięć lat starszą. Choć ewidentnie chodziło o inną kobietę, Zofia trafiła do KL Ravensbrück, gdzie dotrwała do wyzwolenia obozu w 1945 r. Gestapo nie przyznawało się do błędu – nie musiało się przed nikim tłumaczyć. Deportacja do obozu koncentracyjnego odbywała się na podstawie decyzji policji politycznej – nie był potrzebny wyrok sądu. Od takiego postanowienia Gestapo nie można się było odwołać.

MARCIN PRZEGIĘTKA:

Zaskoczyło mnie popieranie przez volksdeutschów wniosków o zwolnienie z obozu, które wysyłali bliscy aresztowanych. Pokazuje to, że stosunki między Polakami a Niemcami na Mazowszu Północnym nie były tak złe.

Dlaczego niektórzy aresztowani byli zwalniani?

Około 10 proc. osób aresztowanych w akcji, o której piszę, zostało uwolnionych, przeważnie latem 1940 r. Wydaje się, że musiało to nastąpić na podstawie jakiegoś odgórnego zarządzenia. Niestety wiele akt Gestapo przepadło i nie wiadomo, co zdecydowało, że części więźniów dano możliwość powrotu do domu.

Z zachowanych dokumentów wynika, że trudno mówić o uniwersalnych regułach zwolnień. Same zabiegi rodziny, nawet wspieranej przez volksdeutschów, zwykle nie wystarczały. Dużą szansę dawało wstawienie się za aresztowanym przez urząd lub przedsiębiorstwo niemieckie, które zaświadczały, że konkretny więzień jest im potrzebny jako doświadczony fachowiec. Dobrze udokumentowany jest przypadek Antoniego Kowalskiego, muzyka i architekta z Płocka. Zabiegi jego brata, który był muzykiem Filharmonii w Krakowie, pozostałyby bezskuteczne, gdyby nie wstawiennictwo generalnego gubernatora Hansa Franka, dla którego Filharmonia była oczkiem w głowie. Antoni Kowalski został zwolniony z obozu i dołączył do Filharmonii, ale pod warunkiem, że nie wróci do Płocka i osiedli się „dobrowolnie" w Generalnym Gubernatorstwie.

Struktura organów policyjnych i bezpieczeństwa w rejencji i zarazem w III Rzeszy okazuje się wyjątkowo skomplikowana – skąd ten zaskakująco nieefektywny podział?

Był on skomplikowany, ale nie zgodziłbym się, że nieefektywny. III Rzesza nie bez powodu została nazwana przez historyka Franciszka Ryszkę „państwem stanu wyjątkowego". Po dojściu Hitlera do władzy wiele kwestii, w tym organizacja aparatu policyjnego, nie zostało ustalonych raz na zawsze, lecz było regulowanych przez doraźne zarządzenia, a kompetencje urzędów nie zawsze były jasno rozgraniczone. To kłóci się z naszym potocznym wyobrażeniem o Niemcach,

ARCHIWUM PRYWATNE X 2

U góry: Kazimierz Ignacy Dziewanowski, okres międzywojenny.

Po prawej: Zofia z Chrzanowskich Dziewanowska, początek XX wieku.

Śladami prapradziadka

„KOCHANA ZOFIO (...) Jestem zdrowy i dobrze się czuję (...) od wczoraj jest silny mróz (...). Połowa zimy już minęła – z bożą pomocą przetrwam zimę. (...) Czekam z wielkim utęsknieniem na Twój list – to jest moje całe szczęście" – tak Kazimierz Ignacy Dziewanowski pisał do żony w swoim ostatnim liście, jaki wysłał z obozu koncentracyjnego Dachau, datowanym na 11 stycznia 1942 r.

OFICJALNE PISMO wysłane przez administrację Dachau informowało, że zmarł 27 stycznia 1942 r. Taka data widnieje przy kościele w Rębowie, na symbolicznym nagrobku tego ostatniego właściciela dworu w Grodkowie koło Wyszogrodu. Dopiero w 2001 r. okazało się, że Dziewanowski nie zmarł w Dachau, lecz został zagazowany na zamku Hartheim. Kilkanaście lat później historyk Marcin Przegiętka ustalił, że mój prapradziadek trafił do Dachau w ramach akcji

które kazałoby sądzić, że III Rzesza była państwem, w którym wszystko działało jak w zegarku.

Struktura policji była rzeczywiście dość złożona. Z jednej strony mamy Gestapo, które było formacją stosunkowo nieliczną, ale mającą kompetencje w sprawach politycznych. Najliczniejszą służbą była Policja Porządkowa, która dzieliła się na kilka rodzajów policji. Jej funkcjonariusze byli najbardziej widoczni na ulicach miast i w terenie. Pełnili służbę patrolową i podejmowali interwencje w sprawach mniejszej wagi, ale prowadzili też aresztowania, przeszukania, przesłuchania i egzekucje na polecenie Gestapo. Tak też było w przypadku wydarzeń, które opisuję: Gestapo miało zbyt skromne siły, aby w krótkim czasie dokonać masowych aresztowań, stąd znaczną liczbę osób zatrzymała Policja Porządkowa, która eskortowała ich też do obozu w Działdowie i dalej do obozów w Rzeszy.

Poza tym istniała również Policja Kryminalna, której kompetencje częściowo zazębiały się z Policją Porządkową i Gestapo. Aby jeszcze bardziej skomplikować ten obraz, możemy dodać formacje paramilitarne: SS oraz Selbstschutz, które nie były służbami policyjnymi, lecz mimo to pełniły istotne funkcje w systemie represji, nadzorując obozy i prowadząc egzekucje.

Dlaczego wielu aresztowanych wielokrotnie przewożono między obozami?

ARCHIWUM PRYWATNE

Marcin Przegiętka

Przewiezienie do innego obozu mogło być rodzajem kary dyscyplinarnej – dla więźnia oznaczało to ogromny stres i konieczność przystosowania się do nowych warunków. Administracje SS i Gestapo posługiwały się swoją wewnętrzną logiką. Miesiąc po tym, gdy dużą grupę więźniów – prawie 1200 z jednego regionu Polski, Mazowsza Północnego – przywieziono do KL Dachau, wydzielono z niej kilkaset osób, które wysłano do KL Mauthausen, a konkretnie do powstającej wtedy filii tego obozu w Gusen. Pewnie w ten sposób chciano podzielić dość licznych Polaków, aby nie stanowili dominującej grupy. Poza tym każdy obóz miał swoje miejsce w skali. Niektóre były przeznaczone dla więźniów, którzy według Gestapo i SS nie rokowali „poprawy" – to np. KL Mauthausen.

Jakie były dalsze losy aresztowanych w regionie ciechanowskim? Był tu jakiś wzorzec, wyjątkowe losy?

Typowo wyglądało to tak: aresztowanych gromadzono w obozie przejściowym w Działdowie, a po kilku-kilkunastu dniach deportowano do obozów koncentracyjnych w Rzeszy. Pobyt tam, gdzie racje żywnościowe były niewystarczające, więźniowie brutalnie traktowani i zmuszani do pracy ponad siły, wyczerpywał fizycznie i psychicznie. Ale część więźniów dotrwała oswobodzenia.

W wystawianych w obozach aktach zgonu z reguły jako przyczynę śmierci podawano choroby, aby rodziny zamordowanych nie zorientowały się w okolicznościach śmierci. Dziś często nie jesteśmy w stanie ustalić, czy jej przyczyna oraz data i miejsce są prawdziwe. Fałszywe dane podano np. w akcie zgonu pańskiego prapradziadka. Zginął zagazowany w Hartheim, dokąd przewożono więźniów niezdolnych do pracy.

Jak długo jeszcze będziemy dowiadywać się o nieznanych losach różnych rodzin w czasie wojny, która zakończyła się ponad 75 lat temu?

Wbrew pozorom źródeł dotyczących okupacji i zbrodni niemieckich jest sporo. Problemem jest ich rozproszenie. Po prostu trzeba wiedzieć, gdzie ich szukać.

© Rozmawiał BARTOSZ DZIEWANOWSKI-STEFAŃCZYK

---

wymierzonej wówczas w polską inteligencję.

DZIEWANOWSKI URODZIŁ SIĘ w 1879 r. Absolwent prawa na UW, jako jeden z największych właścicieli ziemskich w regionie angażował się społecznie i dobroczynnie, zwłaszcza w okresie I wojny światowej. W 1916 r. wybrany do sejmiku płockiego, w czasie konstytuowania się polskiej władzy w listopadzie 1918 r. mianowany został komisarzem rządu. W II RP należał do zarządu Płockiego Związku Ziemian, był też prezesem Zrzeszenia Producentów Spirytusu i członkiem rady Banku Związku Ziemian.

ZOSTAŁ ARESZTOWANY przez Gestapo 24 lutego 1940 r. Dwór w Grodkowie i cały majątek odebrano rodzinie „w celu wzmocnienia narodu niemieckiego" (jak informuje wpis do ówczesnej księgi hipotecznej). Przewieziony najpierw do więzienia w Płocku, a potem do obozu przejściowego w Działdowie, trafił do KL Dachau (numer 14533). Według danych muzeum obozu w Dachau było to 19 kwietnia 1940 r. Wkrótce, 5 czerwca, został przetransportowany do obozu Neuengamme pod Hamburgiem, jednak już 15 sierpnia 1940 r. znów trafił do Dachau. Stąd 19 stycznia 1942 r. wywieziono go wraz z tzw. transportem inwalidów do zamku Hartheim w Austrii, gdzie został zagazowany.

OPOWIADAJĄCA RÓWNIEŻ O JEGO LOSIE KSIĄŻKA dr. Marcina Przegiętki „Akcja Gestapo przeciwko polskiej inteligencji w rejencji ciechanowskiej" ukazała się w 2020 r. nakładem Instytutu Pileckiego. Historyk z warszawskiego IPN przedstawia w niej mikrostudium regionalne dotyczące Regierungsbezirk Zichenau, jak Niemcy nazwali ten region. Operacja przeciw tutejszej inteligencji była jedną z największych takich akcji prowadzonych na terenach wcielonych do Rzeszy. © BARTOSZ DZIEWANOWSKI-STEFAŃCZYK

HANNA

Krall:
A musimy wiedzieć?

Poznałam ich tego samego dnia. Ją rano, jego przy obiedzie w zakopiańskiej Halamie, w domu ZAiKS-u.

Byłam pod wrażeniem porannego spotkania i powiedziałam o tym panu Pawłowi (syn reżysera Stanisława Różewicza, kolegi z filmowego TOR-u, i bratanek poety): Rozmawiałam z kobietą, której nie widziałam czterdzieści lat.

Gdzie to było? spytał pan P.

W Dolinie Białego.

To normalne, nie zdziwił się. Ja tam spotkałem generała Zaruskiego. Szedłem za nim, pomyślałem – z tyłu wygląda jak Zaruski. Wyprzedziłem go, spojrzałem i rzeczywiście. Ukłoniłem mu się, oddał ukłon. I on nie żył od czterdziestu lat, ale cóż to jest dla Doliny Białego.

Proszę pana, to nie był duch. To była żywa kobieta, tkaczka, jak się dowiedziałam, i jubiler. Znałyśmy się... Krótko się znałyśmy, dawno temu...

Siedziałyśmy na pniach pod wodospadem na foliowych ceratkach – wyjęła z plecaka dwie ceratki, jedną uprzejmie mi podała. Powiedziała, jak się nazywa, ja też powiedziałam i uzgodniłyśmy, że nie jest dobrze siedzieć na mokrym, ani na kamieniach, ani na pniu.

Czy Hanna Puławska to to samo co Hania? upewniłam się. Bo jeśli pani jest Hanią Puławską, to w waszym mieszkaniu stał fortepian.

Stał, potwierdziła.

I łóżko, za fortepianem, bliżej okna.

Tapczan, nie łóżko.

Głowę bym dała, że siusiałam do łóżka, ale nie będę się upierać.

(Nigdy nie mówiłam o tym. Siusianie, nawet wojenne, wydawało mi się nieco wstydliwe, ale przeczytałam, że i Roman Polański się moczył – moczył brzmi trochę lepiej od siusiania. Jak Polański mógł i opowiada, to i ja mogę).

Pamiętała kobietę, która robiła manicure jej matce – milczącą, jakby nieśmiałą, i jej dziecko, dziewczynkę. Spała u nich? Spania nie pamiętała, ale miała wrażenie, że widzi jej twarz. Tej małej. Mogłaby ją narysować. Poważną, nie smutną, wcale nie, raczej poważną, z szeroko rozstawionymi ciemnymi oczami. Niezbyt ładną, bo te oczy były nieproporcjonalnie duże.

Umówiłyśmy się na spacer i następnego dnia poszłyśmy na Miętusią. Przed skrętem w lewo z Doliny Kościeliskiej coś sobie przypomniała. Zdjęła plecak. Wyjęła trochę zmiętą kartkę i wygładziła ją. Był to rysunek, długopisem naszkicowana dziecięca twarz.

Kogoś mi przypominała.

W Warszawie zaniosłam jej trochę srebrnego złomu. Kupiłam go na wagę w Samarkandzie. (Sprzedawca spytał, skąd jestem. Gdzie to? zainteresował się. Między Niemcami i Rosją. Zastanowił się i potrząsnął głową; To niemożliwe, tam nie ma miejsca na nic. To prawda, zgodziłam się, i stamtąd właśnie jestem).

Złom to były rozsypane korale, łańcuszki, blaszki i pojemniczek, nie wiadomo na co.

Po paru dniach dostałam naszyjnik.

W srebrnym chaosie pojawił się ład. Blaszki i korale nabrały sensu, pojemniczek wydawał się skrywać tajemnicę.

Spojrzałam na jubilera Hannę P. ze szczerym podziwem.

Nie ma Hanny P. Nie ma tamtego mieszkania – podłogi z sękami, mosiężnych klamek, parapetu, którego nie sięgała dziewczynka, ani klonu za oknem. Po Hannie P. zostały tkaniny, kolaże i parę drobnych poetyckich utworów. Na przykład:

> Sprzątam trociny dobrej woli
> ogryzki wzruszenia
> biję głową o ścianę niemożliwości
> – słowem –
> żyję poczciwie

Tkaniny są duże i leżą w skrzyniach. Malarzowi Pawłowi R., który je widział na wystawie, przypominały prace Indian z południowej Ameryki. Nie znał Hanny P. Pomyślał, że utkała je sympatyczna, pogodna osoba.

Kolaże są w ramach, syn oprawił je u najlepszego ramiarza.

Jest Matka Boska wycięta ze zdjęcia, otoczona skrawkami nieba i obłoków, z dziwnym, nagłym rozjaśnieniem pośrodku. Syn uważa, że autorka nie miała wprawy w robieniu zdjęć i blik jej wyszedł, odbicie światła. Pewnie przyjrzała się, pomyślała – jest błąd, ale ta jasność pośrodku nie jest zła. Miała rację. Stare Indianki specjalnie robią błędy w koronkach i haftach, bo przez nie przedostaje się dusza.

(Paweł R. opowiadał mi o halnym i o malarzu Tadeuszu Brzozowskim. Halny ucichł, spadł deszcz, na ulicy tworzyły się kałuże. W wodzie odbijały się światła latarni i mijanych samochodów. Zachwyciły Brzozowskiego i stały się inspiracją dla paru obrazów. Nic nie znaczyły, budziły zachwyt. Nie trzeba szukać w sztuce sensu ani znaczeń, tłumaczył mi Paweł R., który namalował kilka okładek moich książek. Wszystkie bez wyjątku coś znaczyły).

Jest kolaż Hanny P. ze strzępów tkanin i kawałka juty z numerem. Cyfry 30476 są bardzo duże i bardzo

czarne. Nie wiadomo, czym są. Można je zsumować, wychodzi 20. W alfabecie hebrajskim dwudziestce odpowiada litera *kaf*. Niedobrze. Od *kaf* zaczyna się słowo *klaja*, zniszczenie. Dlatego Stwórca, gdy stwarzał świat, przegonił literę *kaf*. Nie masz tu nic do roboty! krzyknął i zrzucił ją z tronu. Upadek *kaf* był tak wielki, że cały świat zadrżał ze strachu, ale jest i nadzieja. Trwa powrót do tronu bożego litery *kaf*.

Przypuszczam, że Hania P. nie miała pojęcia, co oznacza suma cyfr na jej kolażu. Znalazła jutę, spodobała jej się – i tyle. Cyfry potrafią być sugestywne.

Jest kolaż, który każe myśleć o nieobecności – ze zdjęciem drewnianej okiennicy, zamkniętej na głucho.

Są liczne, misternie utkane świeczniki, menory i świątynie jerozolimskie.

Skąd to do niej? Żydowskie symbole – do prawnuczki dziedziców Liwu i Gołembia herbu Ślepowron?

Z Biblii? Z psalmów?

Bo nie od dziewczynki spod parapetu.

Może od Uriego, izraelskiego gościa, który pewnego dnia usiadł na ławce na ich podwórku. Dozorczyni spytała, na kogo czeka. Na Stefana Puławskiego, mojego kolegę, odparł. Puławscy – klatka dziewiąta, powiedziała dozorczyni. Zapukał. Drzwi uchyliła Hanna P. Byłem kolegą pani brata, przedstawił się. Mój brat zginął w powstaniu warszawskim, powiedziała Hanna P. i zdjęła łańcuch z drzwi.

Dlaczegóż by od Uriego?

A musimy wiedzieć – skąd?

Umarł Jan Jagielski. Z wykształcenia i zawodu był geochemikiem. Pierwszy w Polsce zaopiekował się żydowskimi zabytkami. Wiedział o każdym żydowskim grobie na każdym cmentarzu. Jerzy Kosiński przyznał mu nagrodę, była z tej okazji uroczystość i Janek wygłosił przemówienie.

Brzmiało tak:

Ludzie zadają mi zawsze te same dwa pytania. Czy jestem Żydem i dlaczego robię to, co robię.

Pierwsza odpowiedź jest łatwa: nie, nie jestem Żydem.

Z drugą mam kłopot. Wiem, że to, co robię, powinno być zrobione. Dlaczego na mnie padło – nie mam pojęcia. ©

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Własny pokój
rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności

#DOM
rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

weź, słuchaj!

Więcej na **powszech.net/podkast**

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

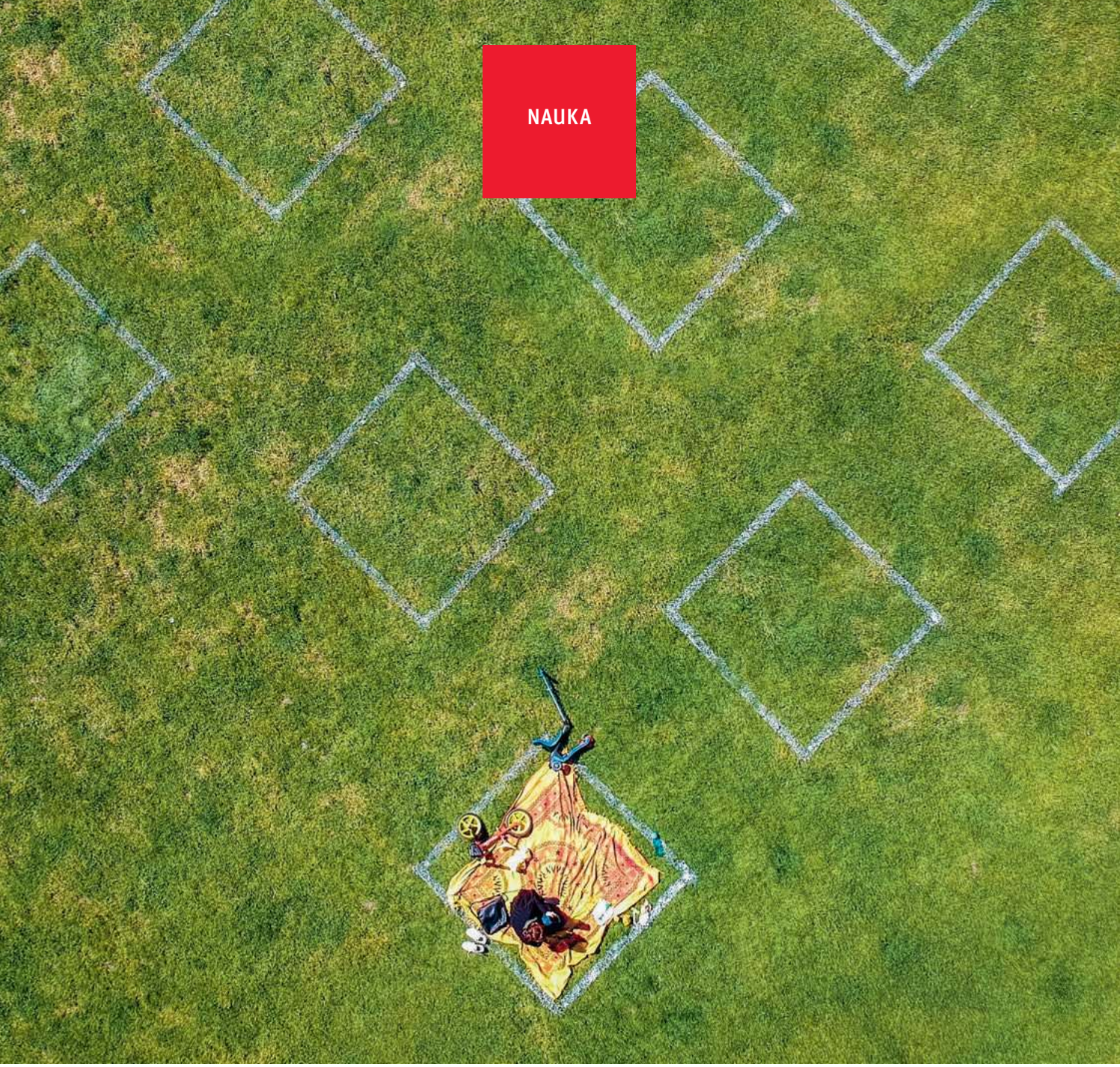

Bulwary wiślane w Krakowie, maj 2020 r.

KODOWANIE PO KRAKOSKU

Wynalazek polskiego matematyka wielokrotnie przyspieszył przetwarzanie danych. Korzystają z niego już wszyscy internetowi giganci.

KAMIL KOPIJ

Osią serialu „Dolina Krzemowa” (HBO, 2014-19) było wynalezienie przez głównego bohatera, genialnego informatyka Richarda Hendricksa, rewolucyjnej metody kompresji danych. To fikcyjna historia, ale w prawdziwym świecie podobny wynalazek powstał. Określa się go mianem ANS – czyli kodowania opartego na asymetrycznych systemach liczbowych (ang. *Asymmetric Numeral Systems*). Autorem tego systemu reprezentacji danych jest polski informatyk i matematyk Jarosław Duda z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dziś z jego rozwiązań w swoich produktach korzystają giganci Doliny Krzemowej, tacy jak Apple, Facebook i Google. Dzięki temu wszyscy możemy zapisywać więcej plików, taniej i szybciej je wczytywać i przesyłać.

Działanie tego systemu opiera się na dość zawiłym pomyśle matematycznym, ale ogólne założenia są stosunkowo proste.

Język maszyn

Wyobraźmy sobie język, w którym powiedzieć można tylko „tak” i „nie”. Czy jakakolwiek rozmowa byłaby w nim w ogóle możliwa? Mogłoby się wydawać, że nie, ale to właśnie tego rodzaju systemem binarnym porozumiewają się komputery. W wystarczająco długim ciągu złożonym wyłącznie z wartości 0 i 1 zapisać można bowiem wszystko: od liczb i słów, przez dźwięki, aż po obrazy i filmy. Kluczem jest odpowiednie kodowanie, czyli przypisanie sekwencjom zer i jedynek konkretnego znaczenia.

Każde słowo czy liczba, aby być zrozumiałe dla komputera, musi zostać przełożone na system binarny. Weźmy np. liczbę 42. Po jej prostym przetłumaczeniu z systemu dziesiątkowego na binarny otrzymamy ciąg 101010. Aby zapisać tę liczbę, potrzebujemy sześciu bitów – czyli sześciu pozycji, na których stoją zera lub jedynki. Bardziej skomplikowane jest kodowanie słów. Każdej literze musimy bowiem arbitralnie przypisać konkretną wartość. Aby zużyć możliwie jak najmniejszą liczbę bitów – co sprzyja szybkości przetwarzania i przesyłu danych – należy wziąć przy tym pod uwagę częstość występowania poszczególnych liter.

Dla przykładu, litera A jest używana znacznie częściej niż litera F. W tym tekście znajduje się kilkaset liter A i jedynie

ARCHIWUM PRYWATNE

Dr Jarosław Duda

kilkadziesiąt liter F (średnio w polskich tekstach A występuje aż 30 razy częściej od F). Częstsze litery powinny być zakodowane krótszym ciągiem bitów, a rzadsze, jako mniej przewidywalne, dłuższym. Np. jeśli dana litera występuje średnio co cztery pozycje, powinna dostać dwa bity, jeśli co szesnaście – cztery bity. Założenie to zgodne jest z tzw. entropią statystyczną, określaną również jako entropia Shannona, od nazwiska uczonego, który położył podwaliny pod matematyczną teorię informacji.

Entropię często przedstawia się jako miarę nieporządku, choć lepiej mówić, że to miara tego, jak bardzo nie znamy dokładnego stanu układu, albo miara naszej niewiedzy na temat tego, który z możliwych stanów zrealizuje się w rzeczywistości. Entropia pozwala dokładnie zmierzyć np. to, jak bardzo możemy skompresować daną wiadomość, by nadal przekazywała określone informacje i była zrozumiała. Wszystko to zaś wiąże się z prawdopodobieństwem. W naszym przykładzie A występuje znacznie częściej niż F – a więc ta druga litera jest mniej prawdopodobna. Jej wartość informacyjna jest większa niż w przypadku litery A, ale jednocześnie koszt jej zapisu jest wyższy.

Zależność tę można próbować przetłumaczyć na życie codzienne, w którym również zdarzenia czy zjawiska rzadkie niosą więcej informacji niż typowe (jednocześnie ich opis wymaga więcej miejsca). Pomyślmy choćby o idei znaków szczególnych, wpisywanych niegdyś do dowodów osobistych: aby spełniały swoją funkcję, czyli dobrze informowały o czyjejś tożsamości, muszą być czymś rzadkim. Płeć ludzką można w większości przypadków bez trudu wyrazić przy pomocy jednego bitu – zresztą tak się robi w dokumentach tożsamości. Ale nie jest to wyjątkowo cenna informacja, jeśli chcemy zidentyfikować konkretną osobę. Gdy zaś szczegółowo opiszemy czyjś tatuaż albo położenie i kształt charakterystycznego pieprzyka, to z jednej strony powstanie dłuższy tekst (pomyślmy, na ile różnych sposobów można dokonać opisu pieprzyka!), ale też znacznie większa będzie jego zawartość informacyjna.

Wnioski z rozmyślań Shannona zastosowano w opracowanym w 1952 r. kodowaniu Huffmana, w którym np. literę A zapisujemy jako ciąg bitów 010, a F jako 1001110. Metoda Huffmana jest prosta, ale optymalna tylko wtedy, jeśli litery niosą jeden, dwa, trzy lub więcej pełnych bitów informacji. W praktyce jednak częsta litera może nieść zaledwie pół lub nawet mniej bita informacji – więc przydzielenie jej pełnych bitów byłoby marnotrawstwem. Przykładowo litera o prawdopodobieństwie występowania w tekście 0,99 niosłaby tylko ok. 0,014 bita informacji, podczas gdy kodowanie Huffmana potrzebowałoby dla niej całego bitu. Operowanie na takich ułamkowych bitach wymaga grupowania liter – akumulowania ich informacji przed zapisaniem, np. z dwóch zawierających po pół bita do zapisania w jednym: jako 0 lub 1. Jeśli A jest w jakimś tekście bardzo częste, chciałoby się zapisać parę AA jako jeden bit, np. 0, zamiast zużywać po całym bicie dla każdej takiej litery.

Ułamek bita

Na taką możliwość zwrócił uwagę już sam Shannon. Drogę do praktycznych metod operujących ułamkowymi bitami otwarły dopiero prace Roberta Fano i Petera Eliasa w latach 50. i 60. Na podstawie ich badań w latach 70. udało się opracować tzw. kodowanie arytmetyczne i rozpocząć erę jego rozwoju. Choć bardziej ekonomiczne, jest ono rzadko używane, ponieważ generuje większe problemy obliczeniowe (co obciąża komputery), a liczne ograniczenia patentowe opóźniły jego powszechne użycie o kilka dziesięcioleci. Idealnym rozwiązaniem byłoby więc połączenie zalet obu metod: możliwości operowania na ułamkowych ↦

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

↦ bitach kodowania arytmetycznego z niskim kosztem obliczeniowym kodowania Huffmana. Właśnie ta sztuka udała się w 2006 r. Jarosławowi Dudzie.

Krakowski naukowiec wpadł na pomysł, gdy przygotowywał pracę magisterską z fizyki. Pracował wówczas nad możliwością zwiększenia pojemności dysku twardego poprzez zagęszczenie siatki kropek magnetycznych. W dyskach magnetycznych informacja zapisywana jest poprzez manipulację mikroskopijnymi magnesami. Różna orientacja magnesów odpowiada wartościom bitów 0 i 1. Zbytnie zagęszczenie kropek magnetycznych powoduje, że ich pola magnetyczne zaczynają na siebie oddziaływać, co może doprowadzić do spontanicznej zmiany orientacji, a więc i zapisanego bitu. W efekcie nadmierne zagęszczenie siatki uniemożliwia użycie dwóch sąsiadujących pozycji, przez co zmniejszamy liczbę zapisanych bitów z 1 na pozycję do średnio ok. 0,59 bita na pozycję, jednak liczba pozycji rośnie dwukrotnie, więc dostajemy ostatecznie dysk o ok. 1,18 razy większej pojemności. Takie operowanie na ułamkach bitów wymagało specjalnego typu kodowania. Nie znając jeszcze wówczas kodowania arytmetycznego, Duda wymyślił swoją metodę. Dziś nasze dane są głównie zapisane wariantami, które wprowadził później – tzw. stablicowany tANS z 2007 i przedziałowy rANS z 2013 r. To wtedy jego rozwiązanie zdobyło popularność, bo okazało się kilkukrotnie szybsze od metod alternatywnych.

ANS zawdzięcza swój sukces prostocie – zapisuje informację w jednej liczbie naturalnej, podczas gdy kodowanie arytmetyczne zapisuje ją w dwóch reprezentujących przedział. Nie będziemy tu wchodzić w zawiłe matematyczne szczegóły, ale warto wspomnieć, że w tym systemie każdy znak możemy „zważyć", określając dla niego prawdopodobieństwo pojawienia się – różne w zależności od naszych potrzeb. To zaś przekłada się na oszczędniejsze gospodarowanie bitami. A więc także na szybkość przetwarzania danych.

Przyszłość jest teraz

Była już mowa o tym, że patenty opóźniły zastosowania kodowania arytmetycznego o kilka dekad. Duda nie chciał, żeby podobny los spotkał jego metodę – uważał zresztą, że powinna być ona dostępna bezpłatnie dla wszystkich, dlatego zrezygnował ze starań o uzyskanie patentu. Jednak w 2015 r. odkrył, że Google złożyło do amerykańskiego urzędu patentowego wniosek na użycie ANS w kompresji plików wideo. Gdy od 2014 r. Duda pomagał w aplikacji tej metody kompresji filmów przez Google, temat patentu nigdy się nie pojawił. Protesty Dudy wsparte przez prawników Uniwersytetu Jagiellońskiego doprowadziły do odrzucenia wniosku przez urząd patentowy. W styczniu ubiegłego roku Google oficjalnie zrezygnowało z dalszej walki o patent na ANS.

Już dziś opracowane przez polskiego matematyka rozwiązanie stosowane jest przez Facebooka. Jego kompresor Zstandard (zstd) używający ANS zastępuje podstawowy format zip. Korzystamy z tej metody także w systemie Linux oraz produktach dziesiątek firm, jak Amazon czy IBM. Apple korzysta z opartego na tym kodowaniu algorytmu LZFSE, którego codziennie używają użytkownicy iPhone'ów, Maców i iWatchy. Pixar, znany producent filmów animowanych, korzysta z ANS w Google Draco, algorytmie do kompresji grafiki 3D. ANS jest też używany przez producentów gier komputerowych w kilku kompresorach, np. Oodle Kraken, będącym podstawą dla konsoli PlayStation 5 firmy Sony. A jeśli poddasz się sekwencjonowaniu DNA, prawdopodobnie twój genom zostanie zapisany metodą ANS w kompresorze CRAM. W tej chwili trwa też proces standaryzacji formatu JPEG XL, który już wkrótce zastąpi wysłużony – powstały prawie 30 lat temu – format JPG, używany do zapisu zdjęć. Zastosowanie algorytmu opartego na ANS w kombinacji z innymi usprawnieniami spowoduje, że pliki graficzne zajmować będą trzy razy mniej miejsca niż obecnie, odciążając tym samym pamięci urządzeń i przyspieszając ładowanie stron.

Nic więc dziwnego, że ta metoda kodowania jest dziś nauczana na uniwersytetach na całym świecie.

© KAMIL KOPIJ

Autor dziękuje Jarosławowi Dudzie za wyjaśnienie działania systemu ANS.

Chyba śnisz

KATARZYNA DZIADOWICZ

Osoby doświadczające świadomego snu dostarczyły badaczom odpowiedzi na ważne pytania: ile jest osiem minus sześć, i czy śpiąc, można się komunikować.

Blisko 60 lat temu zaobserwowano nietypowe zachowanie kotów, które w czasie snu wydawały się polować na nieistniejące myszy i walczyć z nieistniejącymi wrogami, jednocześnie nie wykazując żadnej wyraźnej wrażliwości na bodźce zewnętrzne. Zachowywały się tak tylko wtedy, gdy aktywność ich fal mózgowych była charakterystyczna dla fazy REM, czyli takiej, w której dochodzi do szybkich ruchów gałek ocznych (ang. *rapid eye movement*). Nazywa się ją czasem „snem paradoksalnym", bo u zdrowych osobników następuje w niej zwiotczenie mięśni, ale jednocześnie nasila się aktywność mózgu. Ponieważ zachowanie kotów wyglądało jak reakcja na sny, marzenia senne na długo przypisano właśnie do tej fazy. Samą anomalię, jaką było zachowanie zdolności poruszania się kotów w śnie REM, wyjaśniały uszkodzenia niektórych części mózgu. Analiza zachowania zwierząt dobrze oddaje potoczne rozumienie snów – wizji w naszej głowie, na które nie mamy wpływu i którym towarzyszy odcięcie od bodźców zewnętrznych.

Obecnie wiadomo, że sny występują też w innych fazach, chociaż te najbardziej złożone i najlepiej zapamiętywane najczęściej zachodzą właśnie w trakcie fazy REM. Wiadomo też, że osoby śniące nie zawsze całkowicie odcinają się od świata zewnętrznego, o czym świadczy długa historia badań nad komunikowaniem się z osobami przeżywającymi świadomy sen. Wyniki tego typu eksperymentu przeprowadzonego przez Karen Konkoly i współpracowników, opublikowane niedawno w „Current Biology", dają nadzieję na jeszcze bardziej wyrafinowany kanał komunikacji ze światem snu.

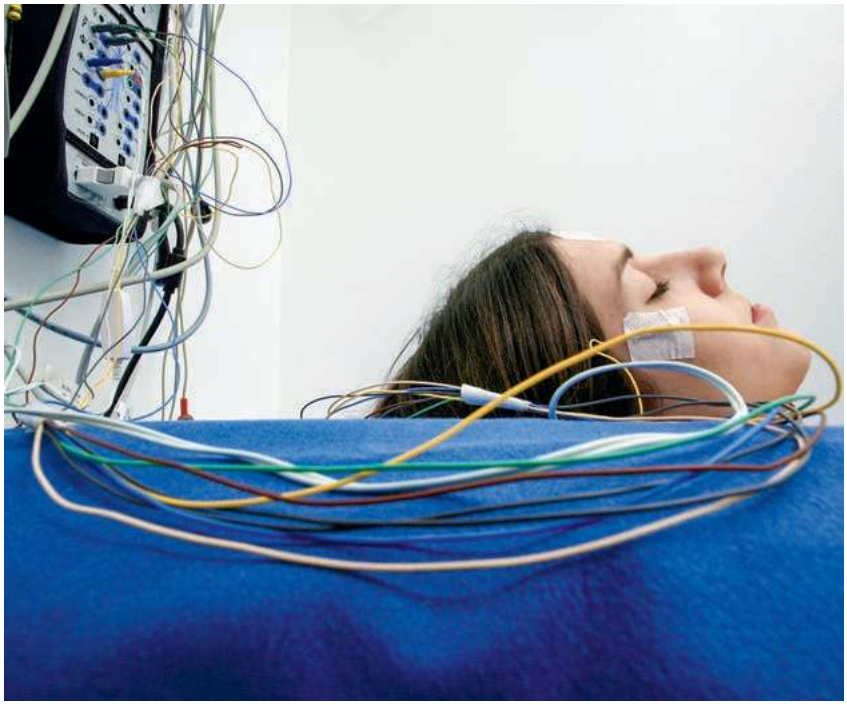

LAS / EAST NEWS

Badanie fizjologicznych reakcji organizmu podczas snu. Klinika San Raffaele w Mediolanie, kwiecień 2009 r.

Matematyka na niebie

Skoro najbardziej złożone sny występują w fazie REM, to nie powinno nas dziwić, że także wtedy mamy największe szanse na uzmysłowienie sobie, że właśnie śnimy. Czasem to wybawienie z koszmaru, kiedy indziej szansa na zrealizowanie nierealnych w rzeczywistości scenariuszy. Takiego zjawiska na przestrzeni życia doświadcza większość ludzi, ale nielicznym zdarza się ono regularnie. Właśnie z takimi osobami badacze chcieli porozmawiać – w czasie, kiedy tamci spali.

W fazie snu REM nie ma możliwości kontrolowania mięśni odpowiedzialnych za artykulację, bo są wtedy zwiotczałe. Śniący musieli więc odpowiadać używając mięśni, które byli w stanie kontrolować. Poprawną odpowiedzią na pytanie „ile jest 8 minus 6" było dwukrotne poruszenie oczami od lewej do prawej, a słowo „tak" zastąpił skurcz mięśni jarzmowych, które odpowiadają za podciąganie kącików ust, m.in. przy uśmiechu. Badacze zadawali pytania tradycyjnie, wypowiadając je, lub nadawali sygnały świetlne i dźwiękowe, które badani mieli policzyć. Jeden ze śpiących poradził sobie nawet z nadanym alfabetem Morse'a działaniem i „zakodował" ruchem gałek ocznych poprawny wynik.

W eksperymencie brało udział 36 osób przyporządkowanych do trzech kategorii: pierwszą tworzyli doświadczeni świadomi śniący; drugą – osoby bez doświadczenia, ale po specjalnym treningu; trzecią – jeden pacjent z narkolepsją, objawiającą się częstym zasypianiem w ciągu dnia z epizodami świadomego snu. Każda z tych osób uczestniczyła w wielu sesjach eksperymentu.

Na początek badani mieli w ustalony sposób zasygnalizować, że doświadczają świadomego snu. W wielu przypadkach tego nie zrobili, ale w niemal połowie pozostałych epizodów padła co najmniej jedna poprawna odpowiedź na któreś z pytań zadanych przez naukowców. Zdarzyło się to w każdej ze wspomnianych grup. Śpiący byli więc nie tylko świadomi, że śnią, lecz także byli w stanie odbierać bodźce płynące z otoczenia i nadać im konkretny sens. Dodatkowo po raz pierwszy wykazano, że byli zdolni do formułowania reakcji na bieżąco, bo nie mogli spodziewać się, jakie pytanie czy zadanie zostanie im tym razem przedstawione.

Po przebudzeniu jeden z badanych opowiadał o swoich doświadczeniach eksperymentatorowi: „W moim śnie byłem na imprezie i usłyszałem, że zadajesz mi pytanie. Usłyszałem twój głos, jakbyś był Bogiem. Dochodził z zewnątrz, jakby wypowiadał się narrator w filmie. Usłyszałem, że pytasz, czy lubię czekoladę, czy studiuję biologię i czy mówię po hiszpańsku. Nie byłem pewny, jak odpowiedzieć na ostatnie pytanie, bo nie mówię płynnie (...). Zdecydowałem się na »nie«. I wróciłem na imprezę".

Dla innych pytania były elementami snu – np. dobiegały ze znajdującego się gdzieś niedaleko radioodbiornika, a błyski świetlne mogły przejawić się pod postacią oświetlonej miski wypełnionej wodą lub szybko przemieszczających się szarych chmur – badany wspominał: „Wiedziałem, że to były zadania matematyczne".

Trening artystów

Chociaż badanych budzono tuż po udzieleniu odpowiedzi, czasem wspominali inne zadanie matematyczne niż to, które zostało im przedstawione. To potwierdza przypuszczenie, że pamięć snów może różnić się od ich faktycznego przebiegu. Możliwość opisywania snu w czasie rzeczywistym, zanim zostanie zniekształcony przez wspomnienia, a także ustanowienie dwutorowego kanału komunikacji z osobą świadomie śniącą otwierają przed naukowcami drogę do kolejnych obszarów badań. Autorzy omawianej publikacji wymieniają ich kilka. Np. kwestię uczenia się przez sen – okazało się w końcu, że osoby śpiące są w stanie przyswajać podane im informacje. Być może zostaną opracowane metody, dzięki którym śpiący uzyskają lepszą kontrolę nad tym, co im się śni – a z innych badań wiemy, że śnienie o różnych czynnościach może wpływać pozytywnie na wykonywanie ich na jawie. Można więc wyobrazić sobie oparte na śnie treningi artystów czy sportowców. Odpowiednio „wyreżyserowane" sny mogłyby zaś pełnić funkcję terapeutyczną i łagodzić traumę. Neuronaukowcy mogą z kolei liczyć na lepsze narzędzia do „dekodowania" snów – czyli ich rekonstrukcji na podstawie skanów aktywności mózgu.

Większość pytań, które naukowcy zadali w trakcie eksperymentu osobom śpiącym, nie doczekała się poprawnej odpowiedzi – sen pozostaje ulotnym fenomenem, nawet jeśli osoba śpiąca zdaje sobie sprawę, że się w nim znajduje. Ale wiemy już, że starannie przeprowadzony eksperyment jest w stanie ujawnić względnie normalną i „przytomną" aktywność wielu obszarów mózgu, nawet gdy ich posiadacz głęboko śpi. ©

KULTURA

GDYBYŚ KOCHAŁ, HEJ!

MARIUSZ WILCZYŃSKI, REŻYSER:

Na wakacje wyjechałem jako grzeczny, pulchny chłopiec. Wróciłem z włosami do ramion, w podartych spodniach. Bo zakochałem się w Breakoutach. A potem Nalepa nauczył mnie życia.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jaka była Lusia?

MARIUSZ WILCZYŃSKI: Maleńka. Przyjaciel – kiedy tylko wyszedłem z domu, zaczynała tęsknić, warowała pod drzwiami, wyczekiwała moich kroków.

To był parson terrier, nikt jej nie chciał, bo nie miała jednego ząbka, co dla hodowców dyskwalifikuje. Od tego, czy masz ząb czy zęba nie masz, zależy to, jak będziesz żył.

Imię Lusi pojawia się w jednej z ostatnich scen Pana filmu „Zabij to i wyjedź z tego miasta".

Przez lata powstawania „Zabij..." siedziała na moich kolanach lub na ramieniu. Planowałem zabrać ją ze sobą na Festiwal do Berlina. Była w znakomitej kondycji, a tu nagle, w dwa dni, pogorszył się jej stan, czerwone krwinki zaczęły się nawzajem zżerać – transfuzja jedna, druga, trzecia. Ciężkie momenty psychologiczne: musiałem Lusię zostawić w lecznicy pełnej obcych ludzi i skomlących zwierząt. Boli mnie to do dzisiaj. Alternatywą było zabranie jej do domu – umarłaby szczęśliwie na moich rękach. Jednocześnie nie wybaczyłbym sobie, że odebrałem jej szansę na zdrowienie. Z chwilą jej śmierci film był już skończony. Otworzyłem puszkę, napisałem na prawej stronie muru „Lusia" i narysowałem serce.

Film traktuje o umieraniu nie tylko zwierząt.

Lusia pojawi się w filmie, nad którym teraz pracuję – „Na mój pogrzeb w czerwonej sukni przyjdź" albo „Starczy", jeszcze się nie zdecydowałem, który dam tytuł.

Zastanawia mnie punkt graniczny, moment, w którym z istnień myślących, kochających, poruszających się, wydających rozmaite dźwięki, zdolnych do namiętności, stajemy się lodowatym ochłapem mięsa.

Kiedy zaczął Pan o tym myśleć?

Jako 15-latek przyśniłem, że umarłem. Po latach w kinie zobaczyłem identyczną scenę w „Kill Bill" Tarantina: Uma Thurman jako Panna Młoda próbuje się wydostać z zamkniętej trumny w ziemnym grobie.

Z jednej strony mój sen był przerażający, z drugiej – abstrakcyjny; zbyt młody byłem, by się z tym mierzyć. Świadomość śmierci powodowała, że czasem z jej powodu budziłem się w nocy zlany potem. I gdy rysowałem moje krótkie animacje, zawsze pojawiał się wątek przemijania i odchodzenia.

RENATA DĄBROWSKA DLA „TP"

Pamiętam Pana animację do piosenki Republiki „Śmierć na pięć". W korowodzie idą nagi król, pies, kot – wszelkie ziemskie stworzenie.

W trakcie rysowania tej animacji niespodziewanie zmarł Grzegorz Ciechowski, co kazało mi zmienić jej historię i wymowę, pierwotnie miał to być tylko początek do naszego z Grześkiem 30-minutowego filmu animowanego.

A niedawno lekcji odchodzenia udzielił mi profesor Stanisław Fijałkowski. Na początku roku 2017, trzy lata przed śmiercią, poprosił, bym nakręcił o nim film. Wzbraniałem się, bo nie znam się na dokumencie, ale profesor nalegał. Podjąłem

Gdynia, luty 2021 r.

MARIUSZ „WILK" WILCZYŃSKI (ur. 1960 w Łodzi) jest scenarzystą, autorem opracowania plastycznego i reżyserem filmów rysunkowych, teledysków, krótkich form telewizyjnych, ukończył Wydział Malarstwa i Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Autor szesnastu animacji do kołysanek w wykonaniu pieśniarek ludowych oraz m.in. Kory, Stanisława Sojki, Jana Kantego Pawluśkiewicza, około dwustu księgoklipów, przekładających na język wizualny nowości literackie, teledysków dla Tomasza Stańki, Kiniora, zespołu Breakout czy Tie Break. Jego pełnometrażowa animacja „Zabij to i wyjedź z tego miasta" zdobyła nagrody na festiwalach w Annecy, Paliciu, Ottawie, Limie, Wiedniu, Sapporo oraz Złote Lwy na 45. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. „Tygodnik Powszechny" ogłosił go Człowiekiem Roku 2020 w dziedzinie kultury.

się zadania i sam nakręciłem kilkadziesiąt godzin intymnych rozmów z profesorem, część zdjęć zrobiłem z moimi studentami, i kilka dni zdjęciowych z Pawłem Edelmanem. Wiedziałem, że muszę to zrobić.

Bo mistrz?

Bo miał 95 lat. Bo miałem z nim niezwykle bliski kontakt i otwierał się przede mną jak przed nikim innym. Bo bardzo go ceniłem. Bo gdy byłem na studiach, kształtował mój pozawerbalny alfabet języka plastycznego, który wywiódł w dużej mierze od swojego profesora – Władysława Strzemińskiego. Bo był dla mnie jedną z najważniejszych postaci w powojennej sztuce polskiej. ↦

KILLIT.FILM

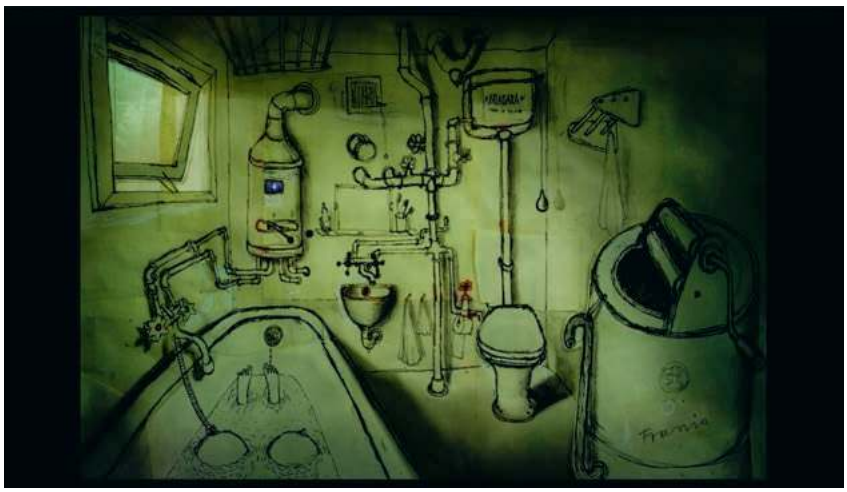

KILLIT.FILM

Kadry z filmu „Zabij to i wyjedź z tego miasta”

ARCHIWUM PRYWATNE MARIUSZA WILCZYŃSKIEGO

W pracowni Mariusza Wilczyńskiego, 2017 r.

↦ **Prace Fijałkowskiego znajdują się m.in. w Galerii Tretiakowskiej, Tate Gallery, Museum of Modern Art.**

W czasie moich studiów na ASP, gdy na wystawach okręgowych wśród prac wielu artystów pojawiały się jego obrazy lub linoryty – „Piękny prawdomówny”, „Orion”, „Na śmierć Tadeusza Brzozowskiego” – z kolegami dyskutowaliśmy o nich z identycznym zaangażowaniem jak o najlepszych światowych filmach, które widzieliśmy na Konfrontacjach. Prace Fijałkowskiego wykraczały poza kategorię dzieła lepszego czy gorszego – warsztat i estetyka schodziły na plan dalszy. Profesor podarował mi trochę swoich prac, niektóre wiszą w mojej pracowni. Kiedy wchodzę tam co rano, kontempluję kilka minut i za każdym razem działają na mnie świeżo, inaczej, odkrywczo. Dziś, kiedy profesora już nie ma, jest ze mną w tych dziełach.

Swoją drogą, nie byłem jego najlepszym studentem. Najwyższą ocenę – cztery plus – dostałem u Fijała na czwartym roku malarstwa.

Wyróżnienie?

Po skończeniu ASP zerwałem z nim kontakty. Chciałem jak najszybciej wyrwać się spod jego wpływu. Ci, co wychodzili z pracowni Fijałkowskiego, malowali jak on. Podobnie zresztą było w Krakowie z ludźmi z pracowni Nowosielskiego. Fijał i Nowosiel to byli wielcy artyści, a w cieniu wielkich drzew trudno rosnąć. Od Fijałkowskiego oddaliłem się, by robić swoją sztukę. Po kilku latach wyprowadziłem się z Łodzi pod Warszawę. I zająłem się animacją.

Czyli zabił Pan mistrza i uciekł z miasta.

To nie tak. Mimo że Fijałkowski był ważny, nie pozostawałem z nim w relacji mistrz–uczeń.

Z kimś Pan był w takiej relacji?

Jeśli ktoś był moim mistrzem, to Tadeusz Nalepa. A po wyprowadzce z Łodzi nie widziałem profesora blisko 20 lat. Spotkałem go dopiero z okazji obchodów jubileuszowych 70-lecia Akademii Sztuk Pięknych. Ukłoniłem się, podszedłem, przywitałem. Pięknie wyglądał w siwych długich włosach, opierający się o laseczkę. Powiedział: „Panie Mariuszu, mam filmy eksperymentalne, które kręciłem w latach 70. i 80. Prosiłem Robakow-

skiego, by mi je zdigitalizował, ale on jest nicpoń i tego nie zrobił. Mógłby mi pan pomóc?”.

Od tego momentu zaczął się nowy rozdział naszej znajomości. Mocno zniszczone filmy doprowadziłem do stanu dobrej jakości. Przez ten czas zakochałem się w profesorze, a profesor we mnie. Mówił do mnie: „koteczku”. Gotowaliśmy obiady, robiliśmy galaretki, bywało, że prosił mnie, bym mu pomógł przy malowaniu obrazów. Dwa razy w tygodniu przyjeżdżałem do Łodzi, by być blisko człowieka z gatunku, którego już nie ma.

Z gatunku przedwojennego?

Wykształconego szeroko i dogłębnie, ze znajomością języków, filozofii, historii, muzyki klasycznej i współczesnej, literatury rodzimej i światowej. Fijałkowski tracił wzrok, więc kupowałem mu lupy coraz mocniejsze, by mógł czytać Ingardena, którego znał osobiście. Dzwoniłem do niego, a on mówi: „Czego chcesz? Teraz słucham Dvořaka. Zadzwoń później”. Uwielbiał też Lutosławskiego i „Pieśni żałosne” Góreckiego.

Dramatyczny okres jego życia nastał z chwilą, kiedy zaczęła umierać jego żona Waleria. Po jej śmierci myślałem, że się załamie. Przyjeżdżałem do niego pod byle pretekstem – robiłem małpę, rozbawiałem, opowiadałem o błahych sprawach... Wiedziałem, że jeśli profesor nie odejdzie po Walerii w ciągu miesiąca, to będzie żył jeszcze kilka lat. I się pozbierał... Pod koniec bywałem już tak blisko, jak może być tylko pielęgniarz.

I obserwowałem, co się dzieje, kiedy zostajesz na świecie sam, kiedy nie ma już kolegów z twojego pokolenia i kobiety, z którą spędziło się kilka dekad. Fijałkowski jedynie ze Stefanem Gierowskim rozmawiał od czasu do czasu przez telefon, co bywało pocieszne, bo jeden niedosłyszał drugiego, pionierzy polskiego malarstwa pokrzykiwali na siebie.

Wtedy też w głowie kłębiły mi się myśli, że może lepiej jest umrzeć po kozacku, młodziej, kilkanaście lat wcześniej. Że życzenie ludziom długowieczności, to wyśpiewywane „Sto lat, sto lat...”, paradoksalnie wcale nie jest takie wspaniałomyślne. Sam profesor mówił: „Bóg o mnie zapomniał”.

Przychodzi mi do głowy „Nosferatu wampir” Herzoga. Dla tytułowego bohatera nieśmiertelność nie jest źródłem szczęścia, tylko cierpienia i samotności.

Ja, mimo swoich lęków, długo żyłem w poczuciu nieśmiertelności. Koło mojej trzydziestki byli jeszcze moi rodzice – tyle że każde osobno. Zawsze gdy jechałem do mamy na Wigilię, miałem wielkie pragnienie zbliżenia się z nią, byłem szczęśliwy, wiele sobie obiecywałem. Bo bez względu na to, czy wierzysz czy nie, 24 grudnia w Polsce jest dniem szczególnym. Więc najpierw wyobrażałem sobie, że będziemy z mamą blisko, a po Wigilii, wracając do domu, czułem ciężki smutek, że ludzie nie potrafią się zejść, że mur psychiczny i mentalny jest nie do przeskoczenia. Bolało mnie to bardzo.

„Zabij” – jak sam nazywa Pan ten film – zaczął się rodzić w momencie, kiedy stracił Pan oboje rodziców. Ich odejście dało Panu odwagę, by o nich szczerze opowiadać?

Zacznę od tego, że ojca mało znałem. Gdy miałem trzy lata, wyszedł z naszego domu na zawsze. Dokładnie pamiętam tę scenę ze względu na jej teatralność: miał na sobie białą koszulę, w jednej ręce trzymał walizkę, w drugiej zdjęty ze ściany obraz Cyganki, pewnie jakąś reprodukcję. Trzasnął drzwiami i kilka lat go nie widziałem. Tęskniłem za nim.

Koło mojego dziesiątego roku życia zacząłem z nim jeździć w wakacje na dwa tygodnie. Zbieraliśmy grzyby, łaziliśmy po lesie, łowiliśmy ryby, bo był zapalonym wędkarzem. Ojciec był też myśliwym. Należał do pokolenia mężczyzn, które nie chciało czy raczej nie potrafiło okazywać uczuć, a najbardziej słabości. I był nakierowany na praktycyzm. Nie spełniałem żadnych jego wobec mnie oczekiwań. Do dziś nie umiem wbić gwoździa.

Pióra, którymi rysuje Mariusz Wilczyński

ARCHIWUM PRYWATNE MARIUSZA WILCZYŃSKIEGO

I nie strzela Pan do zwierząt.

Kiedyś zobaczyłem na drzewie dzięcioła. Mówię: „Tato, jaki piękny dzięcioł”. On: „Chcesz go zobaczyć?”. Ja: „Bardzo!”. I tata w niego strzelił. Zabity dzięcioł leżał pod moimi nogami.

Prosi się o narysowanie.

Tak, ta scena znajdzie się w „Na mój pogrzeb w czerwonej sukni przyjdź”. Dosyć długo kotłowały się we mnie sprzeczne emocje – z jednej strony miałem ogromną potrzebę ojca i pragnienie, by być taki jak on, z drugiej strony był człowiekiem z innej planety. Koło mamy kręcili się jacyś absztyfikanci, ale byli zainteresowani nią, a nie jej synem, w każdym razie nie otrzymywałem od nikogo tego, co chłopiec powinien otrzymać od najbliższego mężczyzny.

Dlatego byłem wniebowzięty, kiedy jako nastolatek spotkałem Tadeusza Nalepę.

Zobaczył Pan w nim ojca?

Nalepę kochałem za twórczość, za to jak żyje, jakim jest człowiekiem. Dzisiaj niewiele osób pamięta, ale przez całe lata 70. na Tadeusza był szlaban w telewizji ze względu na to, że nosił długie włosy i grał „muzykę proamerykańską”.

W ówczesnym pejzażu muzycznym, na tle tych wszystkich pioseneczek z Opola, Breakouci byli jak dynamit – ciężkie gitary, zupełnie inna wartość, inne treści, inny przekaz. Także w sferze wizerunku – No To Co, Skaldowie, Trubadurzy mieli na sobie jakieś śmieszne ludowe kubraczki wyciągnięte z teatralnej garderoby, *image* dla naiwnych dzieci z podstawówki. A Nalepa nie przebierał się w te śmieszne ciuszki, tylko chodził ubrany jak ludzie na Zachodzie, co wówczas uchodziło za manifestację kultury imperializmu.

W teledysku Breakoutów do piosenki „Gdybyś kochał, hej!” Mira Kubasińska i Tadeusz Nalepa występują w kożuchach.

↦

↦ Tadeusz nie szedł na żadne kompromisy. Pozostawał w tym konsekwentny: kiedy wybuchł stan wojenny, mieszkał w swoim nieskończonym domu, miał w nim tylko gitarę, dwie pary spodni i trzy podkoszulki. Znajomi wyjeżdżali grać na statek do kotleta, jemu też proponowano, lecz odmawiał. Zawsze pozostawał poza mainstreamem.

Wielka szkoda że z lat 70., gdy każda kolejna płyta Breakoutów była kamieniem milowym dla muzyki w Polsce, telewizja nie nakręciła ani sekundy z ich koncertów. Nalepa był wtedy naprawdę wielki – był głosem pokolenia.

W „Zabij to..." Tadeusz Nalepa śpiewa „Modlitwę" – pieśń, którą można uznać za głos ludzi z lat 90., na nowo układających swoje życie po transformacji ustrojowej.

Gdy byłem dzieciakiem, zanim jeszcze nałożyli na Nalepę szlaban, w telewizji puszczali wspomnianą przez panią piosenkę „Gdybyś lubił mnie choć trochę, hej". Mama i dziadkowie mówili: „Boże, jakie to jest okropne, co to w ogóle jest?".

Kilka lat później pojechałem na kolonię, ktoś w kółko słuchał płyty „Karate", najczęściej trzech piosenek: „Daję ci próg", „Takie moje miasto jest", „Nocą puka ktoś". Na wakacje wyjechałem jako grzeczny, pulchny chłopiec. Mama mnie wyprawiła w najładniejszych dżinsach, a wróciłem z włosami do ramion, w podartych spodniach, z powpinanymi pacyfkami. Zakochałem się w Breakoutach... Miałem 13 lat.

A sam Nalepa nauczył mnie życia.

To znaczy?

Tadeusz mieszkał w lesie, daleko od centrum, a jego pracą było coś, co uwielbiał. Wtedy ludzie w Polsce zazwyczaj nie znosili swojej pracy. Kiedy do Tadka przyjeżdżali znajomi, to pili wódeczkę, jeździli na koniach, a w pewnym momencie brali instrumenty i grali – wiedli życie pełne pasji. Tadeusz na parterze domu miał wyciemnione studio, gdzie stały instrumenty – gitary, perkusja. Widziałem, że życie może być nieuporządkowane – to mnie zachwycało. Podpatrywałem jak młody szczeniak starszego psa – kiedy ten podnosi łapkę, by zrobić siku, a kiedy warknie, kiedy piśnie, a kiedy przepełznie.

To teraz proszę konkret.

ARCHIWUM PRYWATNE MARIUSZA WILCZYŃSKIEGO

Trzyletni Mariusz z mamą Barbarą. 29 kwietnia 1963 r.

Tadeusz nie był wirtuozem gitary, ale potrafił coś dużo cenniejszego i wyjątkowego: grał tak, że jego dźwięki trafiały prosto w serce. Grał oszczędnie tylko te dźwięki, co trzeba, same środki, bez zbędnych, wirtuozerskich ozdobników. Mógłby powtórzyć za Frankiem Zappą: „Wirtuoz potrafi grać cokolwiek, ja nie potrafię grać czegokolwiek". Ja też nie jestem wirtuozem animacji... Myślę że od Nalepy nauczyłem się ascezy i lapidarności. Zresztą te cechy ma też twórczość Fijałkowskiego. Ale Nalepa dał mi odwagę.

Do tego, by nie być wirtuozem?

Do tego, by być sobą. Do chodzenia własnymi ścieżkami. Mama bardzo cieszyła się z mojej znajomości z Nalepą, choć na początku, gdy jeszcze byłem nastolatkiem, pewnie trochę się bała, bo o Breakoutach krążyły ciężkie plotki, że narkomani itp.

Mama bardzo mnie wspierała, bo sama chciała zostać artystką i była od tego dosłownie o krok.

Proszę opowiedzieć.

W liceum zdobyła pierwsze miejsce w konkursie recytacji Adama Mickiewicza, miejsce drugie zajęła Jadwiga Barańska, późniejsza Basia z „Nocy i dni" Antczaka. Po maturze mama zdawała do łódzkiej filmówki, w której dziś jestem profesorem animacji. I dostała się na aktorstwo na pierwszym miejscu, ale nie została przyjęta ze względu na wiek – była niepełnoletnia, brakowało jej kilku miesięcy do 18 lat. Przedziwne: uznano, że zdała egzamin, ale dopiero za rok mogła studiować.

Niestety wygadała się przed rodzicami, że dostała się do filmówki. I tutaj wyszedł konserwatywny charakter mojego dziadka, który uważał, że aktorstwo to wszelkie zło, że córka się stoczy, zostanie wykorzystana i nie będzie porządnym człowiekiem. Mama się poddała: zdała na chemię spożywczą, po studiach pracowała w sanepidzie, do końca życia nosiła w sobie niespełnienie.

Mówiła o tym?

Wiele razy widziałem, jak w łazience bierze słuchawkę prysznicową i przed lustrem śpiewa piosenki dla wyimaginowanej publiczności. Nie wyartykułowała tego nigdy wprost, ale musiała tęsknić za niespełnionymi marzeniami. Nie wiodła życia, o którym marzyła: jako laborantka pracowała od ósmej do szesnastej, jechała do pracy godzinę tramwajem. Poza wszystkim Jadwiga Barańska jako aktorka lepiej zarabiała niż moja mama.

A ojca spełnienie?

Niespełnienie. Umocowane w dramacie relacji z mamą. Do tego Łódź w drugiej połowie lat 50. – komunizm, szaro, kominy, smród. Jedyne kolorowe miejsce, malutka dziurka na świat to filmówka. Ojciec składał tam papiery na wydział operatorski, ale go nie przyjęli. Idzie więc na medycynę, potem robi specjalizację w laryngologii. Zapowiada się świetnie, jest asystentem znanego wówczas profesora Kmity. Poznaje moją mamę i w momencie, kiedy rozwala się im małżeństwo, rezygnuje z pracy w Łodzi, wstępuje do wojska, przerzucony jest do Żar, potem do Poznania. Jako wojskowy w 1968 r. musi brać udział w inwazji na Czechosłowację.

Opowiadał o tym?

Tylko to, że jak wchodzili do Czechosłowacji, to nie mieli co pić, bo wszystkie studnie były zatrute. Nie rozumiał, dlaczego Czesi to zrobili i dlaczego nie wiwatowali na ich cześć. Prawdę mówiąc nie wiem też, jakie tata miał ambicje – znałem go jako oficera Wojska Polskiego, wszystkie tajemnice trzymał dla siebie, nie mówił o swoich marzeniach. Gdy jesteś wojskowym, tracisz wolność. I wydaje mi się, że on do niej tęsknił, ale bał się do tego przyznać. Zanim rozszedł

ARCHIWUM PRYWATNE MARIUSZA WILCZYŃSKIEGO

Mariusz Wilczyński i Tadeusz Nalepa w 1979 r. sfotografowani przez Mirę Kubasińską

się z mamą, był podobno innym, bardzo otwartym człowiekiem. Gdy wstąpił do wojska, zamknął się w sobie. Mało rozmawialiśmy. W ogóle specyfiką mojej rodziny były tajemnice przenoszone z pokolenia na pokolenie: przy dziecku o pewnych rzeczach się nie mówiło. Gdy byłem mały, moi dziadkowie przechodzili na niemiecki lub rosyjski, bym nie rozumiał tego, co chcą ukryć.

W „Zabij..." spotyka Pan rodziców i w jednej ze scen zaczynają rozmawiać.

W rzeczywistości nie rozmawiali ze sobą, od kiedy ojciec w białej koszuli z Cyganką pod pachą wyszedł z domu. Narysowałem ten film także i po to, by stworzyć sytuacje, których zabrakło w życiu prawdziwym.

Jaka to emocja?

Te sceny były dla mnie wyjątkowo wyczerpujące – rysowałem je miesiącami, choć od strony technicznej powinienem zrobić to szybko. Gdybym jednak nie czerpał ze swoich doświadczeń, euforii i lęków, zwycięstw i porażek – z tego, co we mnie się telepie, to „Zabij..." nie miałby takiej mocy.

O czym chciałby Pan porozmawiać z rodzicami?

Prawdę mówiąc nie wiem, czy by mi się to udało. Bo być może to by się zawsze kończyło jak ta Wigilia: najpierw wielka nadzieja, potem wielka pustka. I jak moja ostatnia rozmowa z mamą w szpitalu, którą narysowałem w filmie. Czyli mijanie się – jeden na kontakt jest gotowy, ale ten drugi jeszcze nie. W ogóle tak jest z życiem: kolegujemy się, przyjaźnimy, kochamy, a umieramy w samotności pod białym prześcieradłem.

No ale o czym by Pan chciał z tatą porozmawiać?

Powiedziałbym mu, że go już nie obwiniam za to, że rozleciało się małżeństwo z mamą. Że wina musiała być po obu stronach. Wybaczyłbym.

A z mamą?

Przytulić i powiedzieć, że ją kocham. I że gdyby nie ona, nie byłbym w tym miejscu, w którym jestem. Żałuję, że mama nie doczekała moich sukcesów, przede wszystkim retrospektywy animacji w Muzeum Sztuki Współczesnej w Nowym Jorku w 2007 r. Wiem, że bardzo by się też cieszyła z nagród dla „Zabij...". Szkoda też, że nie zobaczy „Mistrza i Małgorzaty", filmu, który planuję zrealizować z muzyką Pawła Mykietyna.

Pan w ogóle dobrze dogaduje się z muzykami. W „Szop, szop, szop, szopę" zagrał Tomasz Stańko.

To była końcówka lat 90., z propozycją muzyki zadzwoniłem do Stańki. Powiedział, żebym najpierw przyjechał do niego na Rozbrat w Warszawie i przywiózł film, bo musi wiedzieć, co ja robię, zanim zastanowi się, czy w ogóle może ze mną pracować. Zawiozłem Tomkowi kasetę VHS, w przedpokoju odbyliśmy kurtuazyjną rozmowę i zawinąłem się. Muszę w tym miejscu dodać, że Tomasz był człowiekiem przepięknym pod każdym względem – widać to było w samej przestrzeni domowej z gustownymi meblami, obrazami Stażewskiego. I charyzma, i talent, i klasa – moim zdaniem obok Komedy najważniejsza postać polskiego jazzu. Po dwóch dźwiękach można było zorientować się, że gra Stańko – miał swój idiom. I ogromny margines nieprzewidywalności: fraza liryczna trąbki niepostrzeżenie przeistaczała się w furiacki odlot.

A wracając do pierwszej wizyty: jadę autem i za dziesięć minut Stańko dzwoni na komórkę: „Niech pan wraca, zrobi mi pan klip do »From the Green Hill«". Taki był początek. ↦

↦ **A później Stańko skomponował muzykę do Pana filmu „Niestety", który poświęcił Pan pamięci rodziców.**

Tomek mnie odwiedzał tu, gdzie mieszkam, czyli w Owczarni koło Podkowy Leśnej. I tak mu się spodobało, że nieopodal kupił dom – od tego czasu spędzaliśmy razem mnóstwo czasu. Był piekielnie inteligentny i rozkosznie prześmiewczy. Był też żarłokiem strasznym i kusicielem niesamowitym.

Z Podkowy chodziliśmy do cukierni w Brwinowie na jagodzianki. Muszę wspomnieć o wcześniejszym hardkorowym życiu Tomasza – w młodości palił, pił i brał wszystkie możliwe narkotyki. Później to wszystko rzucił i zaczął uprawiać sporty, zdrowo się odżywiać, gotował wodorosty i pił białą herbatę. I jednocześnie pozwalał sobie na obżarstwa w postaci tych jagodzianek. Najpierw kupowaliśmy po jednej, potem jeszcze po jednej, dalej mówił, że teraz kupi dla Ani, jego córki, dziesięć w pudełeczku, że zawiezie jej do Warszawy, ale ponieważ siedzieliśmy w cukierni, to rzucał: „Ania nie zje dziesięciu" i się kończyło na tym, że te dziesięć zjadaliśmy na spółkę. On, malutki, zjadał osiem, a ja, wielki, dwie.

Specyfiką mojej rodziny **były tajemnice przenoszone z pokolenia na pokolenie.** Moi dziadkowie przechodzili na niemiecki lub rosyjski, bym nie rozumiał tego, co chcą ukryć.

Co chwila z Tomkiem zdarzały się takie historie. Mnóstwo rozmawialiśmy o naszych tęsknotach, myślach, sztuce. To Tomek miał robić muzykę do „Mistrza i Małgorzaty", nagrał 30 minut... Na pewno to wykorzystam, na razie czeka w archiwum.

To był inny rodzaj przyjaźni niż z Nalepą, dla którego byłem gotowy zrobić wszystko. Tadek był jedyną osobą, której nie umiałem się sprzeciwić. Dlatego nie chciałem nigdy z nim pracować, bo to by było bardziej jego niż moje. Natomiast Stańce i Fijałkowskiemu potrafiłem się stawiać i dopinałem swego.

Zawsze przyjaźniłem się z artystami, od których mogłem jeszcze coś wziąć.

Widzę wspólną cechę Fijałkowskiego, Nalepy i Stańki: wszystko podporządkowali sztuce.

Tomek Stańko mi kiedyś powiedział, że kocha córkę, lecz muzyka jest dla niego na pierwszym miejscu. Nalepa tego nie mówił, ale widziałem, że całe jego życie kręciło się wokół muzyki. Tadeusz przeżywał dramat, kiedy pół roku przed śmiercią nie był już w stanie unieść gitary elektrycznej – to ciężki instrument ważący blisko pięć kilogramów.

A Fijałkowski początkowo mieszkał w M3: w jednym pokoju miał pracownię i miejsce do medytacji, w drugim – gnieździła się żona z synem. Sztuka była na szczycie hierarchii każdego z tej trójki. Nie tak, że ma się rodzinę, a przy okazji wykonuje się zawód artysty.

A dla Pana?

Ech...

Ciężko powiedzieć?

Z moją dziewczyną mam tak ułożone, że ona realizuje się w swoim zawodzie, a ja w swoim. Czyli myślę cały czas o tym, co mam narysować.

I?

Chciałbym jeszcze trochę pożyć i skończyć „Na mój pogrzeb w czerwonej sukni przyjdź", który wydaje mi się jeszcze bardziej emocjonalny od „Zabij to i wyjedź z tego miasta". A potem narysować mojego „Mistrza i Małgorzatę". Interesują mnie już tylko długie metraże. Nie potrzebuję na moje filmy zbyt dużo pieniędzy, bo nie pracuję z szerokim zespołem ludzi. Dobrze mi jest w tym miejscu, w którym mieszkam, nie marzę o tym, by wylądować w Los Angeles. Miałem tam w 2017 r. na Mill Valley Film Festival performance oraz retrospektywę moich animacji i zaproszono mnie do Pixara, gdzie padła luźna propozycja, ale ją zbagatelizowałem. To nie dla mnie, ja tworzę kino autorskie, nie komercyjne. Peszy mnie już sam fakt, że „Zabij..." jest wyświetlany w tylu polskich kinach. I to nie jest nawet uczucie porównywalne do tego, jakby ktoś cię przyłapał gołego w łóżku. Tu jest jeszcze głębiej, intymniej. Bezbronnie, całkowicie bezbronnie.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

POŻEGNANIE

„Kształtem miłości piękno jest; i tyle,
Ile ją człowiek oglądał na świecie.
W ogromnym Bogu albo w sobie – pyle,
Na tego Boga wystrojonym dziecię,
Tyle o pięknen człowiek wie i głosi –
Choć każdy w sobie cień pięknego nosi
I każdy – każdy z nas – tym piękna pyłem".
„Bogumił" CKN

Ś.† P.

Andrzej Henryk Ostromęcki

1942–2021

syn Mirosława i Heleny z Deskurów
dr geologii PAN
poeta

Żegnaj, Andrzeju!

Zofia i Jan Żółtowscy

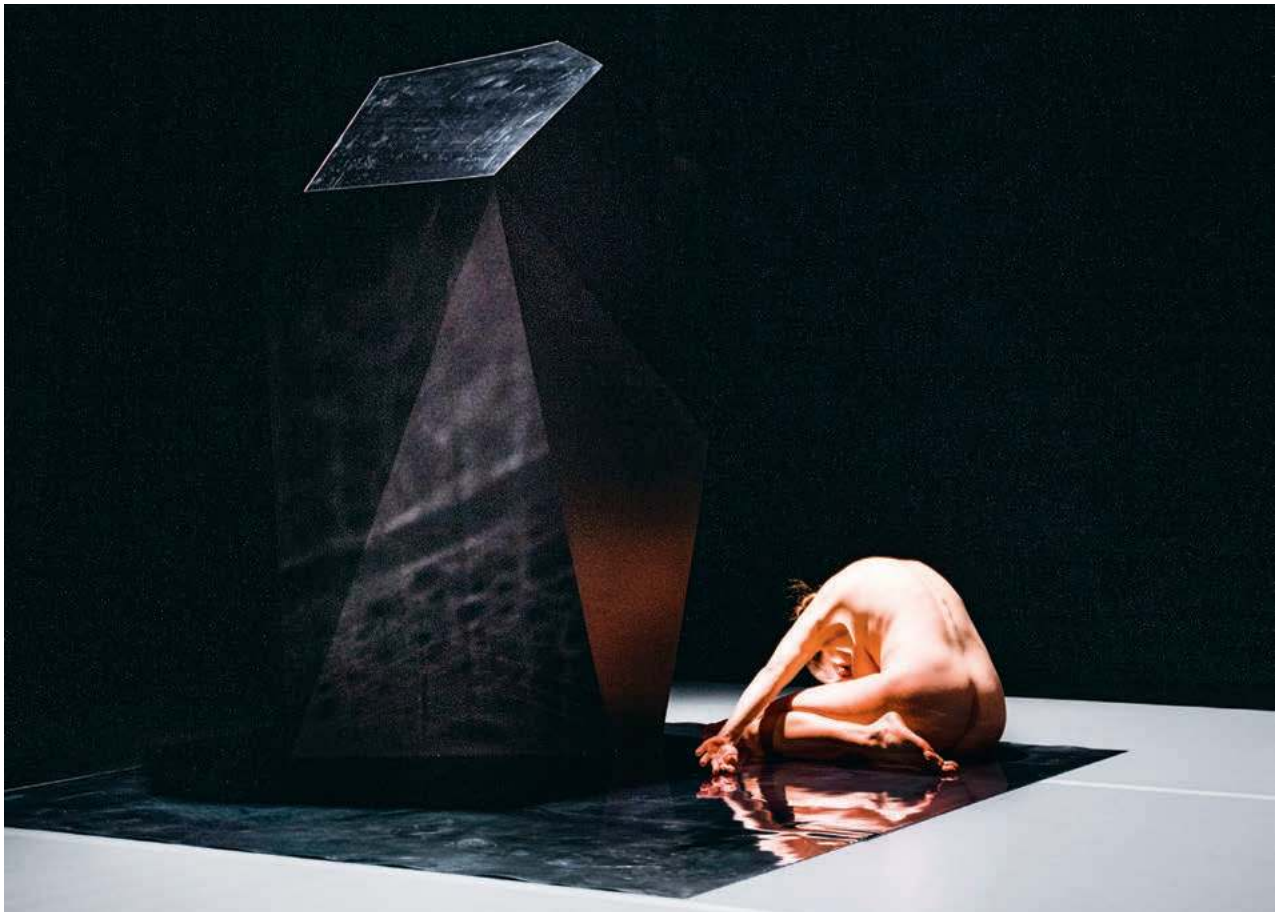

MAURYCY STANKIEWICZ / NOWY TEATR / MATERIAŁY PRASOWE

Scena ze spektaklu „Expiria" w reżyserii Agnieszki Kryst. Cykl „Poszerzanie pola", 15 stycznia 2021 r.

Poruszenie

DARIUSZ KOSIŃSKI

Kiedyś mityczną istotą i ideałem sztuk scenicznych wydawała się poezja, potem – konstrukcja. Dziś jest nią ciało w ruchu.

W centrum sali w niemal ceremonialny sposób poruszają się dwie kobiety w czerwono-żółtych strojach, przypominające tandetne żywe maskotki wciskające na ulicach ulotki reklamowe. Tym razem są to smoki, bo z tyłu do kombinezonów mają przyczepione długie grube ogony z łuskami. Kobiety-smoki wykonują powolne, sformalizowane ruchy, często kłaniają się sobie, wywołując jednocześnie skojarzenia z dworami europejskiego baroku i Azji.

Te drugie zwyciężają, bo po chwili jedna z performerek zostaje na scenie i wykonuje długą sekwencję z wachlarzem, nawiązującą już wprost do japońskiego tańca dworskiego buyō. Ale wszystko to dzieje się do muzyki granej na żywo przez zespół o jak najbardziej współczesnym składzie, kojarzącym się raczej z koncertami rockowymi niż z jakąkolwiek muzyką dworską. Za plecami tańczących, naprzeciwko estrady, na której ustawione są instrumenty, wielka głowa przewróconego na bok klasycznego posągu boga czy wodza patrzy na to wszystko pustymi oczyma obalonej przeszłości.

Naga kobieta porusza się bardzo powoli w niemal pustej przestrzeni, w której dopiero później ujawnią swoją obecność różnokształtne i umieszczone w różnych miejscach i pozycjach powierzchnie odbijające i odkształcające jej ciało. To ono jest tu najważniejsze. To na nie uczymy się patrzeć, podczas gdy ono samo zdaje się uczyć, jak być patrzonym bez utraty swojej niepowtarzalności i intymności; bez seksualizacji, ale i bez sprowadzania do jakiegoś czystego obiektu.

Performerka przyjmuje pozycję, zatrzymuje ją na chwilę, by potem powoli przetańczyć swoje ciało do kolejnej. Dzieje się to powoli i bez ostrych cięć, ale powiedzieć, że ten ruch jest płynny, byłoby fałszem. Rytm działania jest medytacyjny, wymaga uważności. Współtworzą go dźwięki, których wychowane w sposób klasyczny ucho nie uznałoby za muzykę – szum o subtelnym rytmie przypominającym oddech. Jakbyśmy byli u jakiegoś początku, albo u samego rdzenia oczyszczającej się ze znaczeń kobiecej cielesności, która usiłuje zaistnieć jako taka.

Pomiędzy

Dwa przedstawienia, z których pochodzą sceny, opisane wyżej w sporym trudzie poszukiwania słów, powstały w ramach programu choreograficznego „Poszerzanie pola", realizowanego wspólnie przez Nowy Teatr w Warszawie i Art Stations Foundation z Poznania. Jego druga odsłona, mimo ogłoszonego kilka dni wcześniej otwarcia teatrów, odbyła się online w weekend 12-14 lutego.

↦

Pandemia naznaczyła ją podwójnie: w ostatniej chwili trzeba było odwołać premierę „Silenzio!" Ramony Nagabczyńskiej, bo jedna z twórczyń zachorowała. Zamiast zapowiadanych trzech zaprezentowano więc dwa przedstawienia: „Salvage" według konceptu Katarzyny Wolińskiej, z którą choreografię współtworzyła i wykonała Hana Umeda, oraz „Expirię", wymyśloną, skomponowaną choreograficznie i wykonaną przez Agnieszkę Kryst.

Kuratorką „Poszerzania pola" jest jedna z najważniejszych postaci polskiej sztuki przedstawieniowej ostatnich dekad – Joanna Leśnierowska. Absolwentka krakowskiej teatrologii, od lat walczy o stworzenie w Polsce nowoczesnej sceny tanecznej. Sama działając jako performerka i choreografka, znacząco wpływa na kształt polskiej sztuki scenicznej przede wszystkim jako kuratorka programu Stary Browar Nowy Taniec, realizowanego od 2004 r. w ramach Fundacji Grażyny Kulczyk. To dzięki niemu wielkie centrum handlowe, jedno z miejsc najbardziej znienawidzonych przez współczesną kulturę niezależną i alternatywną, stało się mekką stale rosnącego w siłę środowiska, które samo ma problemy z precyzyjnym nazwaniem własnej praktyki.

Dzięki ogromnej popularności Piny Bausch, która terminu *Tanztheater* używała nie tylko jako nazwy własnej swojego zespołu z Wuppertalu, ale również jako nazwy gatunkowej, a także dzięki pionierskiej działalności Conrada Drzewieckiego, twórcy Polskiego Teatru Tańca w Poznaniu, istnieje u nas tendencja, by każde nieklasyczne przedstawienie taneczne wiązać z teatrem. Poza Polską ten związek też bywa dostrzegany, ale np. w świecie anglosaskim częściej chyba, zapewne dzięki pośrednictwu performance art, wiąże się całą tę grupę zjawisk ze sztukami wizualnymi.

W manifeście programu „Poszerzania pola", który przypomina te podwójne niebezpieczne związki, obszar działań artystycznych, o którym usiłuję tu mówić, lokowany jest w tradycyjnej już pozycji „POMIĘDZY": „W szczelinie, która czeka, by z rozmysłem w niej zamieszkać i uczynić coraz bardziej widzialną (i widzianą) przestrzenią autonomicznej choreografii. W szczelinie, która od lat 70. zdążyła się już mocno poszerzyć odsłaniając swe operacyjne pole – terytorium choreografii świadomie i garściami czerpiącej z innych dyscyplin, konstruującej własny dyskurs, i domagającej się własnej mapy".

> Powiedzmy jasno: to, co z braku lepszego określenia nazywa się sceną taneczną, jest od trzech dekad najbardziej konsekwentnie **i najciekawiej rozwijającą się dziedziną polskich sztuk** przedstawieniowych.

Tym razem nie chodzi więc o próg, przejście pomiędzy jakimiś wydzielonymi obszarami. „Poszerzanie pola" zakłada wytworzenie miejsca własnego i przeniesienie go „z dosłownych i metaforycznych peryferii w samo centrum". Nie można więc już mówić o teatrze tańca, sprowadzającym komponowany ruch do akcesorium. W tym poszerzanym i poszerzającym się stale obszarze miejsce centralne ma zająć autonomiczna sztuka choreografii.

Ruch dramatycznie wypowiadany

Od ponad stu lat w obrębie szeroko rozumianych sztuk przedstawieniowych zachodzi proces, który w wielkim skrócie i uproszczeniu nazwać by można zwrotem choreograficznym. Polegałby on na stopniowym procesie wypierania sztuki dramatycznej, sztuki inscenizowania literatury przez sztukę choreograficzną, której sednem jest kompozycja ruchu w przestrzeni. Dla pierwszej pojęciem i ideą naczelną jest słowo, dla drugiej – ciało w ruchu.

Zwrot choreograficzny w Polsce nie jest jakimś szybkim piruetem czy rewolucją. Zachodzi powoli, ale bez trudu można zaprezentować historię polskiej sztuki przedstawieniowej ostatnich ponad stu lat jako opowieść o tej zmianie. Już w 1913 r. Leon Schiller, ojciec nowoczesnej inscenizacji w Polsce, napisał, że istotą sztuki teatru nie jest słowo, ale „ruch dramatycznie wypowiadany". W późniejszych przedstawieniach (czego długo nie zauważali teatrologowie) Schiller posługiwał się precyzyjną choreografią tłumów, nad którą pracowała zazwyczaj Tacjanna Wysocka, tancerka i nauczycielka tańca, twórczyni popularnego zespołu Tacjanek, znanego z występów w rewiach i kabaretach, ale prezentującego też własne choreografie.

Wysocka to tylko jedna z wielu artystek, które w okresie międzywojennym tworzyły długo zapomniane podwaliny pod polską sztukę choreografii. Co ciekawe, może ze względu na ścisłe związki z przedstawieniami komercyjnymi i teatrem, nie ona stanowi główną postać swoistej archeologii choreografii dokonywanej w Polsce od lat 90. Chętniej mówi się o Janinie Mieczyńskiej, twórczyni założonej już w roku 1912 w Warszawie Szkoły Rytmiki i Tańca Artystycznego, uczennicy Émile'a Jacques-Dalcroze'a, stale współpracującej z Mary Wigman, najważniejszą kreatorką „tańca wyrazistego". Albo o jej uczennicach Poli Nireńskiej (także uczennicy i kochance Wigman) i Ziucie Buczyńskiej, które w 1934 r. zostały laureatkami Międzynarodowego Konkursu Tańca w Wiedniu. Jeszcze rzadziej w tych archeologicznych opracowaniach wspomina się o choreografii rozwijającej się w środowisku teatru eksperymentalnego, choćby o Jacku Pugecie, którego występy taneczne stanowiły atrakcję najważniejszej sceny awangardowej lat 30. – krakowskiego Cricotu.

A to właśnie awangarda teatralna, już powojenna, uczyniła „ruch dramatycznie wypowiadany" jednym z najważniejszych środków wyrazu. Tadeusz Kantor, Jerzy Grotowski, Józef Szajna, Jerzy Grzegorzewski i oczywiście Henryk Tomaszewski, choć nie mogą być uznani za artystów tańca, w sposób zdecydowany wpłynęli na rozwój choreografii. Dokonywane przez nich rewolucje sceniczne mogą być wszak widziane jako różne drogi odejścia od literatury dramatycznej na rzecz dramatycznej choreografii. Poruszające się, umuzycznione ciało staje się w ich twórczości centrum łączącym, zapisującym i rozgrywającym najważniejsze tematy epoki: pamięć, traumę, pragnienie, śmierć i dążenie do ich przekroczenia. Wystarczy nieco tylko zmienić perspektywę, by zobaczyć, że najważniejsi polscy twórcy teatralni II połowy XX wieku tańczą w ciemnościach, które kryją ziemię.

Gdy zatem w ostatnich dekadach minionego stulecia, najpierw dzięki Conradowi Drzewieckiemu, potem Ewie Wycichowskiej, Jackowi Łumińskiemu, Leszkowi Bzdylowi, Katarzynie Chmielew-

MAURYCY STANKIEWICZ / NOWY TEATR / MATERIAŁY PRASOWE

Scena ze spektaklu „Salvage" w reżyserii Katarzyny Wolińskiej. Cykl „Poszerzanie pola", 27 stycznia 2021 r.

skiej, Mikołajowi Mikołajczykowi, a następnie całej fali młodszych twórczyń i twórców zaczyna się ustanawiać autonomiczne pole sztuki choreograficznej, ma ono zaplecze nie tylko w europejskim teatrze tańca czy amerykańskim *modern* i *postmodern dance*, ale także, a może przede wszystkim – w dokonaniach polskiej neoawangardy teatralnej i teatru alternatywnego. Być może właśnie dzięki temu to pole „pomiędzy" stało się tak żyzne, że dziś stanowi jeden z najciekawszych obszarów polskiej sztuki.

Sceny jutra

Powiedzmy jasno: to, co z braku lepszego określenia nazywa się sceną taneczną, jest od trzech dekad najbardziej konsekwentnie i najciekawiej rozwijającą się dziedziną polskich sztuk przedstawieniowych. Po okresie nieuchronnej fascynacji długo nieznanymi osiągnięciami światowych gwiazd choreografii, takich jak Josef Nadj, Lloyd Newson, Anne Teresa De Keersmaeker czy Wim Vandekeybus, po odbyciu przyspieszonego kursu różnorodnych metod nowoczesnego tańca na czele z butō i contact improvisation, polskie artystki i artyści zaczęli coraz śmielej tworzyć propozycje własne.

Widzowie i krytycy zapatrzeni w stary i nowy teatr dramatyczny, w Jarockiego, Lupę czy Warlikowskiego (z tej perspektywy to w zasadzie wszystko jedno), mogli tego w ogóle nie dostrzegać. Ale stopniowo rosła grupa ludzi, dla których ważniejsze niż kolejna premiera według Bernharda były spotkania Polskiej Platformy Tańca, premiery kolektywów Dada von Bzdülöw i Bretoncaffe czy nowy projekt nieżyjącego już niestety Rafała Urbackiego. Swoiste ukrycie tych zjawisk, mających przełomowe znaczenie nie tylko w kontekście wewnętrznych procesów artystycznych, ale także z perspektywy antropologii, pedagogiki społecznej i szeroko rozumianej polityki, wynika z jednej strony ze słabości krytyki, braku języka i skutecznych narzędzi zmiany nastawienia publiczności, wciąż orientującej się raczej na repertuarowy i instytucjonalny teatr dramatyczny i muzyczny, a z drugiej – ze słabości instytucjonalnej.

Dzięki integracji i przemyślanej akcji środowiska ministerstwo kultury powołało wprawdzie w 2010 r. Instytut Muzyki i Tańca, który odgrywa ważną rolę w umacnianiu świadomości odrębności sztuki choreograficznej, ale nie sposób nie zauważyć, że połączona z muzyką, a także z baletem i tańcem ludowym, choreografia współczesna także i tu jest nieco na uboczu. Trudno też uznać inne istniejące od lat, ważne ośrodki za zajmujące pozycję centralną. W efekcie choreografia to dziś w Polsce sztuka wyjątkowo rozproszona, istniejąca w mnogości form organizacyjnych, estetyk, programów ideowych, strategii artystycznych i mediów.

To rozproszenie stanowi jej oczywistą słabość „rynkową", skutkującą choćby tym, że kolejne przedstawienia pokazywane są bardzo rzadko, niekiedy tylko raz czy dwa – na zakończenie projektu, w ramach którego powstały. Kiedy jesienią rozmawiałem z twórcami świetnego, a niemal nieznanego szerzej zespołu o.de.la z Rzeszowa – narzekali przede wszystkim na to, że nie mają gdzie grać i w sposób względnie stabilny pracować. To los większości zespołów choreograficznych w Polsce. Artystki i artyści tworzą więc niezależne kolektywy, jak warszawskie Centrum w Ruchu, albo współpracują z potężniejszymi instytucjami (Sztuka Nowa jako jeden z podmiotów Centrum Performatywnego SZKOŁA w Warszawie).

W ostatnich latach niektóre teatry instytucjonalne, takie jak warszawskie Studio czy Nowy, organizują własne programy choreograficzne, mające charakter prezentacji impresaryjnych lub projektów rezydencjalnych. Z pewnością przyczyniają się one do wzmocnienia świadomości znaczenia i wartości choreografii, ale choć poszerzają pole, to nie dają szans na jego stałe i konsekwentne zagospodarowanie. Środowisko od lat postuluje stworzenie Centrum Choreografii Polskiej, finansowanego ze środków rządowych i poświęconego wyłącznie tej sztuce. Bezskutecznie.

Postulat ten z pewnością wart jest poparcia, bo taka instytucja mogłaby przyczynić się do uznania od dawna już niemarginalnej sztuki choreograficznej. Z drugiej strony jednak jej szczególna siła nieodmiennie zdaje się wynikać z wielości i rozproszenia, z paradoksalnego wymykania się scalającym dyskursom i instytucjom. Przyjęta przez wspomnianą grupę niezależnych choreografek i tancerek nazwa Centrum w Ruchu wydaje się stanowić precyzyjną w swej wieloznaczności formułę, opisującą to, co choreografia już dziś zapewnia sztukom przedstawieniowym: ucieczkę przed mchem porastającym te kamienie, które przestają się toczyć.

Oczywiście wiążą się z tym wszystkie negatywne zjawiska opisywane przez Bojanę Kunst w głośnej książce o artyście w pracy („Artist at Work. Proximity of Art and Capitalism"). Trzeba im przeciwdziałać, ale starając się o zapewnienie jak najbezpieczniejszych, godnych warunków pracy artystkom i artystom, trzeba też uważać, by nie zniszczyć tego bogactwa, które już dziś tworzą. W świecie, którego figurą staje się walczące o oddech nieruchome ciało podłączone do maszyny, ciała walczące w skomponowanym dramatycznie ruchu o pełnię życia wydają się z każdym dniem coraz bardziej bezcenne. © DARIUSZ KOSIŃSKI

MATERIAŁY PRASOWE

Scena z filmu „Słudzy”

Musimy sobie pomagać

ANITA PIOTROWSKA

Historia w „Sługach”, choć fikcyjna, oddaje uniwersalność pewnych mechanizmów. Sojusz tronu z ołtarzem zawierany był nie tylko w komunistycznej Czechosłowacji i bynajmniej do historii nie przeszedł.

To obraz ikoniczny w naszej części Europy: nocą na pustej drodze dwóch funkcjonariuszy bezpieki wyrzuca martwe ciało – oczywiście z bagażnika czarnej wołgi. Taką sceną reżyser Ivan Ostrochovský otwiera swój film „Słudzy”, w którym opowiada o niebezpiecznych związkach czechosłowackiego kleru z komunistycznym reżymem i o zwalczaniu przez władzę podziemnego Kościoła katolickiego. Można pozazdrościć naszym południowym sąsiadom takiego filmu. W czołówce pojawia się nazwisko Rebekki Lenkiewicz, współscenarzystki „Idy”, ale to nie jedyne skojarzenie z Polską, jakie wywołuje ta mroczna opowieść. Choć osadzona w historycznej już scenerii 1980 r., dotyka problemów ciągle u nas żywych.

Kiedy dwóch chłopców z prowincji – Juraj (Samuel Skyva) i Michal (Samuel Polakovič) – przekracza mury bratysławskiego seminarium, kwestią czasu pozostaje utrata ich politycznej niewinności. Kościelna organizacja Pacem in Terris zapewniła właśnie o swoim poparciu dla władz, a jednym z najgorliwszych sług okazał się dziekan seminarium. Tymczasem kościelni dysydenci w liście do papieża potępiają kolaborację, o czym informuje radio Wolna Europa.

Pewnego dnia seminarzyści znajdują na tablicy wywrotową odezwę: wspieranie ideologii czy grupy trzymającej władzę jest sprzeczne z nauką Chrystusa. Na uczelni rychło zjawiają się funkcjonariusze służb bezpieczeństwa – konfiskują maszyny do pisania, zastraszają studentów, szantażują kapłanów, grożą nawet zamknięciem wydziału. Gdy okazuje się, że Juraj zaangażował się w opozycyjną działalność i uczestniczy w tajnych spotkaniach u ojca Coufara, przyjaźń głównych bohaterów staje pod znakiem zapytania.

Kto okaże się tu prawdziwym bohaterem, a kto tchórzem i zdrajcą? Twórcy „Sług” komplikują postawy i relacje. Zanim dojdzie do wyjaśnienia wspomnianej już sceny z prologu, dostajemy misternie skonstruowaną przypowieść na temat łamania charakterów przez system. Dodajmy, że nie tylko totalitarny, bo chłopcy z filmu Ostrochovskiego już na wejściu dowiadują się, jak mało znaczy jednostka w obliczu kościelnej instytucji.

„Musimy sobie pomagać” – słyszą duchowni od funkcjonariuszy reżymu i splot tych dwóch systemów władzy ustawia całą architekturę filmu, także w znaczeniu dosłownym. Prawie nieruchoma kamera Juraja Chlpika fotografuje klaustrofobiczną aurę miejsc: widzianych z góry podworców, ślimaczych schodów, ciężkich sklepień czy równie przytłaczających korytarzy partyjnych urzędów. Czarno-białe zdjęcia dodają „Sługom” szlachetnej patyny, ale też wydobywają ukryty w murach seminarium strach i wzajemną nieufność. Ciężka, głucho dudniąca muzyka Cristiana Lolea i Miroslava Tótha przywodzi na myśl kino grozy.

Na takim tle słowacki reżyser rozgrywa jednocześnie kilka dramatów i prócz wchodzących dopiero w klerykalne życie Juraja i Michala uwagę poświęca weteranom. Jest wśród nich służalczy dziekan, jest ksiądz, który pod wpływem na-

cisków złamał tajemnicę spowiedzi, lecz postacią prawie demoniczną i na swój sposób tragiczną okazuje się gorliwy pracownik MSW, zagrany przez rumuńskiego aktora Vlada Ivanova. To on uczestniczy w najbrudniejszych akcjach swego resortu, po czym w brzydkim pustym mieszkaniu starannie oczyszcza buty z błota i patrzy w lustro beznamiętnym wzrokiem. Tajemnicza choroba, która toczy jego ciało i objawia się paskudną egzemą, staje się metaforą aż nazbyt oczywistą.

„Słudzy" nie próbują bowiem ukrywać swoich wysokich aspiracji – wręcz daje o sobie znać napisany kiedyś przez Ostrochovskiego doktorat z filmoznawstwa. Każde wypowiadane tutaj zdanie ma swój ciężar, podobnie zresztą jak milczenie. Wiele scen dźwiga ładunek symboliczny. Nawet kiedy klerycy się bawią: obrzucają śnieżkami, grają w ping ponga chodząc gęsiego wokół stołu czy kiedy Juraj i Michal robią łazienkowe zawody, kto z nich wytrzyma dłużej pod wodą, czuje się w tych lekkich przerywnikach pewien naddatek. Nie wspominając o brzemiennej scenie, gdy jeden z bohaterów staje nagi przed komisją wojskową. Również poczciwa butelka z alkoholem przechodzi w miarę rozwoju akcji swoistą ewolucję znaczeniową.

Stąd można mieć do Ostrochovskiego pretensje, jakie wysuwano pod adresem Pawła Pawlikowskiego – że jego „Ida" jest dziełem zbyt naszpikowanym sensami i za bardzo wystudiowanym, a przez to emocjonalnie zimnym. Jakby mało było formalnych podobieństw (brak koloru, nietypowy format ekranu, kontemplacyjne zdjęcia, udział aktorów nieprofesjonalnych), napisom końcowym „Sług" towarzyszy koncert skrzypcowy Bacha. Najważniejsza jednak pozostaje sama historia – choć fikcyjna, to oddająca zarówno prawdę czasu, jak i uniwersalność pewnych mechanizmów. Przecież sojusz tronu z ołtarzem miał miejsce nie tylko w Czechosłowacji, zawierany był nie tylko w komunizmie i jako zjawisko bynajmniej do historii nie przeszedł.

„Chciałbym, żeby widzowie po obejrzeniu mojego filmu nabrali trochę więcej odwagi i nie pozwolili, by rządził nimi strach, celowo zaszczepiany im przez polityków" – mówił reżyser w jednym z wywiadów. Powstał więc psychologiczny thriller o byciu w potrzasku, o kompromisach i ich moralnej cenie. Kiedy jednak ogląda się go w dzisiejszej Polsce, trudno aż tak bardzo uniwersalizować problem. Zwłaszcza że pojawia się natrętne pytanie: dlaczego żaden z polskich filmów nie podjął dotąd w sposób tak poważny tematu kolaboracji Kościoła z władzami PRL-u?

Słowakom się to udało, na dodatek w silnej koprodukcji międzynarodowej, co nie przeszkadza „Sługom" kandydować do Oscara jako filmowi słowackiemu. U nas, w obecnej sytuacji politycznej, jeszcze trudniej byłoby liczyć na tego rodzaju inicjatywę. Nie tylko dlatego, że samo rozliczenie z kłopotliwą przeszłością Kościoła sprzeciwiałoby się obowiązującej polityce historycznej. Również dlatego, że znacznie trudniej niż Słowakom byłoby nam uciec od współczesnych odniesień. ©

SŁUDZY *(Služobníci) – reż. Ivan Ostrochovský. Prod. Słowacja/Czechy/Irlandia/ /Rumunia 2020. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 5 marca.*

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Kozienicach, pod sygn. akt I Ns 39/20, toczy się postępowanie wszczęte na wniosek Mieczysława Bieńka o stwierdzenie, że Mieczysław i Helena małżonkowie Bieniek nabyli przez zasiedzenie na zasadzie wspólności majątkowej małżeńskiej z dniem 4 listopada 2001 r. własność nieruchomości położonej w miejscowości Studnie, gmina Głowaczów, powiat kozienicki, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działki nr: 523, 524 i 525, o łącznej powierzchni 0,55 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności właścicieli nieruchomości albo ich następców prawnych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i wykazali swoje prawa do nieruchomości. Jeżeli w zakreślonym terminie nikt się nie zgłosi lub zgłosiwszy się, własności nie wykaże, Sąd uwzględni wniosek, o ile zostanie on udowodniony.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Herstorie na Dzień Kobiet

Przegląd filmowy, Ninateka, 4-8 III

HERDocs – festiwal dokumentów kręconych przez kobiety i o kobietach – zaprezentuje bezpłatnie zestaw filmów pełno- i krótkometrażowych. Warto zwrócić uwagę szczególnie na „Powrót Kate Nash" Amy Goldstein, czyli intymny portret angielskiej wokalistki i jej drogi do niezależności, oraz „Ona Ona Ja" Carlotty Kittel, będący próbą rodzinnej psychoterapii za pośrednictwem kamery.

2. Ostatni i pierwsi ludzie

Science fiction, reż. Jóhann Jóhannsson, Islandia 2020, Cinemax 2, 6 III, 20.30, 7 III, 9.45

Islandzki kompozytor muzyki filmowej sam wyreżyserował tylko jeden tytuł, dokończony przez współpracowników już po jego śmierci. Słowami pisarza Olafa Stapledona i głosem Tildy Swinton opowiada o apokaliptycznej wizji przyszłości, a towarzyszą temu czarno-białe obrazy brutalistycznych pomników z czasów komunizmu i hipnotyczna muzyka.

3. Męski klub

Dokumentalny, reż. Petter Sommer/ /Jo Vemund Svendsen, Norwegia 2018, Canal+ Dokument, 8 III, 20.00

To hymn na cześć męskiej wrażliwości i przyjaźni. Kiedy przed norweskim koncertem Black Sabbath ma wystąpić chór złożony z amatorów, jest to dla nich wyróżnienie i wielka szansa. Ale życie wymyśla często niechciane scenariusze: ich dyrygent otrzymał właśnie fatalną diagnozę. W takich sytuacjach łatwiej wyśpiewać, niż wypowiedzieć swoje emocje.

4. Nowe Horyzonty VOD

Ruszyła platforma internetowa firmowana przez kultowy festiwal z Wrocławia. Dotychczas pojawiło się na niej 200 tytułów. Co ciekawe, wśród propozycji cenionych i nagradzanych, jak „Parasite" czy „Szarlatan", znalazły się także filmy dla młodego widza, np. „Sekrety morza", „Halvdan – prawie wiking", „Biuro Detektywistyczne Lassego i Mai" czy „Słynny najazd niedźwiedzi na Sycylię".

JAN

Klata:
Szereg kroków

Ile kroków? W sensie: dziennie, żeby zdrowo. Amerykańscy naukowcy już wiedzą, znaczy: wiedzą znów, po raz kolejny, tym razem z pewnością ostateczną, gdyż kto jak kto, ale amerykańscy naukowcy znają najnowszą wersję prawdy.

10 000 wyglądało zgrabnie jak 50 Cent, okrąglutko, ale jest już nieaktualne. Wymyślone przez japońskich wytwórców elektroniki z lat 60., chwytliwe dziesięć tysięcy kroków dziennie dobrze się sprzedawało, aż tu nagle się okazuje, że połowa tego wystarczy. I bardzo dobrze, trudniej się pomylić podczas liczenia, a przecież trzeba być precyzyjnym. No, chyba że ktoś nie ma czasu samodzielnie liczyć sobie kroków. Z pomocą przychodzi wtedy technologia w wielu postaciach, co to za nas wszystko policzą... policzą i pokażą... ale czy tylko nam? Dolinie Krzemowej też pokażą, i CIA, i FBI, i CBŚ, i FSB, i BOR, i NSZZ, każdemu pokażą, niestety. Każdy skrótowiec na Ziemi może bez problemu otrzymać dostęp do liczby naszych kroków, o ile nie liczymy sami, pod nosem. Nie trzeba być Shoshaną Zuboff, żeby to wiedzieć. Elektroniczne przyrządy mierzące nam wszystko mierzą nie tylko dla nas. Kilka miesięcy temu bojownicy islamscy uzyskali dokładny zarys amerykańskich tajnych baz w Afganistanie tylko na podstawie tras biegowych amerykańskich żołnierzy. Myślę, że ubezpieczyciele też z radością popatrzą na tętno klientów. Technologia jest ślepą uliczką, nie brnijmy tam, zwłaszcza że już nie dziesięć, a pięć tysięcy do policzenia.

A zatem proponuję wariant *unplugged*, czyli „na Opałkę": pozbywamy się fitnessowych opasek i zegarków, smartfona zamykamy w klatce Faradaya, gdzie jego miejsce, a sami wyruszamy na spacer, licząc na głos, medytacyjnie. Po „pięć tysięcy" możemy przestać, ale nie będzie nam łatwo. To zdrowo wciąga.

PS. Jest jeszcze wariant grupowy: jeden liczy, reszta chodzi – ale zostawmy go obronie terytorialnej. ©

Lektor:
Przyjaźń i spór

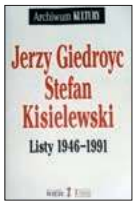

▪ *Jerzy Giedroyc, Stefan Kisielewski*
LISTY 1946–1991
Wstęp Adam Michnik, opracowanie i przypisy Łukasz Garbal, posłowie Rafał Habielski. Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, Biblioteka „Więzi", Warszawa 2021, ss. 392. Archiwum „Kultury", tom 22.

Poznali się w styczniu 1936 r. i wkrótce Stefan Kisielewski został współpracownikiem pism redagowanych przez Jerzego Giedroycia – „Buntu Młodych", później „Polityki".
We wrześniu 1939 r. Giedroyc wyjechał z Polski i nigdy już do niej nie wrócił; Kisielewski wojnę spędził w Warszawie, a w napisanej wtedy powieści „Sprzysiężenie" sportretował Redaktora jako „radcę Geysztora" (co portretowanemu nieszczególnie się spodobało).
Spotkali się ponownie w 1957 r. w Paryżu, ale kontakt korespondencyjny wznowili tuż po wojnie. Pierwszego listu Kisielewskiego nie znamy, a skonfiskowana na granicy obszerna odpowiedź Giedroycia nie dotarła do adresata, zachowała się w odpisie w aktach Urzędu Bezpieczeństwa. Potem Giedroyc kryje się za kobiecą maską, odgrywając – nie bez przyjemności – rolę podstarzałej, choć nie pozbawionej pretensji damy, którą „polityka zawsze niesłychanie nudziła" (!). Jednym z głównych tematów (i szczerą troską Redaktora) staje się pomoc materialna: dla Kisielewskiego i jego rodziny, dla ludzi z zamkniętego „Tygodnika Powszechnego", zwłaszcza Jerzego Turowicza, dla pisarza Stanisława Rembeka, dla profesorów odsuniętych od nauczania... Kupony dobrego materiału na ubrania, buty, włóczka na swetry, kawa, lekarstwa.
Potem przychodzi przełom październikowy. Względna dostępność „Kultury" w kraju trwa krótko, ale odtąd Kisiel będzie w niej – nieregularnie – publikował. I zaczyna się spór, toczący się w listach, podczas spotkań w Maisons-Laffitte, niekiedy w druku. Dotyczy oceny sytuacji w kraju (Redaktor był coraz bardziej krytyczny wobec neopozytywizmu koła Znak, którego posłem był przez jedną kadencję Kisiel), roli prymasa Wyszyńskiego, a zwłaszcza stosunku do ZSRR.
Kisiel nie sądził, by imperium mogło szybko upaść, i sugerował próbę dogadania się z Moskwą ponad głowami warszawskiej wierchuszki partyjnej. Wspieranie przez Giedroycia niepodległościowych dążeń Ukraińców czy Litwinów uważał za przejaw szkodliwego idealizmu. Dyskusje kończyły się z reguły przyjęciem protokołu rozbieżności, czasem nawet krótkotrwałym zerwaniem. Giedroyc złośliwie zauważał, że jego przyjaciel reaguje jak mimoza, a sam przypomina kaktus. Bo to jednak była przyjaźń, oparta na wzajemnym zaufaniu. I szacunku. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Straszenie fuzją

Trzydzieści dziewięć restauracji w Londynie i okolicach TripAdvisor wyróżnia jako „polskie". Pierwsza w rankingu tej kategorii knajpa Ognisko jest dopiero pięćset któraś na szesnaście tysięcy zaszeregowanych lokali ogółem. Nie traktujmy tego jako wyroczni, chociaż algorytmom akurat tego serwisu jestem skłonny wierzyć – onegdaj jako kierownik knajpy doświadczyłem tego, że dość trudno nim manipulować, zarówno na korzyść własną, jak i na pohybel konkurencji: przez pewien czas zazdrośni rywale z włoskiego lokalu za rogiem bombardowali naszą stronę złymi recenzjami na tyle nieudolnie skleconymi, by sztuczna inteligencja wyczuła, że to fejk. Wbrew pozorom napisać lipną recenzję – a już zwłaszcza dziesięć pod rząd – nie jest wcale łatwo.

Daleka pozycja lidera polskiej drużyny w peletonie dobrze oddaje postrzeganie statusu naszego jedzenia. I to nawet w sytuacji, gdy na Wyspach ludzi znających polską kuchnię i tęskniących za nią należy liczyć w milionach, co daje dość szeroki rynek dla kształtowania dobrych praktyk. A także prób poszerzania i modelowania gustów – wspomniane Ognisko, oprócz rzeczy oczywistych jak ruskie, kaszanka, kapuśniak, barszcz czy sandacz z kaszą i sosem grzybowym, proponuje pilaw z bulguru z suszonymi wiśniami i sosem tzatziki albo rumsztyk barani z sałatką bakłażanową.

Przeglądając wyrywkowo parenaście jadłospisów napotykam różne inne „fuzje" kulturowe, mniej lub bardziej banalne (łosoś wydaje się już totalnie polską rybą). Teraz, kiedy lockdown zamroził cały ten światek, lubię sobie wędrować po stronach i listach, wyobrażać sobie te puste sale, wyłączone lodówki, pogaszone światła. Czytać menu i oceny gości jak dokument archiwalny, mając z tyłu głowy pytanie, które z tych biznesów się pozbierają. W jaką stronę dalej wyewoluują i do jakiego stopnia spróbują nagiąć polskość pożywienia w sytuacji, gdy etniczna odrębność i jej zewnętrzne znamiona jest w obcym środowisku czymś znacznie bardziej kruchym i może w związku z tym budzić reakcje lękowe.

Za słabo jako wspólnota jeszcze zostaliśmy poddani ciśnieniu multikulturowemu, żeby doświadczać aż tak wybuchowych napadów histerii jak Włosi, gdy ktoś przerobi ich typowe danie. Ten chwiejny, młodziutki naród z wyrzekania i miotania groźbami karalnymi uczynił osobne misterium martyrologii. „Italians mad at food" – konto twitterowe pod tą nazwą mogłoby stać się dobrym źródłem inspiracji, gdyby prezes Obajtek znał angielski i potrzebował odświeżyć repertuar przekleństw.

Co gorsza, w przeciwieństwie do naszego międlenia krzywd, które odwołuje się do sprawców zewnętrznych, spora część kulinarnych bezeceństw, jakie cierpią Włosi, jest czyniona ręką wyrodnych synów narodu osiadłych w Ameryce i tam szargających świętości. Oglądałem niedawno montaż scen jedzenia z „Rodziny Soprano" – szokujące, co tam widać w kwestii ilości ciągnącego się sera i zawiesistego sosu np. w zapiekankach makaronowych. Niedawno zaś „New York Times" podał przepis na carbonarę z koncentratem pomidorowym i pomidorkami. Bo „danie zyska na wyrazistości"... Dopiero co zajmowaliśmy się carbonarą, więc nie będę zanudzał szczegółami, dość powiedzieć, że trudne rzekomo do zdobycia (w Nowym Jorku? – nie wierzę) podgardle gazeta kół wiadomo jakich radzi zastąpić wędzonym boczkiem. Każdy niemal włoski dom i redakcja stały się na zawołanie okopem świętej wojny i lochem inkwizycji. Na razie sprawa pomidorowej carbonary nie oparła się o ambasadę, ale to tylko kwestia czasu.

Gdyby nasza Reduta Dobrego Imienia otworzyła komórkę do spraw polskości przepisów, mógłbym się tam zatrudnić, tropić odchylenia w zagranicznych jadłospisach i pisać gniewne sprostowania. „W imieniu synów Piasta i Jagiellona protestuję przeciw sałatce bakłażanowej...". Chociaż nie. Jako osoba ukształtowana u progu dorosłości przez przełom roku 1989 mam problem z ogólną oceną kierunku, w jakim zmieniał się mój kraj. Bo wiem, że niekoniecznie był on zawsze dobry. Ale jednego nie odpuszczę: bakłażany nam przez ten czas znormalniały i za to będę kochał transformację. ©℗

Wiecie, że w Japonii danie zwane „spaghetti napolitan" to rozgotowane i zahartowane w zimnej wodzie (jak udon) kluchy z boczkiem, warzywami i dużą ilością keczupu? Ponoć powstało toto w kuchni generała Douglasa MacArthura nadzorującego po wojnie okupację. Ale dość świństw. Opowiem wam o świetnym w prostocie daniu fettuccine Alfredo. Przepis narodził się co prawda w Rzymie, ale pod gusta często jadających w pewnej trattorii Amerykanów. I faktycznie, ponieśli oni pomysł za ocean, gdzie do dziś funkcjonuje. Są tylko trzy składniki: makaron jajeczny, masło i parmezan, muszą być więc świetnej jakości. Rozgrzewamy na patelni po 1 obfitej łyżce masła na osobę, wyłączamy ogień i wrzucamy, niezbyt dokładnie odcedzone, ugotowane wstążki jajeczne, zaczynamy intensywnie mieszać, dosypując po 1 łyżce parmezanu na porcję. Z początku sos może wydawać się wodnisty, ale po minucie-dwóch powinien zacząć zyskiwać kuszącą, kremową konsystencję. Posypujemy pieprzem. XIX-wieczny rzymski przepis, który jest prawzorem tego dania, przewiduje gotowanie klusek w bulionie z kury i posypanie cynamonem, imbirem i goździkami. Nie próbowałem, ale przyznam, że zdarzało mi się w innych sytuacjach z sukcesem łamać smaki dojrzałego sera goździkami.

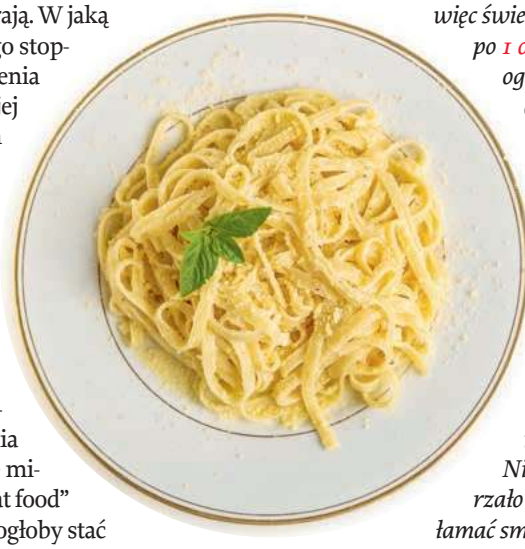

PAUL COWAN / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

DYM Z KOMINA

Po brexicie pojawiły się apele o dokonanie językowego królobójstwa, czyli o zrzucenie angielskiego z tronu Unii Europejskiej.

MAREK BIEŃCZYK

Ta słynna scena pociągowa (ale któraż scena z „Lalki" nie jest słynna?) mogłaby posłużyć za założycielską dla każdego tekstu o frankofonii pisanego w Polsce. Izabela ze Starskim pragną sobie intymnie porozmawiać w obecności Wokulskiego. Muszą w tym celu przejść na język obcy, dla Wokulskiego niezrozumiały. Porzucają naturalnie myśl o francuskim, którym nawet kupiec Wokulski mógłby władać, i decydują się na elitarny angielski.

Pech w tym, że Wokulski całkiem dobrze go pojmuje. Jego rzucone na odchodnym, ironiczno-chłopięce – bo jak się powstrzymać przed tym sztubackim żartem, jakim jest ujawnienie nieznanej strony własnej osoby – „*Farewell, Miss Iza, farewell*" brzmi dziś w uchu frankofila nie tyle jako pożegnanie z realną narzeczoną, co jako symboliczny zwiastun całkiem innego pożegnania: z francuskim jako *lingua franca* Europy.

Wyjątek francuski

To była dopiero druga połowa XIX wieku, francuski w uniwersalnej roli ma jeszcze spory kawał życia przed sobą, przykłady – najczęściej z wysokiej kultury – można długo mnożyć. Sam najbardziej lubię odpowiedź Jorge Luisa Borgesa w jednym z wywiadów (Gombrowicz pakuje w tym czasie walizki do Francji) na pytanie o prace redakcyjne nad jego książkami. Nie mają żadnego znaczenia, odpowiada pisarz, wersją ostateczną książek, które pisze, i tak jest ich przekład na francuski.

Podzwonne dla francuskiego w lingwistycznej roli głównej wybiły początki projektu europejskiego w latach 70., ale powolna agonia zaczęła się o wiele wcześniej. I w tym przypadku przykłady można mnożyć bez końca. Moja pamięć czepia się drobiazgu, filmu „Casablanca" widzianego w chwili, gdy siedziałem po uszy w mojej wczesnomłodzieńczej frankomanii. Ogromnej przewagi – cielesnej, duchowej, osobowościowej, estetycznej – jaką Humphrey Bogart ma w tym filmie nad francuskimi oficjelami; wyglądają przy nim jak pudle przy owczarku. Fatalnie cudownej anglosaskiej przewagi, która później, w latach 60. i dalej, będzie rosła w rytmach big-beatu, rock'n'rolla i punka, w filmowych obrazach nieskończonych przestrzeni przemierzanych przez harleye davidsony, zawsze *on the road*, na płótnach pop-artu itd., itp.

Nie buntowałem się, sam tą różnicą perwersyjnie się rozkoszowałem, schizofrenicznie rozdarty, zakochany bardziej w Dylanie i chicagowskim bluesie niż w Brelu, w Hemingwayu bardziej niż w Camusie. Jednak dość ciężko przeżyłem tamtą chwilę parę lat temu w Brukseli, w której przyszło

ALEXANDER DEMIANCHUK / GETTY IMAGES

mi przez kilka dni pracować przy ocenie projektów przekładów literatury, i dostałem niezłą burę, gdyż projekt francuski opisałem po francusku, a nie po angielsku, jak wszystkie inne. Tłumaczyłem się niczym uczniak: nie mogłem, wysoka słodka komisjo, Napoleonko brukselskich urzędników ds. kultury, się przemóc, aby Francuzom o książkach mówić nie po francusku. Okazało się, że to było z mej strony potężne *faux pas*. A przecież oficjalnie dokumenty mogły powstawać wedle brukselskiego prawa w trzech językach: angielskim, francuskim i niemieckim.

Chandlerowski Marlowe, detektyw wyposażony w językową samoświadomość, wzdycha w pewnym momencie (to „Długie pożegnanie"), gdy nie może znaleźć odpowiedniego angielskiego wyrażenia: „Francuzi mają na to określenie. Te sukinsyny na wszystko mają określenie". *Faux pas, comme il faut, esprit d'escalier*, owszem, ale co dalej, co nowego? Co nowego od czasów, gdy Tołstoj w powieściach szpikował dialogi wykształconych Rosjan francuskimi słówkami? Nie licząc elitarnych określeń filozoficznych typu *déconstruction* (dzięki Derridzie), *plaisir du texte* (Barthes), *jouissance* (Lacan) czy *simulacre* (dzięki Baudrillardowi).

Właściwie niemal wszystkie nowe uniwersalne określenia, które wkradają się z zewnątrz w różne europejskie języki, przychodzą z angielskiego. Mało który obroni się – mówmy o chwili obecnej – przed takim lockdownem, choć termin nie jest nawet komputerowy, czyli nie przychodzi z miejsca praktycznie w stu procentach opanowanego przez angielszczyznę.

Francuzi, owszem, bronią się, jak mogą, uszczelniają – także ustawowo – granice francuskiego, nie pozwalają się nadmiernie rozwinąć temu, co nazwano kiedyś *franglais*, francuszczyzną naznaczoną angielskim słownictwem komputerowym, ekonomicznym i marketingowym. Żadne państwo na świecie nie czuwa z urzędu nad językiem tak jak Francja. Mają zatem zamiast lockdownu własne *confinement* i nigdy na Roland Garros nie powiedzą *tiebreak*, lecz *jeu décisif*. Kilkadziesiąt lat temu rozśmieszali świat uporem, z jakim w miejsce walkmana forsowali rodzimy neologizm *baladeur* (od *balader*: spacerować); jednak słowo się przyjęło, podobnie jak wiele innych określeń o rdzennych korzeniach na technologiczne wynalazki i nowinki. Proszę sobie wyobrazić, że ci ludzie nie mówią nawet *email*!

Swoją obronę przez amerykanizacją nazywają *exception française*, „wyjątkiem francuskim", czyli zespołem działań mających chronić francuski język i sztukę przed zalewem obcych form, a zwłaszcza przed *pax electronica*, czyli cyfrową postacią *pax americana*. Oczywiście francuszczyzna, jak każdy język, pracuje; zmienia ją, bardziej niż gdziekolwiek indziej, mowa przedmieść, tworząca nie tylko nowy dialekt, ale – nie ma co ukrywać – odrębną cywilizację, zmieniają angielskie zapożyczenia. Niekiedy dość zabawnie przekręcone, np. przejęty z francuskiego Quebecu czasownik *bitcher*, od angielskiego słowa *bitch* (nierządnica, w niedokładnym przekładzie), oznacza agresywną krytykę kogoś, obgadywanie za plecami.

Wreszcie sami

Wszystko to mogłoby w zasadzie pozostać tematem dla seminaryjnego paplania o przemianach globalizacji albo utonąć w domenie żartów, ewentualnie odwiecznych humorystycznych rozważań o cechach narodowych, gdyby nie brexit. W dzień po zabawny rysunek świetnego szwajcarskiego rysownika Chappatte'a przedstawiał samotnego mężczyznę pod parasolem idącego w ciężkich strugach deszczu i szepczącego do siebie tryumfalnie: „Wreszcie sam". Skoro sam i szczęśliwy, niech zabiera wszystkie zabawki. Do takiego wniosku doszło paru polityków, parlamentarzystów oraz profesorów, którzy wystosowali natychmiast apele o dokonanie bez litości językowego królobójstwa, czyli o wyrzucenie angielskiego z tronu Unii Europejskiej.

Francuski minister spraw zagranicznych, Clément Beaune, również nie omieszkał zabrać głosu; ostrożnie, lecz całkiem dobitnie: z jakiej racji Europa ma mówić po angielsku, językiem, który poza Maltą i Irlandią już nigdzie nie jest językiem urzędowym i wszędzie indziej pozostaje językiem

↦

↦ wyuczonym, a nie ojczystym? Niech różnorodność Europy znajdzie teraz odzwierciedlenie w wielości języków używanych w administracji UE. Minister nie wskazuje wprost na *leadership* (że tak złośliwie palnę) francuskiego, lecz złóżmy to na karb dyplomacji.

W podobnym duchu pisał w swoim apelu Jean-Christophe Gallien, działacz europejski i wykładowca na Sorbonie. Piętnując kolonizację lingwistyczną UE przez język angielski, postulował, by Unia wróciła do swej pierwotnej wielojęzyczności. Pisał: „Byłoby rzeczą całkowicie niepojętą, wręcz samobójczą w świecie ciągłej konfrontacji między mocarstwami, gdyby po tym historycznym wydarzeniu Europejczycy mieli podtrzymywać niczym nie zrównoważaną i wytrącającą z równowagi dominację języka angielskiego, i przyznawać nadal potężnym aktorom, pozostającym poza Unią i wobec niej konkurencyjnym, decydującą przewagę i wpływy – zbyt długo tolerowane – w samym sercu naszych instytucji, ze szkodą dla obywateli europejskich. Angielski, ojczysty język zglobalizowanego przez zachód kapitalizmu, może w tym stuleciu zostać zastąpiony przez ambitnego rywala, język chiński. Jeśli ma do tego dojść, to uczmy się chińskiego, lecz, na Boga, nie czyńmy z niego języka Unii Europejskiej XXI wieku dla tych samych przyczyn, które skłaniają niektórych do promowania angielskiego jako jedynego języka Unii. Niech żyją języki europejskie i niech żyje Europa!".

Niech żyją różne języki, niech żyje – wedle znanego określenia Umberto Eco – przekład jako ten prawdziwy język Europy, lecz dla niektórych anglofobów jest to postulat minimalistyczny. Autorzy innych apeli wzywają wprost do zastąpienia – po brytyjskiej dezercji – języka angielskiego jako faktycznie pierwszego (70 proc. wszystkich unijnych dokumentów) języka urzędowego Unii językiem wiernego członka Europy, czyli Francji. Przecież, wskazują, francuskim jako językiem ojczystym posługuje się w obecnej Unii Europejskiej 15 proc. ludności, a angielskim ledwie 1,2 proc. (13 proc. przed brexitem): ogólnie mówi francuskim w Europie 120 milionów osób, i wedle statystyk był on do tej pory pierwszym drugim językiem obcym wybieranym do nauki w europejskich szkołach.

Ale to nie argumenty statystyczne fundują zdaniem ich twórców prawomocność tego rodzaju apeli. Budując nowy dom, zaczynają od dymu w kominie, czyli odwołują się do ducha francuszczyzny jako powszechnika, uniwersalnego lepiszcza, które spajało przez stulecia zachodnią kulturę i windowało ją w górę. Jeden cytat (z apelu zamieszczonego w „Courrier International", autorem jest Włoch Camillo Langone): „Francuski był językiem elit i dyplomacji od XVIII do początków XX wieku, zanim nie zepchnęło go na dalszy plan zwycięstwo angielsko-amerykańskie w roku 1945"; skoro najważniejsze dzieła kultury powstawały w języku francuskim, nadszedł czas, postulował Langone, by on z kolei zastąpił język angielski.

Jest to oczywiście nowy-stary argument, który powraca zawsze, gdy myślenie o frankofonii nagle się ożywia. Wielcy pisarze, wielcy twórcy, wielka elegancja i wzniosłe wyrafinowanie, Chanel i Proust, wielka kultura, która olśniewała wszystkich i której zasoby należy wciąż odkopywać, by odnaleźć natchnienie i uchronić się przed wulgaryzacją świata.

Une baguette, silwuple

Sam podpisałem przed dwudziestu laty międzynarodowy manifest „Za frankofonią literacką" odwołujący się do dawnej roli francuskiego jako *lingua universalis*. Tyle że nie było w nim nut nostalgicznych. Frankofonia została w nim połączona z definicją nowej wspólnej Europy jako konstrukcji opartej na kulturze: Europa przetrwa politycznie i historycznie wtedy tylko, gdy nie pozwoli „zniekształcić się kulturowo"; promowanie francuskiej cywilizacji ma się przyczyniać do „wzmocnienia fizjonomii Europy", zachowania jej odrębności.

Mój grecki przyjaciel, autor manifestu, opowiadał, jak to po pierwszym przyjeździe do Paryża, nie znając języka, udał się do piekarni po bagietkę. *Une baguette, s'il vous plaît*, wypowiedział, jak umiał. Piekarz zrobił duże oczy, przyjaciel powtórzył więc starannie, lecz widocznie nie dość, za trzecim podejściem wreszcie dostał bagietkę. Nazajutrz to samo, *une baguette, s'il vous plaît*, klapa, fatalnie wymówione, jeszcze raz, no, teraz lepiej. Za kolejną wizytą dostał bagietkę po pierwszym wymówieniu.

Śmiał się: ktoś inny by się obraził, wściekał, mówił o typowym francuskim szowinizmie, lecz on poczuł wdzięczność i doznał olśnienia. Eureki, w jego języku. Bo oto wreszcie będzie mógł wyrzucić z głowy tego cholernego Adama Smitha i jego prawa ekonomiczne. Że niby piekarz robi dobry chleb nie dla naszych pięknych oczu, lecz tylko i wyłącznie dla zysku? Bzdura, Adamie Smithie, piekarz uznał, że istotna jest troska o język jego narodu. Ta bagietka, drogi panie Smith – mówił swym zachowaniem piekarz – przedstawia nie tylko wartość handlową, lecz także wartość słowa, które nie należy do mnie ani do mojego szefa, lecz do mojego narodu, i to słowo nie ma ceny i nie jest na sprzedaż. I wznioślej: jeśli w człowieku kryje się strażnik języka, jeśli istnieje naród, dla którego język stał się problemem ludzkim, znaczy to, że nie da się myśleć ontologicznie o człowieku, pomijając jego związek z językiem.

Mój Grek, redaktor francuskiego pisma literackiego, w którym po francusku piszą ludzie z całej Europy o literaturze całej Europy, naciągał pewnie anegdotkę czy żartował, lecz nie do końca. Kryje się bowiem w niej różnica, na której walcząca frankofonia opiera swoje postulaty: francuski jako emanacja wartości ściśle kulturowych przeciwstawia się światu wartości merkantylnych, ujednolicających i redukujących ekspresje lingwistyczne (co ujawnia przy okazji płytkość multikulti) i, w konsekwencji, duchowe podwaliny Europy. Innymi słowy, frankofonia ma przypominać, że pierwsze było słowo i że bez tego słowa, przekazywanego z wieków na wieki, Europa nie przetrwa jako twór ufundowany na prawdziwej wspólnocie.

W ten sposób frankofonia staje się rodzajem rozrusznika, założycielem nowej utopii, stawiającej na wartości pozametarialne, zbawienne dla każdego trwałego projektu. Tyle że już nie śni jej się nowe esperanto, któremu usłużnie podaje realną gramatykę, słownictwo i długie dzieje; jeżeli ma odgrywać jakąś rolę, to przez szerzenie etosu kulturalnego, czerpiącego siły z dzieł przeszłości, lecz nieokreślonego narodowo. A zwłaszcza przez literaturę i sztukę, zdolne stworzyć wokół siebie wspólnotę, której religia nie potrafi już utrzymać.

Manifest kładł nacisk na przymiotnik „literacki", by zdystansować się, na ile można, od frankofonii historycznej,

która może być łatwo kojarzona z geopolityką i z instytucją państwa; w takim przypadku chodziłoby o frankofonię jako narzędzie wsparcia dla działań politycznych jednego narodu czy frankofońskiej grupki narodów.

Uniwersalizm frankofonii literackiej, oderwany od frankofonii państwowej, miał się natomiast kojarzyć nie z ekspansją i dominacją (jak w przypadku ekspansji anglosaskiej), lecz z różnorodnością i wielością. Francuszczyzna, która zaczęła wyodrębniać się i kształtować od XII wieku po wiek XVI, kiedy to osiągnęła już dojrzałą postać, wywodziła się przecież – w przeciwieństwie do względnie jednolitych greki i łaciny – z tak rozległego zbioru wielorodnych wpływów, że stawała się sama obrazem europejskiej wielokulturowości. I do tego złożonego obrazu małe języki europejskie powinny się odnosić jako do matrycy, by wzmacniać z nią duchowe więzy, zachowując przy tym własną kulturową szczególność.

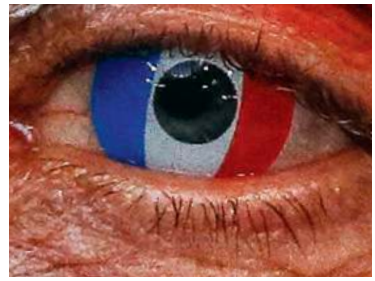

Frankofonia ma przypominać, że pierwsze było słowo
i że bez tego słowa, przekazywanego z wieków na wieki, Europa nie przetrwa jako twór oparty na prawdziwej wspólnocie.

Nie powracać zatem naśladowczo do wielkich wzorów wielkiej francuskiej przeszłości, do Rabelais'go czy Racine'a, czyli nie zastępować jednego monologicznego przywództwa (anglosaskiego) innym, nie odtwarzać stanu sprzed wieży Babel (jak czyni to niejako angielski), lecz „egzystencjalizować" Rabelais'go, to znaczy przekładać jego powieść na nową rzeczywistość. W końcu jeden z Rabelaisowskich bohaterów, Panurg, zanim powie coś po francusku, odezwie się w czternastu innych językach.

Esprit i body

Ta próba odejścia od francuskocentrycznego narcyzmu towarzyszy od pewnego czasu niemal wszystkim frankofońskim deklaracjom. W książce wydanej w roku 2020 na pięćdziesięciolecie Międzynarodowej Organizacji Frankofonii noblista Le Clézio pisał: „Język francuski, ten stary język spotkań i wymian, może stać się dzięki wszystkim jego użytkownikom, kimkolwiek są i skądkolwiek przychodzą, ziemią gościnności i powszechności". A Louise Mushikiwabo, przewodnicząca Organizacji, uściślała, że „frankofonia nie jest krajem i nie odnosi się do przeszłości Francji. Dawne imperia przeminęły i niełatwa przeszłość powinna ustąpić wspólnocie losów zaangażowanych w niepodległość państw i wolność jednostek". „Francuski – dodawał pisarz kameruński Simon Njami – nie jest wzorcowym odlewem, w który należy się wpasować, tracąc osobistą zdolność oceny. Przeciwnie, francuski czyni nas wolnym".

W manifestach frankofonii na ogół umniejsza się ekspansję polityczną Francji i jej dokonania kolonialne na rzecz ekspansji kulturowej. Jeśli nawet, jak przyznaje Le Clézio, języki, w tym francuski, nie są niewinne, to angielski pierwszego miejsca w handlu i międzyludzkiej komunikacji nie zawdzięcza żadną miarą „Szekspirowi i Dickensowi, lecz Indiom, Afryce, Australii i koloniom amerykańskim".

Bo też, gdziekolwiek frankofonia mówi o sobie, czy to bardziej władczo, czy całkiem demokratycznie, czujemy delikatny, gnostycki manicheizm: duch (*esprit* oraz dusza) został skowany przez materialne więzy, przez ciało (ileż mamy angielskich wyrażeń z *body*) komercji, zysku i technologii, przez imperatyw szybko widzialnego efektu, czy przez skracanie czasu i zapełnianie nieokreśloności i przejrzystości długiego trwania duchowego namacalnym produktem do sprzedaży tu i teraz. Doprowadzając rzecz do skrajności: frankofonia i francuski mogą przetrwać tylko jako wyraz zerwania i buntu przeciwko światu, jaki jest, i światu, który teraźniejszość turbokapitalizmu szykuje. Jako przestrzeń wyzwolenia *tout court*. Czy, by użyć modnego słowa poserialowego („Dom z papieru"), tym razem hiszpańskiego, jako *resistencia*, obywatelski opór stawiony globalnym instytucjom i ich językowi.

Ten idealistyczny manicheizm jest trudny do utrzymania; zanim utrwalił się elektroniczny imperializm, całe pokolenia ciągnęły w stronę Anglii i Ameryki dla ich literatury, muzyki i sztuki, i dla wolnościowych idei. Le Clézio w istocie mówi nie tyle o angielskim, co o *globish*, światowym narzeczu opartym na angielszczyźnie z dziesiątkami lokalnych odmian, wykorzystujących jej ogromną plastyczność. Języku płytkim, który porzuca nieskończone zasoby angielskiego słownictwa i jego ogromnej, wspaniałej wieloznaczności (bogatszego *nota bene* niż słownictwo francuskie, bardziej sztywne, podobnie jak sztywna jest francuska składnia).

Ale to nieważne; trzeba się raczej zastanowić, czy taki wyostrzony, wykreowany dualizm jest dziś w ogóle potrzebny. Z polityczno-strategicznego punktu widzenia pytanie jest konkretne. Karty są wyraźnie rozdane (wybór Bidena tylko nieco łagodzi sytuację; tymczasowo, na cztery lata): trzy mocarstwa, do tego Anglia z potężnymi ambicjami mocarstwowymi i wobec nich Europa na głowie z baseballówką ojca, który sobie poszedł. Widać, że frankofonia staje się, zwłaszcza w chwili pobrexitowej – pełnej emocji, które zapewne szybko miną – jedną ideą dla nazwania wielu innych, które można zgromadzić w zbiorze zatytułowanym: co robić? Co robić z tą wspólną Europą, której mocarstwa się wyrzekają, a która sama siebie coraz częściej nie lubi? Co jest w niej naprawdę wspólnego? Czy osłabienie nacisku angielskiego wniosłoby coś nowego? Parafrazując Kawafisa: „klasycy" byliby jakimś rozwiązaniem?

Zastąpienie administracyjne angielskiego przez francuski należy do mrzonek, do dziaderskich podrygów myśli. Prędzej palma wyrośnie na placu Pigalle. Ale wzmocnienie europejskiej wieży Babel mogłoby być jednym z postpandemicznych początków, na które się czeka. Wiodącym gdzieś lub do niczego.

© MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz:
Na trzeźwo

Słusznie p. Kaczyński mówił kiedyś, dawno – a zapadło nam to w pamięć – że przeklinanie na nagraniach świadczy o bardzo niskiej kulturze osobistej nagrywanego, świadczy o szalonym prostactwie i niemal zerowych kompetencjach moralnych, zwłaszcza jeśli idzie o – dajmy na to – piastowanie najwyższych stanowisk w państwie. Po prostu, czy to minister, czy premier, czy, weźmy, Człowiek Roku, żaden taki nie może rzucać mięsem na nagraniach. Nagrania w Polsce świadczą o nas wszystkich przecież. Jak nas słyszą, tak nas widzą – chciałoby się rzec – a jak nas widzą, tak nas piszą.

Czy wydało się teraz, w tej chwili, naszym Czytelnikom, że autor siadłszy do pisania tegoż, był zdaje się – jak to mówią – wypity? A może jest po prostu odurzony Polską? Właśnie tak, odpowiadamy – tocząc przekrwionym okiem – a jest to stan od paru lat permanentny. To bardzo interesujący kraj. Odkąd żyjemy, nigdy nie chcieliśmy być gdzie indziej, nawet bowiem jak jest tu nudno, to nigdy nie jest nudno. To nie jest kraj dla ludzi lubiących relaks, lubiących myślenie o niebieskich migdałkach czy marzących o spokojnej starości w otoczeniu sympatycznych wnucząt. Nie. Tu nie ma sympatycznych wnucząt, po prostu. Czytelnik – patrzmy – znowuż z niepokojem czyta to zdanie. On jest na bank wypity – myśli o autorze – jakże to możliwe? Przy pracy? Przy pisaniu? Wszak pisanie cotygodniowego felietonu do „Tygodnika Powszechnego" to jak prowadzenie kursowego autobusu nadadriatycką serpentyną. Trzeba uważać, ale trzeba jechać. Czytelnik znów patrzy na to wszystko, czyta i znowuż pyta, ale już na głos, dajmy na to, żonę swą, przy śniadaniu: „Co on pije? Do stu tysięcy szczepionek Sputnik V?".

Odpowiada na to ona, żona, wychylając tradycyjną pięćdziesiątkę przed wyjściem do biura, że nie, że autor może być trzeźwy, ale jest pod tzw. przewlekłym wrażeniem kariery owego wielbiciela chłopców z SS i jego przesympatycznego obrońcy, takoż badacza historii i krakowskiego akademika p. Terleckiego. I tu może mieć rację owa niewiasta, żona naszego Czytelnika. Tak. Potwierdzamy. Autor jest pod przewlekłym wrażeniem. Tu musimy dać wtrącenie: oto z dostępnych nam danych wynika, że największa sprzedaż małych formatów alkoholi mocnych o smaku agrestowym odbywa się w Polsce przed dziewiątą rano, a klientem jest – za przeproszeniem – klientka, która idzie do biura. Są to dane twarde, wzięte wprost z badań fokusowych i niefokusowych.

Wróćmy szybko do naszej Polski, w której sympatia dla gestapowców staje się dopalaczem kariery uniwersyteckiej i państwowej, ale gdzie nie wypada przeklinać na nagraniach. „Nie no! Hola! – powiada oburzony Czytelnik – to zdanie jest chyba wymyślone po pijaku?! Po co przeginać, skoro nie trzeba? Skoro rzeczywistość przegięła się sama, bez flaszki?". Ponieważ żona Czytelnika już wyszła, a w domu zapadła cisza, wypada dorzucić do pieca. Niechże nasz Czytelnik nie myśli, że jak jest sam, sam na sam z gazetą, to jest automatycznie zwolniony z Polski, z bycia tu i teraz, że jest bezpieczny. Nie jest. Niech czyta. Jak jeszcze nie doczytał, niech się dowie, że p. Suski został przewodniczącym Rady Programowej Polskiego Radia. Przewodniczącym Rady Programowej Polskiego Radia – powtórzmy i się tą powtórką napawajmy. Zaiste, po raz pierwszy w życiu, odkąd wiemy, że istnieją jakiekolwiek rady programowe, poczuliśmy żrącą zazdrość, że tam, dziś, jutro, pojutrze nas nie ma i nie będzie, że nie możemy wysłuchać referatu programowego p. Suskiego. Informacja o tej nominacji nas jednak uskrzydliła i doprawdy stało się to zupełnie na sucho. Bez wspomagania. Uskrzydlenie przyniosło nam wizję ekstatyczną, że oto pod tak niezwykłym namiestnictwem, we wszystkich już mediach publicznych, zobaczymy wreszcie przeróbkę finiszów dwu polskich seriali. W jednym nasi bohaterowie zakapują Hansa Klossa, a w drugim podadzą Szarikowi strychninę w kaszance. A potem dostaną za to po Żelaznym Krzyżu z mieczami oraz posady w Instytucie Pamięci Narodowej. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

Wydanie specjalne KRYZYS W KOŚCIELE
Już w sprzedaży!

Kiedy się wydaje, że pod lawiną ujawnionych skandali Kościół jeśli nie umarł, to właśnie umiera, papież Franciszek, jak Jezus do żałobników w domu Jaira, mówi: „Nie płaczcie, nie umarła dzieweczka, ale śpi”.

Ks. Adam Boniecki

Skandale obyczajowe i nadużycia związane z systemem władzy w Kościele, flirty z polityką, błyskawicznie przyspieszająca laicyzacja, pełzająca rebelia przeciwko reformującemu Kościół papieżowi Franciszkowi, a także poszukiwanie dróg wyjścia i wizja chrześcijaństwa przyszłości – to tematy kolejnego wydania specjalnego „Tygodnika Powszechnego”. Wśród autorów, ekspertów i rozmówców „TP” – najwybitniejsi komentatorzy życia Kościoła z Polski i ze świata, watykaniści, hierarchowie, teologowie i reporterzy, a bieżące komentarze dopełniają klasyczne teksty autorstwa m.in. Jerzego Turowicza i ks. Józefa Tischnera.

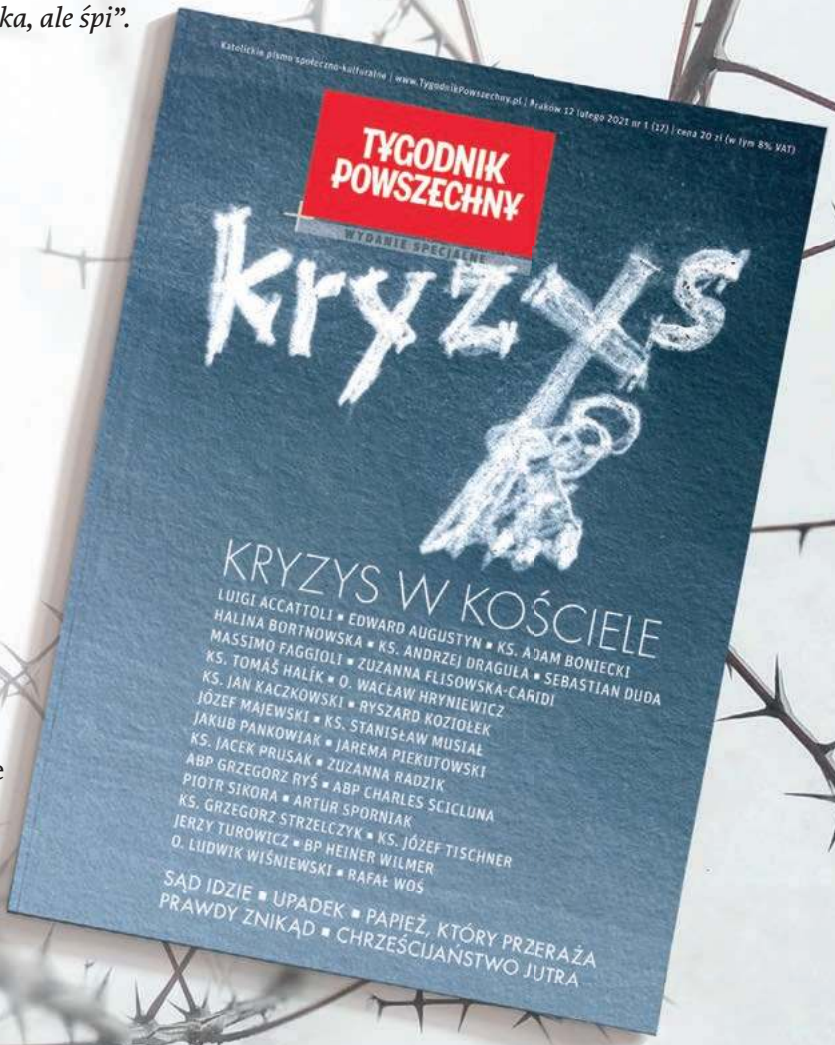

weź, czytaj!

„Kryzys w Kościele” – już w sprzedaży w sklepach z dobrą prasą i na **powszech.net/kryzyswkosciele**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNER WYDANIA:

wydawnictwo

REKLAMA

ZŁOTE LWY - NAJLEPSZY FILM

45. FPFF W GDYNI 2020

ZABIJ TO I WYJEDŹ Z TEGO MIASTA

FILM MARIUSZA WILCZYŃSKIEGO
Z MUZYKĄ TADEUSZA NALEPY

GRAND PRIZE WINNER OTTAWA INTERNATIONAL ANIMATION FESTIVAL 2020

tiff.

FEATURE FILMS ANNECY JURY DISTINCTION

70. Internationale Filmfestspiele Berlin Encounters

DOMOWNIKA, POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ W WSPÓŁPRACY Z FILMOTEKĄ NARODOWĄ - INSTYTUTEM AUDIOWIZUALNYM, INSTYTUTEM ADAMA MICKIEWICZA, ECI ŁÓDŹ - MIASTA KULTURY, LETKO, NOLABEL, DJ FACTORY, GIGANT FILMS PRZETWARZA FILM MARIUSZA WILCZYŃSKIEGO Z MUZYKĄ TADEUSZA NALEPY „ZABIJ TO I WYJEDŹ Z TEGO MIASTA" W ROLACH GŁÓWNYCH KRYSTYNA JANDA, ANDRZEJ WAJDA, MAREK KONDRAT, DANIEL BIDRYCHSKI SCENARIUSZ I REŻYSERIA MARIUSZ WILCZYŃSKI KONCEPCJA PLASTYCZNA, PROJEKT PLATEAU, SCENOGRAFIA I RAŻBA ANTYPOTYPY MARIUSZ WILCZYŃSKI OPRACOWANIE I REALIZACJA KONCEPCJI PLASTYCZNEJ PIOTR SZCZEPANOWICZ MONTAŻ JAROSŁAW BARZAN PSM DŹWIĘK FRANCISZEK KOZŁOWSKI MASTER KOMPOZYCJA KOLORU PAWEŁ EDELMAN REŻYSERIA ANIMACJI AGATA GORZAŁEK, JAKUB WROŃSKI PRODUCENT WYKONAWCZY EXTREME EMOTIONS PRODUCENT WYKONAWCZY LUCJA KĘDZIORA-SAMOBODLSKA PRODUCENT EWA PUSZCZYŃSKA, AGNIESZKA ŚCIBIOR

© JAN DOMOWNIKA / FILMOTEKA NARODOWA - INSTYTUT AUDIOWIZUALNY / INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA / ECI ŁÓDŹ - MIASTA KULTURY / LETKO / NOLABEL / DJ FACTORY / GIGANT FILMS

GF FILM · Sonbonita · FINA · ECI ŁÓDŹ · Łódź · Letko · NOLABEL · DJ FACTORY · FILMOTEKA NARODOWA

PROMOCJA FILMU DOFINANSOWANA ZE ŚRODKÓW POLSKIEGO INSTYTUTU SZTUKI FILMOWEJ